



Gazeta WROCLAWSKA

Relaks

Krzyżówki
do kawy.
Nowości
w programie TV



Wrocław

Słynna wrocławska
restauracja
z szyldem Michelin
już zamknięta

Po dwunastu latach działalności za-
mknęła swoje podwoje OK Restau-
racja położona nad brzegiem Odry.
Jak jej właścicielka tłumaczy swoją
decyzję w tej sprawie?
– Str. 3

Dolnośląskie inwestycje

Wciąż nie ruszyły
roboty na budowie
obwodnicy
Głogowa

Wykonawca 18-kilometrowej trasy
nie dostał ostatecznego pozwolenia.
Zainteresowane inwestycją gminy
popęliły błędy w pomiarach
– Str. 7

WAŁBRZYCH



Salon Wenecki w Zamku Książ jak za Hochbergów

Słynny zabytek z nową atrakcją. Wiernie
odtworzono jeden z sześciu salonów,
które będą ozdobą Zamku Książ – Str. 22-23

REKLAMA

0011548513

**Zakrecona
LOTERIADA**
GRAJ O MILIONY NAGRÓD
ZGARNIAJ NAGRODY

NAGRODA GŁÓWNA AUDI A3

Graj w punktach LOTTO, w aplikacji i na lotto.pl

Szczegółowe informacje dotyczące liczby nagród oraz regulamin dostępne na www.lotteriada.pl
Okres sprzedaży promocyjnej trwa od 30 czerwca do 31 sierpnia 2026 r. Organizator loterii: Totalizator Sportowy Sp. z o.o., ul. Tangowa 25, 03-728 Warszawa

ZAKRĘĆ KOŁEM

VOUCHER
400 zł
1000 zł
+10 SZANS
W LOSOWANIACH
DODATKOWY
LOS LOTERIADY

POLECAMY

JUTRO: Urlop połączony z warsztatami. Gwiazdy ekranu: Tomasz Kot i Witold Pyrkosz

7.08.2026

Piątek

Dzisiaj imieniny obchodzą: Dorota, Kajetan, Klaudia, Konrad
Telefon alarmowy: 112

Komentarz



Janusz Michalczyk: „Głupiutka i wystraszona”

Publicysta

Tymi słowami psycholog Ewa Woydyłło (87-letnia miłośniczka tenisa) określiła Igę Świątek (25-letnią gwiazdę tenisa). Wybuchła kilkudniowa medialna burza, Iga nie komentowała, a Ewa po namyśle przeprosiła. W istocie chodzi o bardzo emocjonalne reakcje naszej najlepszej tenisistki, która dominując na korcie bez racjonalnego powodu nagle traci spokój, pewność siebie i albo z trudem wygrywa, albo łatwo ulega rywalce. Komentatorzy i znawcy sportu głowią się nad tą zagadką, ale do tychczas żaden nie rozgryzł do końca problemu.

Sądzę, że w bezceremonialnej opinii psycholożki może kryć się załączek wyjaśnienia. Iga jest „głupiutka”, ale niby w jaki sposób młoda sportsmenka, uwielbiana przez tłumy i zarazem poddana olbrzymiej presji, ma bezboleśnie osiągnąć dojrzałość, mądrość i demonstrować zawsze stoicki spokój? Jest „wystraszona”, gdyż boi się, że straci pozycję zawodniczki ze ścisłej czołówki, obawia się krytyki ze strony kibiców i utraty wypasionych kontraktów reklamowych. Nie ma dobrego i łatwego rozwiązania, jak poradzić sobie ze słabością i lękiem, będąc w centrum zainteresowania.

Idolem Igi jest Rafael Nadal, który niedawno zakończył wspaniałą karierę. W dokumentalnym filmie do obejrzenia na Netflixie pokazano, że praktycznie od początku drogi na szczyt nie tylko przechodził katorżniczy trening, ale i zmagał się z dotkliwym bólem o podłożu genetycznym, którego nie zawsze dało się uśmierzyc. Zwyciężał, bo potrafił zaakceptować wielkie cierpienie. Stał się niejako niewolnikiem własnej ambicji, poświęcił zdrowie dla momentów oszałamiającej satysfakcji.

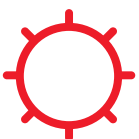
Sport ma ciemną stronę. Andrzej Gołota stwierdził w apogeum sławy, że nienawidzi boksu. To nie była głupota ani brak odwagi.

AUTOPROMOCJA

Prenumeruj
„Gazetę
Wrocławską”

tel. 71 727 62 37
bok.prenumerata@polskapress.pl
prenumerata.gazetawroclawska.pl

POGODA



dzisiaj
27°C/13°C



jutro
26°C/12°C



Redaktor naczelna
Maja Majewska
Z-ca redaktor naczelnej
Mateusz Różański
Wydawcy Grzegorz
Chmielowski, Cyprian
Dmowski, Janusz Michalczyk

www.gazetawroclawska.pl

Polska Press
Makroregion Zachód
Redakcja ul. św. Antoniego 2/4
(wejście A, I p.),
50-073 Wrocław
tel. 71 37 48 151,
71 37 48 100
redakcja@gazeta.wroc.pl
Prezes Makroregionu
Robert Glinkowski
Dyrektor marketingu oddziału
Anna Bijak-Bednarska
Druk
Polska Press Oddział Poligrafia,
41-203 Sosnowiec Miłowice,
ul. Baczyńskiego 25a



Wydawca Polska Press Sp. z o.o.
ul. Domaniewska 45, 02-672 Warszawa,
tel. 22 201 44 00, fax: 22 201 44 10
p.o. Prezes Zarządu Polska Press Grupy
Elżbieta Zuraw
Redaktor naczelny Polska Press Grupy
Marek Twaróg
Projekt graficzny, dyrektor artystyczny PPG
Tomasz Bocheński
Dyrektor kolportażu PPG Tomasz Osoliński
Biuro Konsumenta PPG
biurokonsumenta@polskapress.pl, tel. 12 688 85 10



© - umieszczenie takich dwóch
znaków przy Artykule,
w szczególności przy
Aktualnym Artykule, oznacza
możliwość jego dalszego
rozpowszechniania tylko
i wyłącznie po uiszczeniu opłaty
zgodnie z cennikiem
zamieszczonym na stronie
www.gazetawroclawska.pl/tresci
i w zgodzie z postanowieniami
niniejszego regulaminu.

DOLNY ŚLĄSK

Bociani sejmik u burmistrza

Michał Perzanowski

Mieszkańcy Siechnic mogli obserwować prawdziwy bociani sejmik. Dziesiątki ptaków przysiadły na dachu budynku urzędu gminy. Przyciągnęły uwagę przechodniów i mieszkańców.

Stado bocianów przesiadywało we wtorkowy wieczór m.in. na dachach bloków mieszkalnych, nowego ratusza oraz kościoła pw. Niepokalanego Serca Najświętszej Maryi Panny. To tzw. bociani sejmik, czyli zjawisko, które pod koniec lata można obserwować w całej Polsce. Ptaki gromadzą się w grupy po zakończeniu sezonu lęgowego.

Widok bocianów na dachu ratusza wywołał w Siechnicach poruszenie. W komentarzach pod wpisem burmistrza nie brakowało zachwytów i żartobliwych nawiązań do wierzeń o bocianach przynoszących dzieci. Np. „Czyli Gmina Siechnice kolejny rok będzie jako jedna z nielicznych z dodatnim przyrostem naturalnym.” „Na ratuszu już czekają aby meldować nowych obywateli.” „To znak Panie Burmistrzu, ale nie wiem tylko jak



FOT. BURMISTRZ LUKASZ KROPSKI/FB

Wieczorem na urzędzie i kilku innych obiektach rozsiadły się bociany

odczytać że nad Ks. Proboszczem też...”

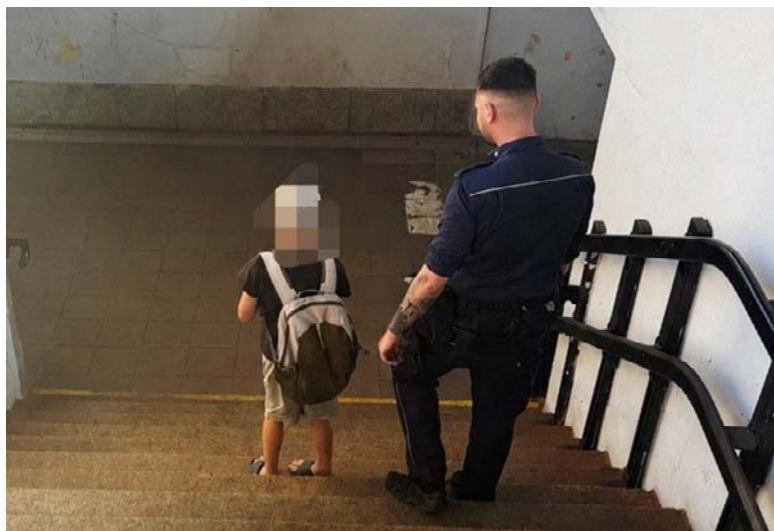
Przypomnijmy, że to właśnie Siechnice są najmłodszym miastem w Polsce. Średnia wieku mieszkańców wynosi zaledwie 34 lata. Co ciekawe, najliczniejszą grupę mieszkańców stanowią 17-latkowie.

Bociany na sejmiki często wybierają otwarte tereny: łąki, pola, nieużytki, często w pobliżu miejsc, gdzie łatwo znaleźć pokarm przed czekającą je długą podróżą do Afryki. Sam odlot przypada

głównie na sierpień i wrzesień, choć pojedyncze osobniki wyruszają już w lipcu, a najpóźniejsze migracje trwają nawet do października. Szczyt odlotów to zwykle druga połowa sierpnia.

Warto dodać, że polskie bociany dzielą się na dwie populacje migracyjne. Te z zachodniej Polski lecą przez Gibraltary do Afryki Zachodniej, natomiast bociany ze wschodniej części kraju kierują się przez Bosfor i Bliski Wschód do Afryki Wschodniej i Południowej.

CHŁOPIEC ODJECHAŁ BEZ OJCA. MOGŁO DOJŚĆ DO TRAGEDII



FOT. POLICJA

9-letni chłopiec odjechał pociągiem Wrocław – Racibórz bez swojego ojca. Jak ustalili policjanci, chłopiec wsiadł do pociągu razem z tatą, ale ten na moment wyszedł na peron, aby sprawdzić rozkład jazdy. Gdy chciał wrócić do wagonu, drzwi były już zamknięte, a pociąg ruszył. Chłopcem zaopiekowali się pasażerowie oraz kierownik pociągu, a gdy dotarli na dworzec PKP w Oławie na 9-latkę czekali już policjanci. Porozmawiali z dzieckiem, ustalili przebieg zdarzenia i skontaktowali się z jego ojcem. Tym razem wszystko skończyło się szczęśliwie, bo ojciec przyjechał do Oławy i odebrał dziecko. **RED**

WROCŁAW/DOLNY ŚLĄSK

• **Dyżurny reporter czeka na Państwa!**

email: redakcja@gazeta.wroc.pl,
facebook: @GazetaWroclawska

WROCŁAW

Policja: Wywiózł kobietę na obrzeża miasta i tam wykorzystał ją seksualnie

Mateusz Różański

Wrocławscy policjanci zatrzymali 38-letniego obywatela Kazachstanu, podejrzanego o dopuszczenie się innej czynności seksualnej wobec kobiety, którą przewoził swoją taksówką.

Kobieta zamówiła kurs z centrum Wrocławia w kierunku osiedla Leśnica. - W trakcie przejazdu taksówką pasażerka zasnęła, ale kiedy obudziła się zauważyła, że obok niej na tylnym siedzeniu znajduje się kierowca, a samochód zaparkowany jest na obrzeżach miasta, wokół którego roztaczały się zarośla - informuje gazetę aspirant sztabowy Anna Nicer z Komendy Miejskiej Policji we Wrocławiu.

Przeżrana kobieta początkowo zaczęła krzyczeć, ale zachowując

zimną krew skłoniła napastnika do odwiezienia jej pod wskazany adres.

W trakcie jazdy, gdy tylko zauważyła budynki i zorientowała się gdzie się znajduje, uciekła z auta.

Po złożeniu zawiadomienia sprawą niezwłocznie zajęli się funkcjonariusze pionu kryminalnego z Komisariatu Policji Wrocław-Leśnica. Pomimo że pokrzywdzona dysponowała jedynie ograniczonymi informacjami na temat sprawcy i pojazdu, policjanci przeprowadzili szereg czynności operacyjnych i procesowych. W efekcie ustalili samochód, którym poruszał się podejrzany, jego tożsamość oraz miejsce pobytu. Po kilkunastu godzinach 38-letni obywatel Kazachstanu został zatrzymany i usłyszał zarzut dopuszczenia się innej czynności seksualnej wobec pokrzywdzonej. Grozi mu do 8 lat więzienia.



Po kilkunastu godzinach taksówkarz był już w rękach policji

WROCŁAW

Znana restauracja zamyka się, mimo szyldu Michelin

Michał Perzanowski

Katarzyna Obara, była prowadząca „Pytania na Śniadanie” w TVP, zamyka swoją OK Restaurację, która dwukrotnie wyróżniona była w prestiżowym przewodniku Michelin. Lokal funkcjonował od 2012 r.

Obara poinformowała o decyzji w mediach społecznościowych: „W środku lata 2026 zamykam OK Restaurację - miejsce, które przez kilkanaście lat było czymś znacznie więcej niż tylko restauracją”.

Restauracja przy ul. Księcia Witolda, nad Odrą, ruszyła w 2012 roku, trzy lata po tym, jak Obara odeszła z Telewizji Polskiej. Prowadziła m.in. „Pytanie na śniadanie”, „Dwa światy” czy „Teleexpress Junior”, wystąpiła w „Świecie według Kiepskich” jako dziennikarka. Z TVP rozstała się w 2010 roku, w trakcie urlopu macierzyńskiego. Zanim otworzyła restaurację, próbowała sił w samorządzie.

Przyznaje, że do gastronomii weszła bez branżowego przygotowania. „Nie miałam gastronomicznego rodowodu ani branżowego zaplecza. Miałam za to pomysł, determinację i wiarę, że warto tworzyć miejsce, do którego ludzie będą chcieli wracać”.

Efekty przerosły chyba jej własne oczekiwania. Kiedy Wrocław po raz pierwszy trafił do przewodnika Michelin, restauracja Obary znalazła się w tym gronie, co porównywała do zdobycia gastronomicznego Oscara. Rok później lokal ponownie



Katarzyna Obara prowadziła OK Restaurację od 2012 roku

znalazł się w gronie restauracji docenionych przez Michelin. OK Restauracja była też obecna w polskiej edycji przewodnika Gault & Millau od samego początku.

Lokal łączący restaurację, winiarnię i sklep z winem słynął z potraw inspirowanych kuchnią francuską z azjatyckimi i polskimi akcentami, dań z owoców morza oraz karty win liczącej ponad 2 tys. etykiet z całego świata, od Bordeaux po Liban.

Karta dań była obszerna i obejmowała takie dania, jak halibuty, ośmiornice, połędwice wołowe czy sezonowe przystawki, a także specjalne, takie jak kociolki z zupą rybną, raki w śmietanie czy ostrygi i kawior.

Zoświadczenia Obary nie wynikały, by za decyzją stały problemy finansowe. Restauratorka mówi wprost o zmianie życiowych priorytetów i odejściu na „gastronomiczną eme-

ryturę”: „Życie jednak pisze własne scenariusze i niekiedy wymusza zmianę priorytetów. Dlatego podjęłam jedną z najtrudniejszych decyzji - odchodzę na swoją małą »gastronomiczną emeryturę« i zabieram ze sobą moje »gastronomiczne dziecko«, pozostawiając tę wyjątkową przestrzeń nad Odrą nowej energii, nowym ambicjom i nowemu kapitanowi”.

Podziękowała gościom, pracownikom, partnerom, dostawcom i przyjaciółom, którzy byli częścią historii lokalu. Choć w przypadku OK Restauracji nie można mówić o problemach finansowych, to jej zamknięcie mimo wszystko stanowi przykład, gdy wyróżnienie w prestiżowym przewodniku nie chroni lokalu przed zamknięciem. Najgłośniejszym przykładem jest Atelier Amaro Wojciecha Modesta Amaro w Warszawie.

AKCJA CHARYTATYWNA

0011541294



PRZEGLĄD MINIONEGO TYGODNIA

CZWARTEK, 30.07

6 pływających stacji bada akweny

Nowoczesne, pływające stacje będą badać (21 parametrów) do 18 grudnia jakość wody w czasie rzeczywistym: w Odrze, fosie miejskiej, stawie w Ogrodzie Japońskim oraz Jeziorze Pawłowickim. To efekt współpracy wrocławskiego ratusza ze startupem WaterSense, w ramach której od 2023 roku miasto prowadzi monitoring wód. Dane posłużą m.in. do oceny działań

profilaktycznych i szybszego reagowania na zagrożenia.

Zamknęli kolejnego „odbieraka”

Policjanci zatrzymali tzw. odbieraka. 22-letni mężczyzna jest podejrzany o udział w oszustwie metodą „na inwestycje”. Wpadł w ręce policji podczas odbierania koper ty, w której oszuści kazali 70-latkowi spod Świdnicy umieścić 40 tysięcy złotych. 22-latek może trafić na 8 lat do więzienia.

PIĄTEK, 31.07

Ciepło z serwerów

Kogeneracja S.A. podpisała list intencji z Citylink ws. wykorzystania ciepła odpadowego z powstającego we Wrocławiu centrum przetwarzania danych Citylink Wrocław Stadion. To obiekt magazynowo-biurowy – ma w przyszłości zasilać miejską sieć ciepłowniczą ciepłem odpadowym z infrastruktury IT.

SOBOTA, 1.08

Milionowa wygrana

W Wałbrzychu padła „szóstka” w Lotto – właściciel kuponu zagrał na chybił trafił w kolekturze przy al. Wyzwolenia 4/1. Nagroda wynosi ponad 1,5 mln zł. Ekstra Pensja trafiła do Wrocławia – szczęśliwiec będzie dostawał przez 20 lat 5 tys. zł miesięcznie.

NIEDZIELA, 2.08

Przepłynął Bałtyk

Bartłomiej Kubkowski po 55 godzinach przepłynął Bałtyk (160 km) z miejscowości Kaseberga (Szwecja) do Dziwnowa. Była to jego piąta, tym razem udana próba pokona-

nia morza. Wyczyn połączony był ze zbiórką pieniędzy na leczenie dzieci chorych na raka. Kubkowski jest absolwentem Szkoły Mistrzostwa Sportowego przy ul. Powstańców Śląskich we Wrocławiu.

Wjechał w pieszych

72-letni kierowca Suzuki w Jeleniej Górze zderzył się z Volkswagenem i wjechał na chodnik, gdzie potrafił parę pieszych. Oboje odnieśli rany. Stan 57-latka lekarze oceniają jako ciężki.

Bus zderzył się z tramwajem

Na skrzyżowaniu ulic Toruńskiej i Brücknera we Wrocławiu bus wjechał pod tramwaj. Z zablokowanego samochodu pasażerów musieli wydobyć strażacy. W sumie cztery osoby odniosły rany i trafiły do szpitala, gdzie wkrótce zmarła 58-letnia pasażerka busa. Ze wstępnych ustaleń wynika, że kierowca busa nie ustąpił pierwszeństwa motorniczemu tramwaju.



3 sierpnia wyruszyła 46. Piesza Pielgrzymka Wrocławska na Jasną Górę

stwa 30-letniej Wrocławianki i na wniosek Prokuratury Rejonowej Wrocław-Fabryczna sąd zasto-sował wobec niego areszt tymczasowy na 3 miesiące. Do ataku nożownika doszło 1 sierpnia na ulicy Gagari-na. Kobieta została zaatakowa-na na klatce schodowej bloku, w którym mieszka.

Toaleta w zamku

W Zamku Piastowskim w Legnicy otwarto darmową toaletę publiczną za 514 tys. zł z myślą o turystach. Umieszczona jest tuż koło dziedzińca.

PONIEDZIAŁEK, 3.08

Mazur do koszykówki

Michał Mazur, który w styczniu tego roku został odwołany ze stanowiska prezesa piłkarskiego Śląska Wrocław, został powołany na funkcję prezesa koszykarskiego Śląska Wrocław. Mazur zastąpił Karolinę Pokorską.

WTOREK, 4.08

Zaatakował nożem

18-letni obywatel Ukrainy usłyszał zarzut usiłowania zabój-

Nowy rekord Śnieżki

Na Śnieżce było 25,8 °C, czyli o 0,1 °C więcej niż podczas rekordowego pomiaru z czerwca tego roku. To nowy rekord temperatury na tym szczycie.

ŚRODA, 5.08

Mietków do remontu

Podpisano umowę na odnowę urządzeń hydrotechnicznych zbiornika Mietków. Realizacja zadania za 5,7 mln zł ma się zakończyć w grudniu. **Zebrał GCH**



Wrocławianka Eliza Ciula (pierwsza z prawej) została I Wicemiss Polski podczas finału konkursu w Nowym Sączu

WROCŁAW

Wielka rozbiórka na Opolskiej. W nowych blokach TBS powstaną mieszkania i... miejsca schronienia

Konrad Bałajewicz

Kurz unosi się nad ulicą Opolską, a koparka burzy kolejne opuszczone budynki. TBS Wrocław rozpoczął rozbiórkę pustostanów i garaży, przygotowując teren pod budowę nowego osiedla.

Przy ul. Opolskiej na Księżu Małym, naprzeciwko parkingu Park & Ride, ciężki sprzęt wyburza opuszczone od lat budynki, które już wkrótce ustąpią miejsca nowemu osiedlu budowanemu przez TBS Wrocław. Do rozbiórki przeznaczono łącznie

17 obiektów, w tym dawne budynki mieszkalne oraz garaże. Pustostany od kilku lat stały zabite deskami i stopniowo popadały w ruinę.

Dziś po kolejnych ścianach nie ma już śladu. Ciężki sprzęt sukcesywnie burzy budynki, a sarta gruzu z każdą godziną staje się coraz większa. Mimo polewania wodą miejsca prac, w okolicy unosi się gęsty kurz.

Rozbiórka to przygotowanie terenu pod nowe osiedle TBS Wrocław. Łącznie przy ulicach Głubczyckiej i Opolskiej powstanie około 155 mieszkań o powierzchni blisko 8 tys. mkw. Z tego 88 lokali powięk-



Polewanie rozbieranych ścian wodą niewiele daje

szy miejski zasób mieszkaniowy, natomiast najemców kolejnych 67 mieszkań wskaże bezpośrednio ratusz.

Na parterach nowych budynków zaplanowano ponad

730 mkw. powierzchni usługowo-handlowej. Oprócz sklepu, przewidziano również poradnię medyczną. W budynku znajdzie się także garaż podziemny. Jego część



Tak mają wyglądać nowe mieszkania TBS Wrocław

została zaprojektowana jako Miejsce Doraźnego Schronienia Ludności.

Obecnie TBS Wrocław oczekuje na uzyskanie pozwolenia na budowę. Roz-

poczęcie robót planowane jest na początek 2027 roku, natomiast zakończenie inwestycji przewidziano na drugi kwartał 2028 roku.

AKCJA CHARYTATYWNA

0011553243



OCHRONA ZDROWIA

W wałbrzyskim szpitalu uratowali pacjentkę, której wycięto dwa guzy. Ważyły 35 kilogramów!

Paweł Gołębiowski

W Specjalistycznym Szpitalu Ginekologiczno-Położniczym im. E. Biernackiego w Wałbrzychu wykonano niezwykle zabieg. Po raz pierwszy operowano tam pacjentkę z tak ogromnym guzem narządów rodnych. Do tego kobieta była już w bardzo ciężkim stanie.

– W mojej niespełna czterdziestoletniej karierze w tym szpitalu, a właściwie to nie tylko tutaj, bo śledzę także poczynania innych kolegów ginekologów, nie słyszałem nigdy o tak dużej zmianie – mówi Roman Puskarz, dyrektor do spraw medycznych wałbrzyskiego szpitala.

72-letnia mieszkanka okolic Wałbrzycha trafiła do niego w bardzo ciężkim stanie, z podejrzeniem guza w jamie brzusznej. Nie chodziła, konieczna była natychmiast operacja ratująca jej życie. Zabieg był jednak obciążony ogromnym ryzykiem,



Operacja trwała wiele godzin i była dużym wyzwaniem dla lekarzy

nie było bowiem pewności, czy kobieta go przeżyje.

– To było także wielkie wyzwanie dla anestezjologów – podkreślają w szpitalu. Zdecydowali jednak, że podejmą się operacji.

Pacjentkę przygotowano na tyle, na ile było można, środkami farmakologicznymi. Chodziło o ustabilizowanie parametrów życiowych i zwiększenie jej szans na przeżycie.

Operacja trwała wiele godzin i była wyjątkowo rozległa. Okazało się bowiem, że kobieta ma dwa guzy: jeden o obwodzie ponad 1 metra (dokładnie 133 cm) i wadze 27 kilogramów, a drugi miał średnicę 0,5 metra i wa-

żył prawie 9 kg. Na szczęście udało się ją pomyślnie przeprowadzić.

– To była wielka praca operatorów, całego zespołu anestezjologów, personelu średniego, a także rehabilitantów – mówią w szpitalu w dzielnicy Nowe Miasto.

Po kilku tygodniach pacjentka wyszła z tego szpitala o własnych siłach.

Wałbrzyski przypadek należy z pewnością do rekordowych. Przypomnijmy, że wielki guz wycięto także w Szpitalu Latawiec w Świdnicy, gdzie 38-letniej pacjentce usunięto 20-kilogramowego guza jajnika. W szpitalu w Zielonej Górze lekarze usunęli w 2022 roku guza o wadze 42 kilogramów, co uznawane jest za „rekord Polski”.

W mojej niespełna 40-letniej karierze, nie tylko w tym szpitalu, nie słyszałem nigdy o tak dużej zmianie

ROMAN PUSKARZ,
dyrektor ds. medycznych szpitala

REKLAMA

0011564065

Otwórz się na WIĘCEJ!

DOŁĄCZ DO NOWOCZESNEJ FIRMY, KTÓRA ZAPEWNI CI ROZWÓJ I STABILIZACJĘ.

Zatrudniamy specjalistów w działach:

- Utrzymania Ruchu i Automatyki
- Technologii
- Jakości
- Sprzedaży
- Zarządzania Produkcją
- Administracji

Oferujemy:

- Pracę w zakładzie produkcyjnym w Ujeźdźcu Małym pod Wrocławiem
- Bezpłatną stołówkę
- Bony i paczki świąteczne
- Dofinansowanie do kształcenia (szkoły, studia, kursy, szkolenia)
- Bilety na koncerty oraz mecze Panthers Wrocław
- Prywatną opiekę medyczną LUXMED
- Kartę Multisport
- Ubezpieczenie na życie
- Atrakcyjny program poleceń pracowników

Poznaj szczegóły:

tarczynskipraca.pl
726-665-555
rekrutacja@tarczyński.pl

REKLAMA

0011563709

ZAMEK CZOCHA | 14-16 SIERPNIA 2026

CZARODZIEJEM BYĆ... SZKOŁA MAGII

Zamek Czocho

Sucha k. Leśnej | 59-820 Leśna, tel. + 48 (75) 721 15 53

e-mail: zamekczocha@rewita.pl
www.facebook.com/zamekczocha
www.zamekczocha.com

DOLNY ŚLĄSK

Zamek Czocho AMW REWITA

Zerknij na Fb oraz Insta!

Skanuj kod i zapoznaj się z naszą ofertą

WROCŁAW

Nie żyje kobieta, która wybiegła z nożami na ludzi na ulicy Gagarina

Karolina Kwiatek

**Mieszkańcy Muchoboru Wielkiego wciąż nie mogą otrząsnąć się po zdarzeniach, do których doszło w ostatnich dniach na ul. Gagarina. Niedługo po ataku 18-letniego Dymytra M. na 30-letnią kobietę, jedna z ich sąsiadek wybiegła z nożami i zaczęła zacze-
piał ludzi na ulicy. Jak ustaliła „Wrocławska”, kobieta zmarła.**

Ostatnie wydarzenia na ul. Gagarina wstrząsnęły mieszkańcami Wrocławia. 1 sierpnia 18-letni chłopak zaatakował nożem 30-letnią kobietę. Nastolatek został przywieziony do prokuratury na przesłuchanie, ale nie chciał się tłumaczyć. Nie odpowiadał na pytania. 4 sierpnia trafił do tymczasowego aresztu, gdzie spędzi trzy miesiące. Za usiłowanie zabójstwa grozi mu do 15 lat więzienia.

W tym samym okresie doszło na ul. Gagarina do kolejnego szoku-

jącego zdarzenia. Kobieta w nocy z 3 na 4 sierpnia wybiegła z nożami z mieszkania i zaczęła wyzywać przechodzących kłatką Ukraińców. Zachowywała się chaotycznie, później zaczęła zacze-
piał także przy-
padkowych przechodniów.

Gdy wyszła na ulicę, jeden z mężczyzn próbował ją uspokoić, w odpowiedzi zaczęła machać mu nożami przed twarzą - pisaliśmy na łamach portalu gazetawroclawska.pl

Z ostatnich doniesień wynika, że kobieta została zabrana przez policję do wytrzeźwienia. Jak ustaliła „Gazeta Wrocławska”, Wrocławianka nie usłyszała zarzutów. Ze względu na stan zdrowia została zabrana do szpitala. Tam zmarła. Na osiedlu ludzie mówią o tym, że miała na ciele siniaki.

- Potwierdzamy informację o śmierci kobiety, natomiast stanowczo zaprzeczamy, aby w zdarzeniu brały udział osoby trzecie - mówi podkom. Aleksandra Freus z komendy miejskiej.

Alina Gierak

Nie przypuszczano, że przebudowa dawnej siedziby zakładu gospodarki komunalnej i urzędu w niej Biblioteki Miejskiej oraz Straży Miejskiej, okaże się tak karkołomna. Po drodze trzeba było wysadzać skały. Ale inwestycja dobiega końca i po wakacjach powinna być gotowa.

Biblioteka mieściła się przy ul. 1 Maja, w stylowym, ale ciasnym budynku. Samorząd wpadł na pomysł, by zbiory przenieść do większego i urządzić nowoczesną czytelnię, która stanie się centrum kulturalnym miasta. Na ten cel przeznaczono dawną siedzibę Miejskiego Zakładu Gospodarki Komunalnej przy ul. Turystycznej 2. Miała zostać przebudowana i dostosowana do potrzeb czytelników i promocji miasta. Plan poprzedniej władzy Szklarskiej Poręby przyszło realizować nowej ekipie i okazało się, że



FOT. ALINA GIERAK

Inwestycja powinna być gotowa po wakacjach

przebudowa budynku po MZGK wymaga wielu dodatkowych prac, w tym wysadzania skał.

-Trudne warunki gruntowe, które przy projektowaniu nie zostały wystarczająco zdiagnozowane, wymagały dodatkowych uzgodnień. Ponadto, konieczne było uwzględnienie niezainwentaryzowanych sieci znajdujących się w terenie - wy-

liczał dodatkowe prace burmistrz Szklarskiej Poręby Paweł Popłoński.

Urządzenie biblioteki w starym budynku będzie kosztować 7,3 mln zł. Prace dobiegają końca i po wakacjach planuje się przenieść tutaj księgozbiór. Poza biblioteką powstanie biuro Straży Miejskiej, a w drugim etapie Centrum Wiedzy o Architekturze Szklarskiej Poręby.

REKLAMA

0011561466

BALNEA
MEDICAL SPA

Sanatorium nowej generacji w Inowrocławiu

www.balneamed.pl

Balnea Medical SPA, wcześniej Sanatorium Modrzew, to miejsce, w którym tradycja uzdrowiskowa spotyka się z nowoczesną rehabilitacją, a każdy pobyt staje się realną inwestycją w zdrowie i samopoczucie: łączymy doświadczenie zespołu medycznego, diagnostykę oraz naturalne zasoby uzdrowiska, aby pomagać naszym Gościom wracać do formy.

NASZE PROFILE LECZNICZE

Narząd ruchu i schorzenia reumatyczne

Choroby dróg oddechowych

Krążenie i profilaktyka kardiologiczna

Rehabilitacja pourazowa i pooperacyjna

Stres, napięcie i zaburzenia snu.

**UL. MACIEJA WIERZBIŃSKIEGO 50A
88-100 INOWROCŁAW**



REZERWACJE

pobytów stacjonarnych

☎ 52 357 30 84

✉ recepca@balneamed.pl



WROCŁAW

Opuszczony basen na Kłokoczycach wygląda jak Czarnobyl po wybuchu

Aneta Kolesińska

Zamknięty basen powoli staje się ruiną. Zjeżdżalnia jeszcze stoi, choć wspinaczka na samą górę jest ryzykowna. Puste zbiorniki zbierają deszczówkę, a ścieżki zarasta wysoka trawa. Jaki los czeka to miejsce?

Kąpielisko „Kłokoczycy” już nie zostanie otwarte - pisała „Wrocławska” w 2023 roku, kiedy to mieszkańcy osiedla Psie Pole-Zawidawie dowiedzieli się, że ze względu na zły stan infrastruktury obiekt nie nadaje się już do użytku. Dziś to porośnięty trawą, zapomniany relik z lat 90. XX wieku.

Basen Kłokoczycy był popularnym miejscem odpoczynku. Do dyspozycji mieszkańców był pełnowymiarowy basen, brodzik i plac zabaw dla najmłodszych oraz 60 metrową ślizgawkę wodną i boisko do siatkówki plażowej.



FOT. ANETA KOLESIŃSKA

Po zakończeniu sezonu 2022 basen nie przeszedł przeglądu technicznego, uznano, że nie nadaje się do użytku.

Odkryta pływalnia powstała w latach 90. XX w., i od tamtej pory nie była remontowana. Po zakończeniu sezonu w 2022 r. basen nie przeszedł przeglądu stanu technicznego, uznano, że kąpielisko przy ul. Kłokoczyckiej 3 nie nadaje się do użytku. W konsultacjach społecznych, Wrocławianie proponowali remont, ale urzędnicy

odmówili, twierdząc, że nie ma na to szans. Wtedy koszty szacowano na 6 mln zł.

Obiekt szybko opustoszał i popadł w ruinę. Budynki sanitarne stały się miejscem schronienia dla bezdomnych, a w samych basenach bez wody nagromadziło się sporo śmieci. Większość terenu opanowała roślinność i dzikie zwierzęta.

INWESTYCJE

Roboty miały ruszyć w lipcu. Dlaczego opóźnia się rozpoczęcie budowy obwodnicy Głogowa?

Wiktoria Żyta

Firma Strabag chce ruszyć z budową obwodnicy Głogowa, ale Wojewoda Dolnośląski wciąż nie wydał kluczowej decyzji: Zezwolenia na Realizację Inwestycji Drogowej (ZRID). Dlaczego?

Podczas prezentacji w maju zapowiedziano, że budowa obwodnicy Głogowa ruszy w lipcu. Ale jest spóźnienie... Wykonawca chciał ruszyć z robotą, ale nie może, bo nie ma ZRID-u na obwodnicę, czyli kluczowej decyzji, którą wydaje wojewoda.

Kilka dni temu wicewojewoda wyjaśniał powody. – W ubiegłym tygodniu uzupełnialiśmy duże rozbieżności, które wynikały z błędów, które są w ośrodkach geodezji i kartografii w powiatach. Nie możemy wydać ZRID-u, nie mając rzeczywistych wymiarów działek, które będą przeznaczone do przejęcia. Została podpisana umowa na wykonanie tej



FOT. WIKTORIA ŻYTA

Wykonawca zwozi już potrzebne do budowy materiały

inwestycji i są zabezpieczone środki – informował Artur Jurkowski. Z czego wynikały błędy w pomiarach? – Miasta są dobrze pomierzone, natomiast obszary wiejskie nie były domierzone. W przypadku powiatu polkowickiego brakowało 300 metrów. To spora różnica, bo ktoś musiałby za ten odcinek zapłacić. W przypadku powiatu głogowskiego, w Grodziecu brakuje 500 metrów – mówił wicewojewoda.

Wykonawca, czyli firma Strabag, jest gotowa do szybkiego podjęcia działań. Zaczęła gromadzić kruszywo na placu i pozyskała decyzję środowiskową na postawienie tymczasowej wytwórni mas bitumicznych. Ponadto przygotowuje się do działań z nadzorem archeolo-

gicznym i saperskim. O tym, jak idą przygotowania, opowiedziała Elżbieta Król-Adamczak, dyrektorka kontraktu w firmie Strabag:

– Po otrzymaniu decyzji jesteśmy w stanie rozpocząć plac budowy w ciągu dwóch tygodni. Szereg działań zostało już podjętych przez Strabag. Część inwestycji będziemy realizować siłami własnymi i będzie to około 30–40 jednostek sprzętowych. Oprócz tego zakładamy realizację inwestycji z szeregiem lokalnych podwykonawców, w szczególności w zakresie kolizji branżowych, ponieważ w pierwszej kolejności przebudowujemy wszelkie kolizje wodociągowe, kanalizacyjne i ener-

Przeszkodą jest rzeka Odra, więc planujemy realizację inwestycji z dwóch stron. Czyli będą dwie budowy

ELŻBIETA KRÓL-ADAMCZAK
dyrektorka kontraktu
w firmie Strabag

getyczne. Później przystępujemy siłami własnymi do realizacji nasypów, mostów – informowała.

Elżbieta Król-Adamczak wspominała także o wyzwaniach dla wykonawcy: – Na części placu budowy w pierwszej kolejności GDDKiA musi wykonać badania archeologiczne wskazane przez konserwatora zabytków. Planujemy realizację inwestycji z dwóch stron, a przeszkodą jest rzeka Odra, więc będą dwie budowy – dodała. Jedna budowa ruszy od strony Starych Serbów, a druga od strony S3, by połączyć oba odcinki na nowym moście. Na placu budowy ma przebywać, łącznie z podwykonawcami, co najmniej kilkaset osób.

Obwodnica Głogowa będzie mieć 18,5 km długości. Rozpocznie się na istniejącym rondzie węzła Głogów Zachód przy S3 w gminie Radwanice, a zakończy w Starych Serbach, gdzie połączy się z drogą krajową nr 12.

O to, kiedy będzie ZRID, spyaliśmy Dolnośląski Urząd Wojewódzki. Czekaemy na odpowiedź.

REKLAMA

0011561856



Twój Czas na zdrowie

-  **Zakwaterowanie**
-  **3 posiłki dziennie w formie bufetu szwedzkiego**
-  **Konsultacja lekarska**
-  **4 zabiegi dziennie (oprócz niedziel i dni świątecznych)**
-  **90 min. dziennie w Strefie Relaksu (sauna, jacuzzi, grota solna, siłownia)**
-  **Voucher do Integracja Cafe**

 **52 35 63 101, 52 35 63 100, 52 35 63 320**

 **medicalspa@solanki.pl, recepcja@solanki.pl**

 **www.solanki.pl**

WROCŁAW

Dostawca potrącił matkę i wózek z bliźniakami

Konrad Bałajewicz

Policjanci proszą o pomoc w ustaleniu tożsamości rowerzysty, który potrącił kobietę prowadzącą wózek z dziećmi.

Do zdarzenia doszło na ul. Dubois 31 marca przed g. 15. Dostawca jedzenia na rowerze potrącił kobietę przechodzącą prawidłowo przez przejście z dziecięcym wózkiem z bliźniaczkami. Wózek się przewrócił, ale rowerzysta odjechał. Policja wciąż go szuka. Charakterystycznym elementem była jego żółta torba dostawcza Glovo. Jest obcokrajowcem. Funkcjonariusze apelują



Ten mężczyzna może mieć związek ze zdarzeniem

do osób, które rozpoznają osobę ze zdjęcia lub mają informacje o kontakcie pod nr. tel. 47 87 140-36, 47 87 121-21 lub 47 87 143-06, albo 112.

JELENIA GÓRA

Zawiadomienie do prokuratury po kontroli remontu zapory

Alina Gierak

Kolejne śledztwo w sprawie remontu zapory w Pilchowicach. Teraz do Prokuratury Rejonowej w Lwówku Śląskim wpłynęło zawiadomienie, które złożyła Regionalna Dyrekcja Ochrony Środowiska we Wrocławiu. Chodzi o zniszczenie przyrody.

Regionalna Dyrekcja Ochrony Środowiska we Wrocławiu zakończyła właśnie kontrolę przestrzegania warunków określonych w wydanych decyzjach administracyjnych związanych z realizacją przedsięwzięcia pn. „Elektrownia Wodna Pilchowice I - modernizacja obiektów zbiornika wodnego”. Kontrola dotyczyła przestrzegania przepisów dotyczących ochrony gatunków chronionych w zbiorniku Pil-



Zawiadomienie złożyła RDOŚ, która punktuje naruszenia zasad, chroniących przyrodę w czasie remontu

chowice. Najważniejsze nieprawidłowości?

Przedsięwzięcie było realizowane z naruszeniem obostrzeń nałożonych w decyzjach derogacyjnych (oficjalnych zgód na odstępstwo od ogólnie obowiązujących zakazów lub przepisów prawnych). Nadzór

przyrodniczy miał w dużej mierze charakter wybiórczy. Na placu budowy nie wyznaczono specjalistów z zakresu chiropterologii, teriologii oraz zoologii, co stanowiło bezpośrednie złamanie warunków zawierających zgody na odstępstwa wobec fauny.

Nadzór ornitologiczny z góry założył brak zagrożeń dla lęgów.

Herpetolog zlecił rozstawienie wygrodzeń ochronnych jedynie w uregulowanej, zurbanizowanej strefie przy samej zaporze, pomijając naturalne zatoczki stanowiące właściwe miejsca rozrodu płazów.

Ciężki sprzęt wjechał w koryto rzeki w celu budowy brodu bez sprawdzenia dna przez ichtiologa lub zoologa, co mogło zniszczyć zimowiska gatunków dennych.

Z kontroli RODŚ wynika, że mimo pogarszających się warunków bytowych, 28 i 29 czerwca nie wstrzymano zrzuć wody. W rezultacie śniegu uległa znaczna liczba organizmów – zebrano i przekazano do utylizacji 23,47 ton martwych ryb. Akcja ratunkowa ocalała zaledwie około 2,22 tony żywych przeniesionych do zbiornika Wrzeszczyn.

0011564081

Z głębokim żalem i smutkiem
przyjeliśmy wiadomość o śmierci

ś†p

Barbary Korony

naszej wieloletniej Pracownicy i Koleżanki.

Odeszła od nas Osoba zawsze zaangażowana
i oddana swojej pracy.

Pozostanie na zawsze w naszej pamięci.

Rodzinie oraz Bliskim



składamy wyrazy najgłębszego współczucia.

Zarząd i Pracownicy firmy ARKOP

0011565373

Z głębokim żalem zawiadamiamy,
że w wieku 81 lat zmarł

ś†p

Zbigniew Stankiewicz

emerytowany kustosz dyplomowany.

Uroczystości pogrzebowe rozpoczną się
w dniu 11 sierpnia 2026 r. o godz. 11.20
w kaplicy cmentarza komunalnego przy ul. Osobowickiej,
po których nastąpi odprowadzenie Zmarłego
do grobu rodzinnego.

Przyjaciele



REKLAMA

0011486419

ZAKŁADY POGRZEBOWE

● „ABEL” – Zakład Pogrzebowy, bezgotówkowa organizacja pogrzebów i kremacji. Całodobowe przewozy zmarłych z domu, szpitali, hospicjum. Tel. całodobowe, kom. 502-922-708, 71/355 92 23 ul. Św. Wincentego 10 A.

● „ADORIA” Usługi Pogrzebowe. Tanio, profesjonalnie i bezgotówkowo. Całodobowy odbiór ciała z dowolnego miejsca. Pożegnania i kremacje. Obsługa ekskluzywnym karawanem. Biuro na terenie cm. Osobowice 59a - wszystkie sprawy w jednym miejscu. Tel. całodobowy 71 352 52 05 lub 503 33 83 84.

● „ANUBIS” – kompleksowe usługi pogrzebowe - profesjonalnie - bezgotówkowo. Dom Pogrzebowy, biuro i własna kaplica i chłodnia, organizowanie pożegnań przed kremacją oraz czuwanie przy zmarłym przed pogrzebem tradycyjnym

w godzinach dogodnych dla klienta. Wrocław, ul. Szpacza 32/34, tel. 71 350 01 01 całodobowy. Biuro: Wrocław, ul. Dubois 20, Wróblowice, ul. Stawowa 5. Całodobowe przewozy zmarłych kraj i zagranicą. Załatwianie formalności również w domu klienta. Telefony całodobowe 71 328 83 85, 723 030 303.

● „ARCHON” – Zakład Pogrzebowy tel. 71 332 60 60 – całodobowe przewozy zmarłych. Własna chłodnia i kaplica, rozliczenia bezgotówkowe, wyrabianie aktów zgonu i wszystkich formalności ZUS i USC. Obsługa ceremonii pogrzebowych ekskluzywnym karawanem Mercedes Pilato gratis. Nasze oddziały: Włodkowica 37, Hallera 112, Bogusławskiego 33, Traugutta 67, Skłodowskiej-Curie 49, Kiełczowska 90 (cm. komunalny), Krzywoustego 287, Trzebnicka 67,

ul. Grabiszyńska 101, ul. Zaporoska 83, www.zaklad-pogrzebowy.com.pl

● „WITWICCY” Zakład Usług Pogrzebowych, Producent Trumien. Całodobowy przewóz zmarłych. Rozliczamy ZUS, KRUS, WBE, MSWiA w zakładzie. Własna chłodnia. Kompleksowo. Solidnie! Wrocław Borowska 254 - naprzeciw Akademii Medycznej, Wrocław Kościuszki 67/1a – róg Gwarnej, Krzyżowice ul. Główna 14 gm. Kobierzyce, Sobótka ul. Św. Anny 19/1, 71/889-00-60, www.zakladpogrzebowy24.pl

● CAŁODOBOWE PRZEWOZY ZMARŁYCH dla miasta Wrocławia i Dolnego Śląska. Najniższe ceny. Tel. 502-922-708, 71 322-60-16.

● KREMATORIUM – ARCHON, ul. Kiełczowska 90, tel. 71 345 73 43

- całodobowo. Kompleksowe usługi kremacyjne i pogrzebowe, ustalanie terminów. Całodobowy odbiór osób zmarłych z domu, szpitali, hospicjów. www.krematorium.wroclaw.pl

● MIĘDZYNARODOWE PRZEWOZY ZMARŁYCH, tel. 71/332-60-60 – całodobowo. Przewóz zmarłych i prochów z państw całego świata. Załatwiamy wszelkie pozwolenia i formalności. Posiadamy licencję na transport zmarłych z Francji. www.zaklad-pogrzebowy.com.pl

● ROCH – Zakład Pogrzebowy, bezgotówkowo, kompleksowo. Całodobowe przewozy zmarłych z domu, szpitali, hospicjum. Tel. całodobowe 71/322 60 16, kom. 502-922-708, Wrocław, ul. Św. Wincentego 10 a (dawna Obrońców Pokoju).

Dziś pożegnamy

Pogrzeby 10.07
● GRABISZYN
Piotr Hucał g. 9.00
Urszula Gajer g. 10.00
Małgorzata Raziuk g. 11.00
Jarosław Dyczko g. 12.00
Genowefa Cioroń g. 13.00
Zuzanna Bombera g. 14.00

● OSOBOWICE

Marek Andrzej Chmielewski g. 8.00
Danuta Neun g. 8.40
Teresa Jaworek g. 9.20
Hubert Mordawski g. 10.00
Irena Aleksandra Wrzesińska g. 10.40
Bogusław Synator g. 11.20
Wiesław Michał

Koprowski g. 12.00
Elżbieta Anna Sadowińska g. 12.40
Maria Romano g. 13.20
Roman Adam Kancłerski g. 14.00
Ilona Wolszczak g. 14.40
Krystyna Danuta Szczepańska g. 15.20
● PSIE POLE
Stanisław Graczeński g. 8.00

Nasizhat Gadzhiaxmedova g. 9.00

● PAWŁOWICE

Tadeusz Fiałkowski g. 12.00

Zarząd Cmentarzy Komunalnych,
pl. Strzelecki 19/21, 50-224 Wrocław

FOKUS

• **Coraz więcej samochodów** użytkowanych jest w formie wynajmu długoterminowego

POLITYKA

Karol Nawrocki. Rok prezydentury. Walka z rządem, budowanie swojej pozycji

Pierwszy rok prezydentury Karola Nawrockiego był naznaczony wetami i nieustanną wojną z ekipą Donalda Tuska. Trudno zakładać, żeby w najbliższym czasie coś się miało zmienić

Dorota Kowalska

6 sierpnia minął rok od zaprzysiężenia prezydenta Karola Nawrockiego. I jeśli ktoś zakładał, że będzie to rok pełen politycznych emocji, ciągłych sporów nowego prezydenta z rządem Donalda Tuska i jego walki o rząd dusz na prawicy, nie pomylił się ani na jotę.

Najlepiej zresztą podsumował to premier Tusk, pytany o sytuację na prawicy i rok prezydentury Karola Nawrockiego. – Z całą pewnością na prawicy zawodnikiem wagi ciężkiej jest prezydent Nawrocki – ocenił. – Nie mówię tutaj o gabarytach i o boksie, tylko o tym chyba nie do końca przewidzianym przez Kaczyńskiego pojedynku między nimi. Moim zdaniem Kaczyński nie ma szans – podsumował szef rządu.

Dodał, że z okazji rocznicy powstrzyma się od „przesadnie złośliwych uwag”, ale wskazał trzy decyzje prezydenta, które, jego zdaniem, miały szczególne znaczenie. I w tym kontekście wymienił weto wobec europejskiego programu SAFE, ulaskawienie „Starucha” oraz weto wobec ustawy regulującej status osoby najbliższej.

Owszem, rozmawia z Karolem Nawrockim, ale jak zaznaczył premier, te rozmowy odbywają się zawsze z jego inicjatywy. Ostatnia dotyczyła rosyjskiej rakiety, która spadła w województwie lubelskim.

No cóż, rządzący lekko z prezydentem nie mają, ale, powiedzmy sobie szczerze, można się było tego spodziewać już w czasie kampanii prezydenckiej. Prezydent Nawrocki nigdy nie ukrywał, że uważa Donalda Tuska za najgorszego premiera III RP i robi wszystko, aby utrudnić życie koalicji 15 października i odsunąć ją od władzy. Słowa dotrzymał. Wystarczy wspomnieć, że w ciągu pierwszego roku swojej prezydentury podpisał 243 ustawy, ale 41 zawetował. Więcej niż wszyscy dotychczasowi prezydenci – nawet ci, którzy swój urząd sprawowali dwie kadencje. Może stąd przydomek „wetomat”.

Niektórzy komentatorzy sceny politycznej zwrócili uwagę, że prezydent zachowuje się jak „nadpremier”, w każdym razie próbuje nadać



Właśnie mija rok od zaprzysiężenia Karola Nawrockiego na prezydenta Polski

ton pracom ekipie Donalda Tuska. Najwidoczniej zauważył to także sam Tusk, pewnie stąd jego słowa o tym, że „prezydent jest od reprezentowania, a rząd od rządzenia”.

Ale prezydent Nawrocki robi swoje i tam gdzie może, mówi: nie. W połowie listopada Pałac Prezydencki zablokował awanse ponad 100 funkcjonariuszy i żołnierzy ABW oraz SKW. Pretekstem miała być odmowa stawienia się u głowy państwa przez szefów służb specjalnych.

Nawrocki odmówił także przyznania odznaczeń i orderów funkcjonariuszom ABW, także tym, którzy mieli zostać odznaczeni w związku ze zwalczaniem wrogich aktów dywersji.

Wszystko zmieniło się w kwietniu tego roku – prezydent Karol Nawrocki nagle podpisał 96 nominacji oficerskich dla funkcjonariuszy Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego i nadał odznaczenia państwowo.

Wcześniej Nawrocki nie zgodził się na nominację 46 sędziów. Każdy z tych sędziów podpisał wcześniej dwa rodzaje listów: protest przeciwko tzw. wyborom kopertowym oraz apel o wykonanie wyroków Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej dotyczących Izby Dyscyplinarnej.

Prezydent nie zgadza się też na wiele nominacji ambasadorskich i nie przyjmuje ślubowania od części

wybranych sędziów Trybunału Konstytucyjnego.

Z drugiej strony, premier Donald Tusk kilkakrotnie odmówił kontrasygnaty decyzji prezydenta, nie chce iść na kompromis w kwestii wyboru niektórych ambasadorów czy ustaw przygotowanych w Pałacu Prezydenckim.

Jedni mówią więc o wojnie totalnej, inni o „nie najlepszych stosunkach małego i dużego pałacu”.

Na szczęście w poważnych sprawach, gdy w grę wchodziło bezpieczeństwo kraju, premier z prezydentem współpracują. Mowa o wlocie nad Polskę rosyjskich dronów we wrześniu 2025 roku czy ostatnim naruszeniu polskiej przestrzeni przez pocisk z Rosji. Jedyna rzecz, jaka różniła w tej kwestii Pałac Prezydencki i Kancelarię Premiera, to unijny program SAFE. Rząd postawił jednak na swoim i, mimo weta prezydenta, z programu skorzystał.

Karol Nawrocki walczy jednak nie tylko z rządem Donalda Tuska, walczy także o rząd dusz na prawicy, ale jedno z drugim jest ściśle powiązane.

– Nawrocki i szefowie jego gabinetu mają świadomość, że mogą przejąć rząd dusz nad prawą stroną, że Jarosław Kaczyński jednak przestaje dawać radę. Ale nie wieszczę końca Jarosława Kaczyńskiego. Natomiast jest bliżej końca niż początku.

W związku z tym Karol Nawrocki wszedł tu ze swoją polityką „z buta”. Zresztą jest to bardzo dobre z punktu widzenia jego PR-u politycznego – mówił już w styczniu tego roku w podcaście „Strefa Wpływów” ekspert ds. marketingu politycznego dr Mirosław Oczkoś.

W artykule opublikowanym w środę, 5 sierpnia, na stronie internetowej francuskiego dziennika „Le Monde” czytamy, że Karol Nawrocki „nie ukrywa swoich ambicji zdominowania całej polskiej prawicy, nawet jeśli oznacza to okazanie pobłażliwości rosnącej w siłę skrajnej prawicy”.

I nie są to słowa na wyrost. Jak wynika z najnowszym sondażu United Surveys dla Wirtualnej Polski 20,4 proc. badanych uważa, że to Karol Nawrocki jest obecnie faktycznym liderem obozu polskiej prawicy. Na prezydenta wskazało więcej osób niż na Jarosława Kaczyńskiego, który zdobył 19,8 proc. głosów. Największy odsetek Polaków uważa jednak, że polska prawica nie ma dziś jednoznacznego przywódcy.

Karol Nawrocki w ogóle cieszy się popularnością wśród Polaków. Rok po jego wyborze na urząd prezydenta utrzymuje bardzo wysokie notowania. Pod koniec lipca CBOS podał, że jego działalność pozytywnie ocenia aż 56 procent badanych. To najwyższy wynik głowy państwa od początku jego kadencji. Podobnie jest w przypadku rankingów zaufania. Badanie IBRiS dla Onetu, opublikowane w ostatnim tygodniu lipca, pokazuje, że Nawrockiemu ufa 51,3 procent ankietowanych, co jest najlepszym wynikiem wśród polityków. Jednocześnie nieufność wobec prezydenta deklaruje 41,6 procent badanych.

To świetny wynik. Karol Nawrocki buduje się politycznie, chwali dobrymi relacjami z prezydentem Donaldem Trumpem, jeździ po Polsce i świecie. Jest tylko jedno „ale”: w kampanii prezydenckiej zapowiadał, że chce być prezydentem sprawczym i aktywnym. Póki co, jego aktywność sprowadza się głównie do wetowania ważnych dla rządu ustaw i wychodzenia z inicjatywami, które z góry skazane są na porażkę i z których kompletnie nic dla nas nie wynika.

PAP

KRÓTKO

mObywatel

Sprawdź, czy masz ważne dokumenty

Ministerstwo Cyfryzacji przypomina, że dokumenty użytkowników, którzy do środy nie zalogowali się do aplikacji mObywatel wygasły i konieczne jest przywrócenie ich ważności. Niezbędne to będzie m.in. użycie e-dowodu lub profilu zaufanego, a w przypadku legitymacji wygenerowanie kodu QR. PAP

Wągrowiec

Dwaj chłopcy utonęli w jeziorze

Dwaj chłopcy w wieku 13 lat utonęli w środę po południu w Jeziorze Durowskim. Wyciągnięto ich z wody po kilkudziesięciu minutach poszukiwań. Zgłoszenie o zdarzeniu służby dostały po godzinie 14. Dzieci były pod wodą około 40 minut. Do tragedii doszło kilka metrów od brzegu, na niestrzeżonej plaży. Kiedy jeden z chłopców zaczął tonąć – drugi ruszył mu na pomoc. Reanimacja obu chłopców trwała około godziny. Lekarz LPR stwierdził ich zgon. Trwa wyjaśnianie okoliczności zdarzenia. PAP

Sąd

Ma przeprosić i wpłacić 10 tys. na hospicjum

Wiceprzewodnicząca KO Izabela Leszczyna musi przeprosić b. wiceministra sprawiedliwości Marcina Warchoła za słowa, że roztoczył on „parasol ochronny” nad jedną z firm pożyczkowych, i że ustawa dla niepoznaki nazywa się antylichwiarską. Ma także wpłacić 10 tys. zł na dziecięce hospicjum w Rzeszowie – zdecydował Sąd Apelacyjny w Rzeszowie. Rozstrzygnięcie SA jest prawomocne. Stronom przysługuje kasacja. PAP



FOT. ADAM JANKOWSKI

Wszystkie zmiany w podatkach muszą być zgodne z naszymi zobowiązaniami wobec partnerów z Unii Europejskiej

ANDRZEJ DOMAŃSKI
minister finansów i gospodarki

NIEMCY

Ekstremalne upały winne śmierci około 9,6 tys. osób. Tylko w jednym tygodniu

Anna Nagel

W następstwie ekstremalnych upałów w tygodniu od 22 do 28 czerwca, gdy w wielu miejscach w Niemczech temperatura sięgała 40 stopni, zmarło około 9,6 tys. osób. To prawie dwa razy więcej, niż wcześniej szacowano.

Pierwotnie Instytut Roberta Kocha (RKI) podawał dla tego okresu ponad 5 tys. zgonów z powodu ekstremalnych upałów.

Według RKI łącznie liczba tegorocznych zgonów związanych z upałami wzrosła do około 11,9 tys. Jak podał instytut, to znacznie więcej niż w którymkolwiek pełnym roku od 2016 r. Najwięcej ofiar upałów w Niemczech odnotowano do tej pory w 2018 roku – około 9 tys.

RKI podkreślił, że ekstremalnie wysokie temperatury są groźne przede wszystkim dla osób starszych. Ponad 6 tys. zgonów w tygodniu pod koniec czerwca dotyczyło osób w wieku 85 lat i więcej, blisko 3 tys. osób w wieku od 75 do 84 lat. Wśród osób poniżej 65. roku życia odnotowano ponad 1,1 tys. zgonów.

Jak podał RKI, od 22 do 28 czerwca średnia tygodniowa temperatura w Niemczech wyniosła 26,4 stopnia, to znacznie powyżej prognozy 20 stopni, od którego zwykle rośnie śmiertelność związana z upałami.

Z danych Niemieckiej Służby Meteorologicznej wynika, że tegoroczny czerwiec był w Niemczech drugim najcieplejszym od początku pomiarów. Odnotowano najwyższą temperaturę w historii kraju – 41,7 stopnia w Neisseuende-Coschen (Brandenburgia), przy granicy z Polską. Noc z 27 na 28 czerwca była z kolei najcieplejsza w dziejach obserwacji.

Federalna Izba Lekarska, około 80 innych europejskich organizacji ochrony zdrowia oraz organizacje ekologiczne domagają się od Niemiec i UE podjęcia większych działań na rzecz ochrony przed upałami. Apelują m.in. o dostosowanie placówek opiekuńczych, żłobków, przedszkoli i szkół do warunków klimatycznych. PAP



Ekstremalnie wysokie temperatury są groźne przede wszystkim dla osób starszych

CZECHY

Miały być żywe krowy zamiast konserw, ale nie było chętnych

Anna Nagel

Zarząd Państwowych Rezerw Materiałowych (SSHR) chciał mieć w strategicznych zapasach żywe krowy na pastwisku. Do pierwszego w historii przetargu nikt się jednak nie zgłosił.

Przetarg przewidywał, że strategiczne stado miało liczyć łącznie 240 ton rzeźnych krów i byków. Rolnik, który miałby się opiekować takimi zwierzętami, musiałby zagwarantować, że będą one zawsze dostępne i gotowe do uboju w wymaganej liczbie.

„Byliśmy tym nieco rozczarowani, ponieważ wcześniej słyszeliśmy, że to wspaniały pomysł. Nie było żadnych zastrzeżeń, uwag ani pytań dotyczących zamówienia, ale ostatecznie nikt

się nie zgłosił. Trudno spekulować, dlaczego” – powiedział portalowi szef SSHR Pavel Szvagr.

Jego zdaniem utrzymywanie żywego stada jest tańsze, niż przechowywanie mrożonych zapasów mięsa, które i tak muszą być regularnie odnawiane. Ponadto podaż mrożonego mięsa na rynku jest ograniczona.

SSHR ogłosi teraz ponownie przetarg z nieznacznie zmienionymi parametrami. W przyszłości państwo chce mieć w strategicznej rezerwie jedną trzecią mięsa w postaci żywego stada, jedną trzecią w konserwach i jedną trzecią w postaci innych produktów mięsnych.

Rezerwy materiałowe Czech są przechowywane w kilkudziesięciu magazynach. Część z tych lokalizacji jest utajniona. SSHR dysponuje aktywami o wartości kilkudziesięciu miliardów koron. PAP

SPOTKANIE

Polska-Ukraina. Jest wola i pomysły, jak poprawić relacje

Anna Nagel

Paweł Kowal, przewodniczący sejmowej komisji spraw granicznych i szef rady ds. współpracy z Ukrainą, spotkał się w Kijowie z ministrem spraw zagranicznych Ukrainy Andrijem Sybiha. Oceniał, że po stronie ukraińskiej jest dobra wola i pomysły, jak poprawić relacje między dwoma krajami.

„Problemy są, były i będą – tak jest między sąsiadami. Naszym obowiązkiem jest je rozwiązywać ku obopólnej korzyści naszych narodów. (...)! Dziękuję Panie Ministrze za zaproszenie, za czas i możliwość pogłębionej rozmowy z Panem oraz kręgiem ukraińskich dyplomatów zaangażowanych w relacje polsko-ukraińskie. Czuło się, że jest dobra wola i pomysły, jak poprawiać nasze relacje” – napisał Kowal na Facebooku po rozmowach, które odbyły się w środę.

Polityk poinformował, że spotkanie było okazją, by „krok po kroku przedyskutować pozytywne (które dominują) i problematyczne kwestie w naszych relacjach w szerszym międzynarodowym planie w kontekście ustaleń pana premiera RP Donalda Tuska i pana prezydenta Ukrainy W. (Wołodymyra) Zelenskiego.

Sybiha, komentując rozmowy z Kowalem na platformie X napisał, że ich tematem było wzmacnianie partnerstwa strategicznego, pogłębianie współpracy w dziedzinie bezpieczeństwa, rozwijanie praktycznych inicjatyw dwustronnych oraz utrzymywanie ścisłych kontaktów na wszystkich szczeblach.

„Bezpieczeństwo regionalne pozostaje naszym wspólnym priorytetem. Omówiliśmy praktyczne sposoby po-



Spotkanie Pawła Kowala i Andrija Sybihi było okazją, by „krok po kroku przedyskutować pozytywne i problematyczne kwestie w relacjach polsko-ukraińskich”

głębiania współpracy w tym zakresie, ze szczególnym uwzględnieniem wzmocnienia zdolności obrony powietrznej Ukrainy. Niedawne wtargnięcie rosyjskiej rakiety na terytorium Polski oraz kolejny pokaz, że rosyjska agresja wpływa na bezpieczeństwo całego regionu” – podkreślił Sybiha.

Przekazał, że rozmawiano także o odbudowie Ukrainy i większym zaangażowaniu w nią polskich firm, a także o wspólnych projektach, dla których impulsem była czerwcowo Konferencja na rzecz Odbudowy Ukrainy (URC2026) w Gdańsku.

„Pielęgnowanie pamięci historycznej oraz rozwiązywanie innych istotnych kwestii z wzajemnym szacunkiem powinny stanowić fundament silnych relacji między naszymi narodami. Jestem wdzięczny Polsce za przywództwo i wsparcie udzielane Ukrainie od pierwszego dnia pełnoskalowej rosyjskiej inwazji. Jestem przekonany, że będziemy nadal



wspólnie rozwijać pragmatyczne, do-
brosąsiedzkie relacje” – napisał na X.

Kowal rozpoczął wizytę na Ukrainie w poniedziałek. Spotkał się w Kijowie z wiceszefową kancelarii prezydenta Iryną Wereszczuk. Tematem rozmów były ekshumacje ofiar zbrodni wołyńskiej oraz dialog historyczny między Polską a Ukrainą, a także udział Polski w powojennej odbudowie Ukrainy.

W środę Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego poinformował, że Kowal współprzewodniczył także spotkaniu polsko-ukraińskiej Grupy Roboczej ds. Godnych Pochówków, która odbyła się we Lwowie. Jego tematem było podsumowanie dotychczasowych prac prowadzonych w Ukrainie oraz polskie wnioski dotyczące poszukiwań w Uglach, Wiśniowcu, Hucisku oraz Miedziakach. Ukrainę reprezentował wiceminister kultury Iwan Werbycki. PAP

UKRAINA

Była ambasadorka w USA ma wpłacić 6 mln hrywien

Alina Mazurska

Wyższy Sąd Antykorupcyjny Ukrainy (WAKS) zastosował środek zapobiegawczy wobec byłej ambasadorki Ukrainy w USA Olhy Stefaniszyny. Jest ona podejrzana o nielegalne wzbogacenie się i ma wpłacić 6 mln hrywien kaucji, równowartość ok. 500 tys. złotych.

Portal Suspilne podało, że Stefaniszyna ma również obowiązek stawiania się na wezwanie detekty-

wów Narodowego Biura Antykorupcyjnego Ukrainy (NABU), informowania o zmianie miejsca zamieszkania oraz powstrzymywania się od kontaktów ze świadkami w swojej sprawie.

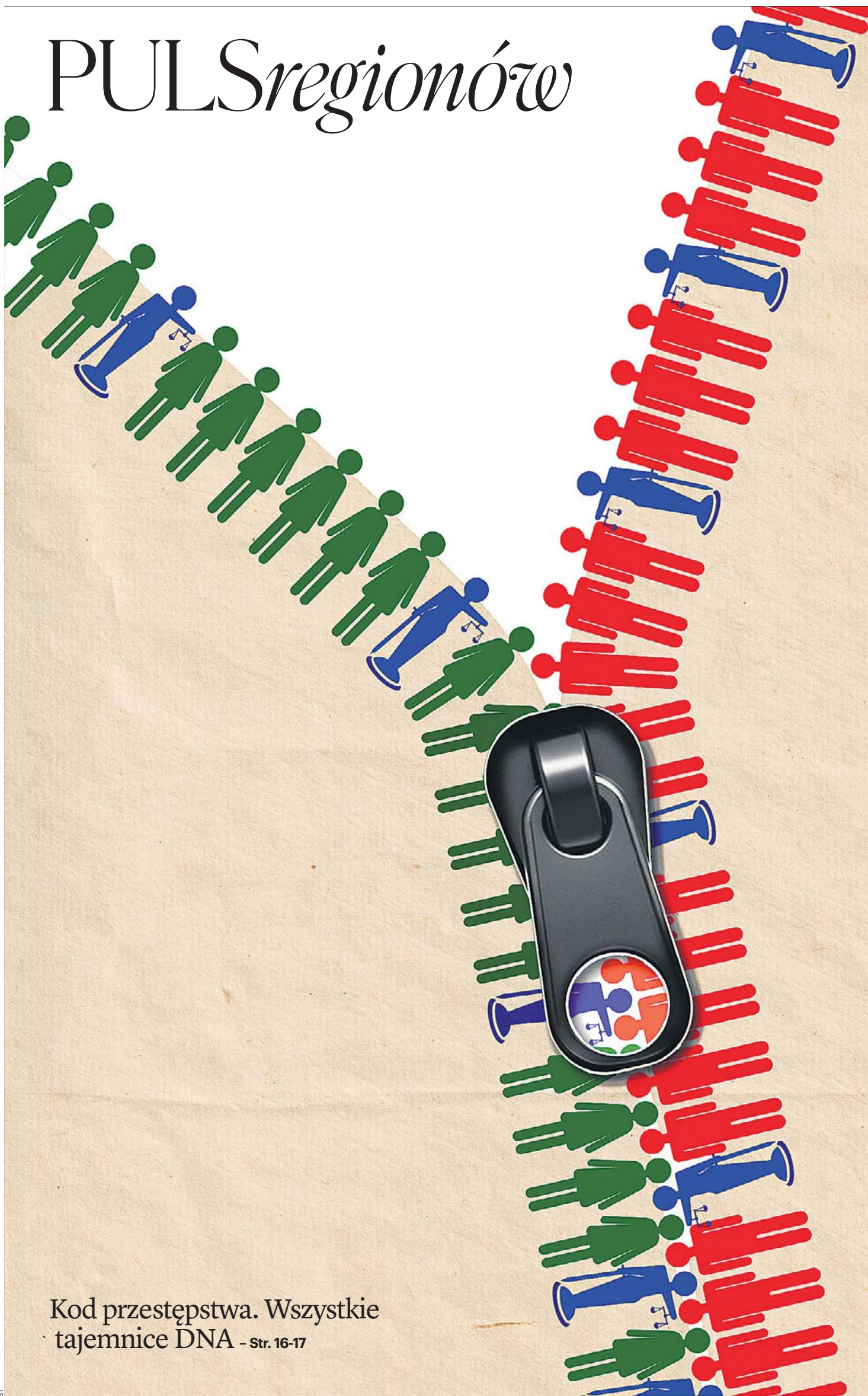
Stefaniszyna jest podejrzana o nielegalne wzbogacenie i złożenie nieprawdziwego oświadczenia majątkowego. Według śledczych nie zadeklarowała dwóch mieszkań w Kijowie, wydatków na ich remont, kosztów wynajmu mieszkania, korzystania z samochodu marki Mercedes, a także opłacenia

biletów lotniczych i leczenia swojej matki.

Po ujawnieniu informacji o podejrzeniach Stefaniszyna odniosła się do sprawy, podkreślając, że kwestie dotyczące nieruchomości „publicznie i szczegółowo wyjaśniła ponad rok temu” oraz że „nie miała i nie ma nic do ukrycia” – napisała agencja Interfax-Ukraina.

Prezydent Ukrainy Wołodymyr Zełenski wydał 3 sierpnia dekret, którym Stefaniszyna została zwolniona ze stanowiska ambasadora w Stanach Zjednoczonych. PAP

PULSregionów



Kod przestępstwa. Wszystkie
tajemnice DNA - Str. 16-17

MOIM ZDANIEM

LESZEK WALIGÓRA
publicysta

Dobra, szatańska liczba

Pcha wózek, patrzy w telefon, nawet okiem na jezdnię nie rzuciła. I wjeżdża na przejście, pewnie nawet nie wie, że auta po obu stronach hamują. A dzidzia w wózku, patrzy mi w oczy ciумkając smoczka. 200 metrów dalej sytuacja się powtarza. Tym razem znów mama z oczami w telefonie, znów wózek, ale za to dzieci dwójka. Auta hamują, pani radośnie coś tam komuś odpisuje. Trzecie pasy. Tym razem tata, dryblas, ciągnie rezolutnego chłopczyka. Może 4 lata. Kręcone włoski, ciekawskie spojrzenie. Mierzy moją srebrną strzałę od kół po dach, pewnie fachowo zastanawia się nad pojemnością silnika i zużyciem bieżnika. Ojciec nie, ojciec tkwi w telefonie. Pal licho, że na przejściu. Gorzej, że w połowie pasów uznaje, że należy skrócić dystans i maszeruje dalej, ciągnąc za sobą malca, środkiem jezdni. Auta stoją. Nikt nie trąbi, choć każdy ma ochotę. Bo po co straszyć synka, kiedy ojciec gapa.

I nie, nie będzie to kolejna opowieść o ludziach, którym życie przepływa przez telefony, a prawdziwe ucieka. Jeszcze 10 lat temu to byłaby historia tragiczna. „Jednego dnia, w średniej wielkości mieście wojewódzkim, pod kołami samochodów zginęło troje dorosłych i czworo małych dzieci. Mimo prowadzonej reanimacji nie udało się przywrócić funkcji życiowych potrąconych osób. Funkcjonariusze policji stwierdzili, że piesi nie zachowali niezbędnej ostrożności i wtargnęli na jezdnię. W co najmniej jednym z przypadków kierowca przekroczył dozwoloną prędkość, a inny złamał przepisy, wyprzedzając na przejściu dla pieszych”. Mniej więcej tak wyglądałaby notka sporządzona przez znużonego wypadkami reportera. Bo ileż można.

Ale stało się coś dziwnego. Pierwsze półrocze tego roku upłynęło pod znakiem szatańskiej liczby 666. Tyle osób zginęło na polskich drogach w tym czasie. I jest to wiadomość... optymistyczna. Bo to był historycznie najmniejszy odsetek wypadków i ofiar śmiertelnych od czasu, gdy w Polsce zaczęto to mierzyć. Od roku 1997 do dziś, liczba wypadków spadła o ponad 69 procent. Liczba ofiar śmiertelnych w tamtym roku wyniosła, uwaga, 7311. Jeśli nawet te 666 trupów z pierwszej połowy tego roku, do 31 grudnia się podwoi... to będzie przecież 6 tysięcy osób zabitych mniej. Wiele tysięcy osób rannych mniej. Przełom!

W tym państwie z kartonu sklejonego szpagatem, gdy jeden rząd wyrwca wszystko, co robi drugi, gdzie prezydent zawetuje każdy przepis rządu, zgoda dotycząca bezpieczeństwa okazuje się prawdziwa. I nie chodzi, jak widać, tylko o to militarne, a to jak najbardziej przyziemne. To długa historia dobrych decyzji – pewnie jakies złe po drodze były również. Niedawno pisaliśmy o historii światła ulicznych, które w Polsce pojawiły się dopiero w dwudziestolecie międzywojennym, tak samo jak na świecie, od razu drastycznie zmniejszając liczbę wypadków. Ale przez ostatnie 30 lat mieliśmy dużo więcej dobrych zmian. Obowiązkowe pasy w samochodach – tak, tak, kiedyś były nieobowiązkowe. Obowiązek jeżdżenia przez cały rok na światłach. Brak taryfy ulgowej dla kierowców jeżdżących na podwójnym gazie. Ograniczenie prędkości w terenach zabudowanych – tak, strefa tempo 30 to jest przy potrąceniu pieszego różnica między życiem i śmiercią. Fotoradary i odcińkowe pomiary prędkości. Konfiskata samochodów. I wreszcie przepis, który miał się nie udać. Bezwzględne pierwszeństwo pieszych na przejściu. Mieliśmy mieć festiwal wariatów za kółkiem. Owszem, czasem zdarzy się kretyn, który brak wyobraźni i umiejętności nadrabia prędkością. Dla takich ludzi jest sąd i więzienie, o ile sami się nie wyeliminują z puli genetycznej. Ale przepis o pierwszeństwie pieszych na pasach działa. Nawet jeśli jeden z drugim sami łamią przepisy, gapiąc się w ekraniki.

Z CZEGO JUTRO ...? 300. ARTYKUŁ Z TEGO CYKLU

ANDRZEJ SADOWSKI
Centrum im. Adama Smitha

Zasady programu dobrostanu, czyli „bogactwo obywateli, głupcze!”

Obecny system sprawowania władzy i organizacji działalności państwa nie jest w stanie zagwarantować obywatelom nawet fizycznego bezpieczeństwa, a z roku na rok utrudnia tworzenie dobrobytu powstającego wyłącznie z ich pracy i przedsiębiorczości. Miarą sprawczości systemu stały się prowokacje i represje urządzane przez jego biurokratyczny aparat wobec firm. Osłabianie i blokowanie naturalnych źródeł bogactwa narodu polskiego skomplikowanymi i podwyższanymi nieustannie podatkami oraz mnożeniem przepisów, nierzadko bez podstawy w prawie unijnym, stało się praktyką kolejnych rządów i parlamentów. Skrajne sformalizowanie działalności gospodarczej najmniejszych rozmiarów jak w przypadku SENT prowadziło do fizycznej likwidacji polskiej przedsiębiorczości.

Nawet długotrwała wojna tocząca się tuż za granicą państwa polskiego nie doprowadziła między ugrupowaniami zasiadającymi w parlamencie do konsensusu – na miarę coraz dramatyczniejszej powagi sytuacji wraz z kolejnymi wlatującymi na teren Polski pociskami manewrującymi – i racji stanu, co tylko potwierdza głęboką dysfunkcjonalność systemu sprawowania władzy, w którym doraźne partyjne interesy mają pierwszeństwo przed wielopokoleniowymi interesami obywateli. Bezpieczeństwo państwa zaczyna się od bezpieczeństwa gospodarczego jego obywateli, które wobec anarchizacji działań aparatu sądowiczego działającego na krawędzi chaosu od dawna nie jest chronione zwłaszcza przed nadużyciami władzy. W praktyce tzw. sądownictwo rozstrzyga spory w sposób urągający Międzynarodowemu Paktowi Praw Obywatelskich i Politycznych.

Wiarygodność instytucji państwa przy drapieżności ich poczynań wobec obywateli oceniana tylko przez pryzmat zachowań sądowej opriczyny i w tzw. publicznej służbie zdrowia dawno przekroczyła kolejne punkty krytyczne. Traktowanie obywateli jawnie przedmiotowo i instrumentalnie, którzy dla aparatu władzy są przede wszystkim płatnikami składek i innych podatków prowadzi do odtworzenia podziału z czasów komunistycznego reżimu na „my i oni”. Stan ten od dekad pogłębiają przepisy i praktyki władz traktowania polskich obywateli, a zwłaszcza przedsiębiorców zauważalnie gorzej niż obywateli obcych państw działających w Polsce.

Pierwszą z zasad Programu Społecznego Dobrostanu „Bogactwo obywateli, głupcze!” jest likwidacja

dyskryminacji prawnej, podatkowej oraz w dostępie do usług publicznych polskich obywateli i przedsiębiorców. Jeżeli rządy przyznały przywileje obywatelom i firmom z innych państw, to te same należą się z mocy konstytucji obywatelom Polski.

Drugą z zasad jest uchwalanie tylko takiego prawa, które w udokumentowany sposób oszczędza czas i pieniądze obywateli. Najcenniejszym, a zarazem najbardziej marnowanym zasobem jest ich praca i czas. Rosnącymi podatkami i mnożonymi przepisami systematycznie niszczone jest moralna motywacja do pracy i przedsiębiorczości, które są ostoją rozwoju również w czasach AI. Trzecią z zasad jest objęcie konstytucyjną ochroną pracy i przedsiębiorczości obywateli Polski, które są prawdziwym źródłem bogactwa narodu polskiego. Programy społeczne nie mogą zastępować pracy i mają charakter wyłącznie interwencyjny. Dziś prowadzą do patologicznego klientelizmu politycznego finansowanego z nieustannego zwiększania redystrybucji bogactwa przez aparat.

Ostatnią z zasad jest zmiana obecnego ustroju na prawdziwie demokratyczny oddający obywatelom kontrolę nad władzą na wzór sprawdzonych rozwiązań Konfederacji Szwajcarskiej, w tym z korzystaniem na co dzień z instytucji referendum. Zmiana ordynacji wyborczej na większościową z jednomandatowymi okręgami wyborczymi utożsamia zastąpienie dotychczasowej władzy sprawowanej w imieniu społeczeństwa władzą realizowaną w interesie obywateli.

Trwały rozwój, a nie tylko przelotnie dodatni, jest konsekwencją dobrego rządzenia oraz uczciwych i trwałych zasad. Skuteczność władzy interesu społecznego mierzy się skróconym czasem pracy potrzebnym obywatelowi na utrzymanie rodziny oraz tym, ile więcej z wypracowanego przez niego bogactwa pozostaje w jego kieszeni, a nie w budżecie państwa.

Obywatele potrzebują przywódców, którzy przestaną ich traktować jako źródło dochodów budżetowych, a zaczną traktować ich dobrostan jako miarę własnego sukcesu oraz trwałego miejsca dla siebie w historii narodu polskiego.

Andrzej Sadowski, założyciel i prezydent Centrum im. Adama Smitha – pierwszego w Polsce think tanku działającego od 16 września 1989 roku.

Wasył Bodnar, ambasador Ukrainy w Polsce: Jesteśmy sąsiadami, mamy za sobą trudną historię. Obecny kryzys jest jednym z najpotężniejszych, gdyż rzutuje na wszystkie wymiary współpracy



FOT. AMBASADA UKRAINY W WARSZAWIE

PRAWO



FOT. POLICJA ŚLĄSKA

29.07 w Kuźnicy Starej Jakub Sz. swoim BMW uderzył w 9-letniego Fabiana. Chłopiec nie przeżył. Kierowca był odurzony narkotykami (nie pierwszy raz!) i miał sądowy zakaz kierowania pojazdami. Ta tragedia pokazuje, jak kończy się nieskuteczne w Polsce eliminowanie takich osób z ruchu drogowego

Odurzeni i z sądowym zakazem jazdy - wiozą śmierć! Czy szybkie sądy pomagają?

Jakub Sz., który w lipcu zabił 9-letniego chłopca na Śląsku, kolejny raz prowadził auto po narkotykach; miał sądowy zakaz kierowania. Taki zakaz w kraju ma ponad 200 kierowców - wielu go jednak łamie. Jak ich skutecznie eliminować z polskich dróg? Może pomóc osądzanie w trybie 48-godzinny.

Małgorzata Oberlan

Tragedią z 29.07, do której doszło w Starej Kuźnicy (powiat kłobucki) na Śląsku, żyła cała Polska. Tego dnia wieczorem Jakub Sz., kierując BMW po narkotykach (kolejny już raz) uderzył w 9-letniego chłopca. Fabian jeździł rowerem przed swoim domem.

Dziecko uderzenia nie przeżyło - zmarło w nocy w szpitalu. Opinią publiczną dodatkowo wstrząsnęło to, jak zachował się po wypadku kierowca i kim był. Otóż po uderzeniu nie szukał ratunku dla chłopca, tylko chełpił się tym, że to „on prowadził ten samochód”. Potem też jego reakcje były nie normalne. Jak się okazało, 39-letni Jakub Sz. krytycznego wieczoru prowadził samochód pod wpływem narkotyków. W samochodzie natomiast miał jeszcze 29 gramów towaru. Jechało z nim dwoje pasażerów po trzydziestce. Kierowca był przestępcą drogowym. Nie miał prawa w ogóle siadać za kierownicą - nawet całkowicie trzeźwy i przytomny. Miał bowiem sądowy zakaz prowadzenia wszelkich pojazdów mechanicznych na okres pięciu lat - za jazdę motocyklem po narkotykach, ucieczkę

przed policją i posiadanie środków odurzających.

Ponad 200 tys. kierowców z sądowym zakazem

Po tym dramacie znów - na kilka dni przynajmniej - rozgorzała publiczna dyskusja. Znów o tym, jak to możliwe, że piraci drogowi z sądowymi zakazami kierowania - nawet dożywotnimi czy wielokrotnymi - mają je w nosie, notorycznie je łamią i dosłownie wiozą śmierć. Znów, bo dyskusja taka pojawia się w Polsce od lat regularnie, gdy dochodzi do tragedii w podobnych okolicznościach.

Obecnie w kraju jest ponad 200 kierowców z aktywnym zakazem kierowania wszelkimi pojazdami mechanicznymi. Niektórzy mają te zakazy orzeczone przez sądy dożywotnio (ponad 70 tys.). Około 36 tys. z tego grona ma te zakazy orzeczone wielokrotnie - od dwóch do nawet kilkunastu razy! Skąd te sądowe zakazy? To skutki pijanych rajdów, piractwa drogowego, spowodowanych wypadków. Decyzją sądów ich sprawcy mają być wyeliminowani z ruchu drogowego - na kilka lat albo i na zawsze. Niestety, co roku polska policja zatrzymuje ponad 15 tys. kie-

rowców łamiących zakaz. To tyle, ile liczą sobie małe miasteczka.

Od nowelizacji Kodeksu karnego w 2017 r. za złamanie takiego prawomocnego zakazu prowadzenia grozi kolejny zakaz - od roku do lat 15, a nawet kara więzienia od 3 miesięcy do lat 5. I cóż z tego wynika? W praktyce niewiele, jak się okazuje, bo problem wciąż istnieje i boli.

Szybki osąd i nieuchronność kary - według ekspertów tylko one mogą skutecznie podziałać. Być może rozwiązaniem jest stosowanie tzw. szybkich sądów wobec kierowców pijanych, odurzonych, łamiących sądowe zakazy jazdy. Tak już się dzieje choćby w Kujawsko-Pomorskiem.

„Tryb 48 h” - przyspieszony

Jak działa tryb przyspieszony osądzania? Dzięki niemu nietrzeźwy kierowca i/lub łamiący sądowy zakaz kierowania, zatrzymany na gorącym uczynku, może w ciągu 48 godzin stanąć przed sądem i usłyszeć wyrok. W tym czasie wszyscy: od policji przez prokuratora po sąd muszą się zmieścić.

Dotąd w Polsce tryb ten najczęściej stosowany był wobec tzw. stadionowych bandytów. Można go jednak stosować także wobec przestęp-

ców drogowych w określonych sytuacjach. Tak się już dzieje także w Kujawsko-Pomorskiem, a ostatnie przypadki - nagłaśniane przez policję i prokuraturę - są tego dowodem.

Zacznijmy od Bydgoszczy. Tutaj 56-letni kierowca recydywista usłyszał wyrok już nazajutrz po tym, jak wpadł w ręce policji 18.07 na ul. Bydgoskiej w Brzozie. - Za nic miał trzy sądowe zakazy, w tym dożywotni, prowadzenia wszelkich pojazdów mechanicznych. Ponownie jechał autem, mając ponad 2 promile alkoholu w organizmie - tak ujmuje w skrócie sytuację kierowcy Seata Cordoby nadkom. Lidia Kowalska z Komendy Wojewódzkiej Policji w Bydgoszczy.

Mężczyzna trafił do policyjnego aresztu. Policjanci zajęli się gromadzeniem materiału dowodowego. Udo- wodnili mu również 8 wykroczeń, które popełnił, jadąc seatem z Nowego Dąbia w kierunku Bydgoszczy. Były to m.in. przekroczenie podwójnej linii ciągłej, brak sygnalizowania manewru zmiany pasa ruchu.

Potem sprawą zajęli się śledczy z komisariatu na bydgoskich Wyżynach, którzy wdrożyli tryb przyspieszony, w ramach którego w ciągu 48 godzin podejrzanemu musi stanąć przed sądem. Tak też się stało. 20.07 Sąd Rejonowy w Bydgoszczy ogłosił wyrok: rok bezwzględne więzienia, 10 tys. zł do zapłaty, przepadek auta i podtrzymanie w mocy dożywotniego zakazu jazdy.

Wtorek, 21.07, godz. 20.50. O tej porze właśnie Kamila Ś. zatrzymała policja przy ul. Poznańskiej w Toruniu. Prowadził on Citroena pijany. W pierwszym badaniu alkomat wskazał ponad 1,6 promila alkoholu, w kolejnym - na ponad 1,4. Policjanci ustalili, że Kamil Ś. był już wcześniej prawomocnie skazany przez Sąd Rejonowy w Bydgoszczy za pijaną jazdę. Miał orzeczony sądowo zakaz kierowania wszelkimi pojazdami, ale go

łamał. Za to niestosowanie się do zakazu skazany był już w przeszłości przez Sąd Rejonowy w Toruniu.

Wypadki potoczyły się szybko. Już następnego dnia, czyli 22.07, Komisarjat Policji Toruń - Rubinkowo skierował do Sądu Rejonowego w Toruniu wniosek o rozpoznanie sprawy tego kierowcy w postępowaniu przyspieszonym. Rozprawa w sądzie odbyła się 23.07. Oskarżony przyznał się do jazdy „na podwójnym gazie”. - Sąd uznał Kamila Ś. za winnego zarzucanego mu czynu i wymierzył karę 5 miesięcy pozbawienia wolności, świadczenie pieniężne w wysokości 10 tys. zł na rzecz Funduszu Pomocy Pokrzywdzonym oraz Pomocy Postpenitencjarnej, dożywotni zakaz prowadzenia wszelkich pojazdów mechanicznych i przepadek pojazdu - przekazuje prokurator Izabela Oliver, rzeczniczka toruńskiej prokuratury.

Tryb przyspieszony sądy zastosować mogą też wobec trzeźwych kierowców, którzy łamią sądowe zakazy kierowania. Tak było 27.07 w Toruniu. 26.07 funkcjonariusze z Podgórz, w trakcie patrolu, zwrócili uwagę na dostawczego Volkswagena. Nie spodobał im się jego stan techniczny i zatrzymali go do kontroli. - Kierowcą był 33-letni mieszkaniec pobliskiej miejscowości. Podczas sprawdzania w bazach danych okazało się, że mężczyzna był już w konflikcie z prawem i nie powinien siadać „za kółko”. Miał dwa aktywne zakazy prowadzenia pojazdów mechanicznych orzeczone przez sąd, które obowiązywały jeszcze przez kolejne 24 miesiące. Został zatrzymany i trafił do policyjnej celi - relacjonuje mł. asp. Sebastian Dobrzeńcki z Komendy Miejskiej Policji w Toruniu.

Już 27.07. policjanci doprowadzili 33-latkę do Sądu Rejonowego w Toruniu w trybie przyspieszonym. Mężczyznę skazano na 2 lata prac społecznych, dożywotni zakaz prowadzenia i 10 tys. zł do zapłaty. ©

Projekt ustawy: obowiązkowa kara bezwzględnego więzienia

Nietrzeźwi kierowcy to nadal wielki problem na polskich drogach. Jak pokazują policyjne statystyki, tylko w ub. roku funkcjonariusze ujawnili ponad 95 tys. takich przypadków. To właśnie pijani za kółkiem spowodowali 1141 wypadków. 124 osoby zmarły, a 1439 odniosło obrażenia. Jak wynika z policyjnych zestawień, najwięcej wypadków po alkoholu (blisko 41 proc.) powodują kierowcy w przedziale wiekowym 25-39 lat. Najwięcej zdarzeń z udziałem alkoholu odnotowuje się w weekendy - w soboty (19 proc.) i niedziele (20,1 proc.).

Prawo i wymierzone kary są coraz surowsze, ale problem wciąż istnieje. Przypomnijmy, że w 2024 r. wprowadzono w Polsce przepisy o przepadku aut pijanych kierowców. Przełożyły się one na tysiące orzeczeń sądowych i miliony zasilające Skarb Państwa w 2025 r. Zdaniem ekspertów wpłynęło to przynajmniej na ograniczenie najtragiczniejszych wypadków. W planie jest jeszcze jedna ważna zmiana prawna. Za złamanie sądowego zakazu prowadzenia auta przez kierowcę, który jest pijany, sąd będzie musiał wymierzyć karę więzienia. Tylko w szczególnie uzasadnionych przypadkach nadal będzie mogła być to kara w zawieszeniu - wynika z projektu ustawy, do którego dotarła „Rzeczpospolita” (3.08).

LUDZIE

Ułaskawiony przez prezydenta RP Piotr Pytel jest już wolny, ale wciąż cięży na nim wyrok dożywocia

Nie dowierzał temu, co słyszy na sali sądowej, kiedy w 2006 niemiecki sąd skazywał go na dożywotnie pozbawienie wolności za zabójstwo, rozbój ze skutkiem śmiertelnym i rozbój. Nie dowierzał, kiedy po 22 latach za kratami, w czerwcu 2026 roku służba więzienna ZK w Rzeszowie zakomunikowała: pakuj się, za godzinę wychodzisz. Nie dowierzał, kiedy z początkiem lipca rozdzwonił się jego telefon: zostałeś ułaskawiony, jesteś wolny.

Andrzej Płes

Miał 35 lat, kiedy trafił do bawarskiego aresztu śledczego z zarzutem zabójstwa na Ekaterinie I. Owszem, wiedział, o kogo chodzi, w końcu podwoził Tomasza Lisa (bo tak się ten przedstawił) komunikacją miejską w okolice jej mieszkania, wiedział, że Lis wybiera się do niej, żeby obrabować. Piotr od dłuższego czasu mieszkał i pracował w stolicy Bawarii, znał miasto, znał topografię. Lis kilka dni wcześniej przyplątał się do niego, powołał na wspólnych znajomych w Polsce. Ani języka, ani znajomości miasta, Piotr przysparzał 17-latkę i źle się to dla niego skończyło. Tamtego dnia podwoził chłopaka, został na przystanku, Lis miał tylko wygarnąć wszystko co cenne z mieszkania luksusowej prostytutki i zniknąć. Mowy nie było o zabójstwie. Lis wrócił z fantami, wkrótce potem znikł i Piotr nigdy więcej go nie zobaczył, za to wiele o nim usłyszał.

Dzień po zabójstwie z radia dowiedział się, że Ekaterina zginęła w makabryczny sposób: skatowana, nos i usta oklejone taśmą samoprzylepną, udusiła się własną krwią i wymiocinami. Monachijska policja wydała krocie na to śledztwo, sprawdzili każdego, czy telefon logował się w stacjach BTS w pobliżu mieszkania Ekateriny w chwili zabójstwa, od każdego pobrali próbki DNA, a nuż któreś będą pasować do tych znalezionych na miejscu zbrodni.

Po danych ze stacji BTS i bilingach rozmów trafili na Piotra, kajdany, areszt, przesłuchanie. Niczego nie ukrywał: był w pobliżu, zawiódł Tomasza na miejsce, to Lis poszedł do Ekateriny na rabunek, Piotra w tym mieszkaniu nigdy nie było. I tak na każdym przesłuchaniu. Nie uwierzyli, najpierw zarzut, potem oskarżenia o zabójstwo.

Tomasza Lisa niemieccy śledczy próbowali szukać, nie znaleźli, w końcu dali sobie spokój. Mieli Piotra, wystarczyło, żeby zamknąć śledztwo, bo niemiecka opinia publiczna była żądna krwi. A Piotr

przed, w trakcie i po wyroku konsekwentnie: to nie ja zabiłem i na potwierdzenie swoich słów domagał się zbadania go na wariografie. Niemieccy śledczy odmówili. Potem akt oskarżenia, proces i wyrok dożywotniego pozbawienia wolności.

– Kiedy pani Ekaterina I. otworzyła rzekomemu klientowi drzwi mieszkania, Lis zadał offerę, zgodnie ze wspólnie z Pytlem powziętym planem przestępstwa, potężne ciosy przede wszystkim w głowę. Kiedy silnie krwawiąc pani I. straciła przytomność, Lis zakleił, za pozwoleniem P. otwory oddechowe ofiary przyniesioną taśmą klejącą do paczek. Oskarżeni Pytel i Lis mogli oczekiwać lub przewidzieć śmierć pani I., jako konsekwencję takiego sposobu postępowania. Działanie z przemocą i w następstwie tego skutek śmiertelny miało im umożliwić zabranie przedmiotów wartych kradzieży. Łup ten zamierzali zdobyć za cenę śmierci pani I. Po naocznym stwierdzeniu sposobu działania swego pomocnika Pytel wyszedł z mieszkania, ubezpieczając je z zewnątrz. Ustawił się przed domem. Obecność w mieszkaniu w czasie popełnienia czynu udoświadczono Pytlowi dzięki wiarygodnym zeznaniom świadka L. – brzmiało uzasadnienie wyroku skazującego Sądu Krajowego Monachium I.

Ciekawa postać ten „świadek L.”. Piotr poznał go w areszcie śledczym: przestępca finansowy, któremu groziła deportacja do ojczyzny w Afryce, a tam może nawet śmierć. Piotr z nim rozmawiał „pod celą” o swoich problemach, a ten przeczytał publikację w Tageszeitung, gdzie była fotografia Piotra, informacja o śmierci Ekateriny i prośba: ktokolwiek wie o okolicznościach śmierci, proszony jest o podzielenie się wiedzą. Za nagrodą finansową.

L. pojawił się na ostatniej rozprawie Piotra, był – jak Piotr mówił po latach – wisienką na torcie tego procesu. Jego zeznania pogrążyły oskarżonego. Kłamliwe zeznania, jak się potem okazało.

Dożywotnie pozbawienie wolności z prawem ubiegania się o warunkowe przedterminowe zwolnienie w 2019 r.: usłyszał Piotr na sali sądowej.

– Kiedy usłyszałem, że resztę życia mam spędzić w więzieniu za coś, czego nie zrobiłem, kolana podę mną się ugięły, miałem ciemność przed oczami, nie wierzyłem, że to się dzieje naprawdę – opowiadał podczas rozmowy jeszcze za kratami. – Chyba nie wszystko z tamtej chwili pamiętam. Na sali niemieckiego sądu nie było nikogo z moich bliskich, po „mojej stronie” była tylko adwokatka.

Niemiecki system penitencjarny tolerował jego obecność do 2009 roku. Potem wysłał pod opiekę polskiego więziennictwa, choć Piotr wcale tego nie chciał. Przede wszystkim dlatego, że w Niemczech dziesięć lat później mógł odzyskać wolność, choćby i warunkowo. Po drugie: niemieckie więzienie w porównaniu z polskim to sanatorium. Po trzecie: z jego wyrokiem w polskim systemie prawnym o zwolnienie warunkowe mógłby ubiegać się dopiero po 2030 roku.

Zwrot akcji... bez zwrotu

Jeszcze zza niemieckich krat słał pisma do tamtejszego wymiaru sprawiedliwości o rewizję sprawy, w końcu był niewinny temu, za co został skazany. Odpowiedzi nie było, albo były odmowne.

„Osiedłszy” za polskimi kratami, napisał m. in. do CBS. Polska prokuratura szukała wówczas sprawców wielu brutalnych napadów na kantory, banki, konwoje, hurtownie, wszystkie na terenie Podkarpacia, lubelskiego i świętokrzyskiego. Pol-

Kiedy usłyszałem, że resztę życia mam spędzić w więzieniu za coś, czego nie zrobiłem, kolana podę mną się ugięły, miałem ciemność przed oczami, nie wierzyłem, że to się dzieje naprawdę.

PIOTR PYTEL

scy śledczy przeanalizowali list Piotra, uznali, że może coś wiedzieć o sprawcach, wybrali się w odwiedziny do autora listu, przedstawili szereg zdjęć. Na jednym z nich Piotr rozpoznał Tomasza Lisa.

Kłopot w tym, że niemieckie organy ścigania szukały Tomasza Lisa, człowiek ten w rzeczywistości nazywał się Tomasz W. Stał przed Sądem Okręgowym w Tarnobrzegu oskarżony o szereg napadów rozbójniczych, udział w zbrojnej zorganizowanej grupie przestępczej i podczas jednej rozpraw nawiązał do wydarzeń z Monachium z 2004 roku.

– Z tą prostytutką to było tak, że ja wszedłem do mieszkania, a Piotr czekał na mnie na zewnątrz – mówił wprost. – W lewej ręce trzymałem kwiatek, podałem jej. Kiedy tylko chwyciła prawą ręką, uderzyłem ją w twarz. Potem kopnąłem i znów uderzyłem. Był moment, że biłem ją tak, jakby mnie coś opętało. Kiedy wychodziłem z łupem z jej mieszkania, ona żyła. Tak głośno oddychała, przykryłem ją kołdrą. Nie mogłem domyć rąk z krwi, czułem taki słodki zapach.

Potem jeszcze wielokrotnie zaprzeczał, że Piotr był na miejscu zbrodni. Polskim śledczym, potem niemieckim śledczym, którzy przed laty prosili polskich o odszukanie Tomaszów Lisów. To po latach polska prokuratura im go dostarczyła w postaci Tomasza W. A ten niemieckiej prokuraturze przyznał się do zabójstwa z 2004 r., wciąż upierając się, że Piotra w mieszkaniu Ekateriny nie było. I to zupełnie bezinteresownie, bo na takim wyznaniu niczego zyskać nie mógł.

W niemieckim sądzie, któremu też przyznał się do popełnienia zabójstwa, dostał dziewięć lat i trzy miesiące pozbawienia wolności i więcej się nie dało, bo kiedy mordował – był nieletnim. Niemiecki Kodeks karny przewiduje maksymalnie taki wyrok dla nieletniego, nawet za najcięższe zbrodnie. Tomasz W. odsiedział swoje, w 2019 r. wyszedł na wolność, w tym samym

roku Piotr mógłby dopiero wnioskować o zwolnienie warunkowe, gdyby przebywał w niemieckim zakładzie karnym.

Mając niezbitę dowody, kto zabił, a kto nie zabił, ale „siedzi”, Prokuratura Okręgowa w Tarnobrzegu poczęła zabiegać u niemieckiej, by ta wznowiła proces Piotra.

– W materiałach już procesowych nie natrafiłem na żadną merytoryczną przesłankę, żeby skazany P. był w mieszkaniu Ekateriny – oświadczył badający sprawę policjant Krzysztof W., kiedy zeznawał przed rzeszowskim sądem w sprawie pierwszego wniosku Piotra o prezydencki akt łaski. – Gdyby się wtedy udało ustalić Tomasza W., wyrok na Piotra P. też mógłby być inny.

Niewiele wskórał ówczesny prokurator Prokuratury Rejonowej w Stalowej Woli Adam Cierpiatka, który wraz z Krzysztofem W. odwiedzili w 2009 roku Piotra z więzieniu po lekturze jego listu. I też próbował niezasłużenie skazanemu pomóc.

– Sygnalizowałem stronie niemieckiej kwestie dotyczące pana Pytla, przesyłając wyroki i informując o naszych ustaleniach – mówił przez polskim sądem w 2018 r., również w sprawie wniosku Piotra o prezydenckie ułaskawienie. – Zresztą oni mają dwa sprzeczne wyroki, ale odpowiedzieli w sposób mętny, tzn., że oni uważają, że pan Pytel jest tak złym człowiekiem, a działanie na przedpolu zasługuje na dożywocie.

„Działanie na przedpolu”, czyli obecność Piotra w pobliżu miejsca zabójstwa i pomocnictwo Piotrowi Lisowi.

Próbę przekonania niemieckiego wymiaru sprawiedliwości podjął jeszcze w 2013 r. prokurator okręgowy w Tarnobrzegu Marian Burczyk, sugerując zasadność wznowienia przez tamtejszy sąd postępowania w sprawie Piotra. Skończyło się podobnym rezultatem, jak zabiegi prokuratora Cierpiatki i policjanta Krzysztofa W.: bawarski wymiar sprawiedliwości nie chciał słyszeć o wznowieniu sprawy Piotra.



Piotr Pytel pielgrzymuje na Jasną Górę. – Idę podziękować Bogu, ale kiedy wrócę, trzeba będzie podjąć jakieś życiowej decyzje – mówi

Do czterech razy sztuka

Czterokrotnie Piotr z za krat pisał do Kancelarii Prezydenta RP wnioski o prawo łaski. Albo w jego imieniu pisała mama, która nigdy nie uwierzyła w winę syna. Pani Helena przesłała też prośbę o pomoc do Rzecznika Praw Obywatelskich i Helsińskiej Fundacji Praw Człowieka. Prośbę o „podjęcie działań na rzecz mojego syna Piotra z Rzeszowa”.

Wnioski poparte pozytywną opinią sądów okręgowego i apelacyjnego w Rzeszowie, Zakładu Karnego w Rzeszowie, zeznaniami znających sprawę policjantów i prokuratorów, przekonanych materiałem dowodowym, że Piotr nie zabił. Trzykrotnie prezydent Andrzej Duda wnioski zignorował. Nadzieja Piotra za każdym razem słabła, ale nie gasła. Napisał czwarty, już do prezydenta Karola Nawrockiego.

– Nadzieja unosi się falami i opada – przyznawał w wywiadzie dla „Nowin”, wciąż jeszcze za kratami. – Liczę się z tym, że i tym razem odmówione mi zostanie prawo łaski, chyba wszystko już sobie wyobrażam. Może się zdarzyć, że wszystkie te zabiegi nigdy nie skończą się dla mnie pozytywnie.

A sprawa Piotra nie była już anonimowa po publikacjach prasowych

i po tym, jak zainteresowała się nią polska adwokatura.

W czerwcu tego roku prokurator generalny Waldemar Żurek wydał decyzję, aby Piotra tymczasowo uwolnić, do czasu rozstrzygnięcia wniosku o ułaskawienie. I to się stało 22 czerwca br. na zasadzie: pakuj się, za godzinę stąd wychodzisz.

– Około południa przedstawiciele dyrekcji ZK poinformowali mnie, że dziś mam opuścić celę, ale nie mam pojęcia z jakiego powodu, na jakiej podstawie i z czyjej decyzji – przyznawał już „na wolności”, ale wyraźnie mocno oszołomiony biegiem wydarzeń.

Kompletnie niespodziewanie dla siebie, ani dla rodziny, której nie zdążył zawiadomić. Kiedy brama ZK zatrzasnęła się za nim, wsiadł w taksówkę i pojechał do domu. Nie mogąc po drodze napatrzyć się świata

Nasze prawo karne oparte jest na prawie niemieckim i oba systemy prawne oparte są na starej rzymskiej zasadzie: lepiej uniewinnić sto osób winnych, niż skazać jednego niewinnego.

PROKURATOR PIOTR KOSMATY

niewidzianego od ponad dwóch dekad: mnóstwo samochodów na drogach rodzinnego Rzeszowa, nie to, co z początkiem lat 2000, kiedy ostatni raz te drogi widział. I nie takich samochodów, jak wtedy. Tłumy ludzi, feeria kolorów w przestrzeni publicznej, oszałamiający ruch, kakofonia dźwięków. Stał w progu domu rodzinnego, mama nie wierzyła, że widzi syna u drzwi. Płacz wzruszenia i śmiech radości na przemian albo jednocześnie.

Tego dnia po południu trudno było z nim rozmawiać, bo rzeczywistość kompletnie go oszołomiła. Kiedy z przyjacielem trafił do supermarketu, by kupić owoce, nie mógł uwierzyć mnogości wyboru, że wszystkiego można dotknąć.

– Nawet takich prostych rzeczy będę się musiał nauczyć – przyznawał następnego dnia.

W ciągu kilku godzin po 22 latach za kratami: niespodziewanie uwolniony, w kontakcie z realiem bez krat, w domu i z mamą, o czym jeszcze przed południem nie śmiał marzyć. Za dużo tego naraz. A tymczasem mógł rzeczywistość smakować tylko warunkowo w oczekiwaniu na decyzję prezydenta. W „pierwszym pakiecie” ułaskawionych Piotr się nie znalazł. Znalazł się w drugim.

W poniedziałek, 3 sierpnia, komunikat Kancelarii Prezydenta RP obwieścił o trzech ułaskawieniach. Jedno jak ulał pasowało do Piotra: „Osoba, wobec której prezydent zastosował prawo łaski, była skazana za przestępstwa według prawa polskiego, to jest zabójstwo z rozbojem i rozbój”.

Rozdzwonił się jego telefon: jesteś wolny. Nie uwierzył, zadzwonił do adwokatów: „sprawdźcie mi to, proszę, nie róbcie mi tego, że na koniec okaże się, że nie o mnie chodzi” – opowiadał dzień po przed rzeszowskim kościołem farnym, skąd wyruszał na pielgrzymkę na Jasną Górę. – Oni mówią: sprawdziliśmy, to jesteś ty – relacjonował wtedy. – Nie panuję nad emocjami. Pozytywnymi emocjami. Wczoraj była decyzja, dziś idę na pielgrzymkę, a przecież zakład karny opuściłem 22 czerwca, w dzień świętej Rity, patronki sprawa beznadziejnych – odnosił się do wieloletnich starań o uwolnienie. – Dla Boga nie ma przypadków.

Pięć tygodni wcześniej był jeszcze za kratami, bez większych nadziei na wolność. Dziś jest wolny i ułaskawiony, ale to był życiowy rollercoaster w wersji turbo. Trudno zapanować nad emocjami.

Wolny i... co dalej?

Wcześniej nie śmiał snuć żadnych dalekosiężnych planów, w końcu odzyskał wolność warunkowo, do czasu decyzji prezydenta. Bo gdyby była odmowna, on musiałby wrócić za kraty, a z taką perspektywą trudno na poważnie planować resztę życia.

– Na razie jeszcze o tym nie myślę, dziś idę podziękować Bogu, ale kiedy wrócę, trzeba będzie podjąć jakieś życiowej decyzje – mówił już ułaskawiony na chwilę przed wymarszem na pielgrzymkę.

Przed wszystkim podreperować zdrowie, mocno nadszarpnięte za kratami. Potem poszukać pracy.

– I nie wracać myślami do czasu, kiedy patrzyłem na niebo przez kraty – deklarował.

Wolny, ale nie uniewinniony, bo wyrok skazujący za potworną zbrodnię wciąż na nim ciąży, nawet jeśli jej nie dokonał. A może ciąży tym bardziej, bo jej nie dokonał. W rozmowie z „Nowinami” tuż po uwolnieniu przyznawał, że chciałby doprowadzić do wznowienia procesu przed niemieckim sądem, w którym miałby szansę na uniewinnienie.

– Tak pół na pół – oceniał wtedy szanse na samo wznowienie procesu.

Sam nie da rady, już próbował

– Ubolewam nad tym, że polskie państwo jest bezradne wobec losu polskiego obywatela, o którego niewinności zdaje się być przekonane – komentował „Nowinom” jeszcze w październiku 2025 roku sprawę Piotra mecenas Paweł Matyja. – Jedna próba zwrócenia uwagi niemieckiej prokuratury na sprawę Piotra, jaką podjęto w 2013 roku, to niewielki wysiłek. Uważam, że Prokurator Generalny powinien zwrócić się do swojego niemieckiego odpowiednika z prośbą o wyjaśnienie tej sytuacji. Wszak niemiecki system prawny też nie zakłada skazywania niewinnych... Być może to spowoduje zainicjowanie działań z urzędu w Niemczech zmierzających do wznowienia postępowania. To nadal możliwe. I bezwzględnie konieczne.

Również w październiku 2025 r. powód niechęci niemieckiego wymiaru sprawiedliwości komentował nam prokurator Piotr Kosmaty, który sprawę Piotra zna doskonale:

– Nie rozumiem strony niemieckiej, bo albo tam jest zła wola, albo ignorancja. Nasze prawo karne oparte jest na prawie niemieckim i oba systemy prawne oparte są na starej rzymskiej zasadzie: lepiej uniewinnić sto osób winnych, niż skazać jednego niewinnego. Stan faktyczny i prawny jest bardzo skomplikowany i trzeba dobrej woli po stronie niemieckiej, by problem rozwiązać – mówił prokurator.

©P

KRYMINOLOGIA



Gdyby śledczy mieli dostęp do badań DNA wszystkich ludzi, właściwie nie byłoby niewyjaśnionych spraw

Kod DNA. Odcisk, który zawsze prowadzi do sprawcy

Zabójstwo Izy Strzałkowskiej było jedną z najgłośniejszych spraw kryminalnych ostatnich dekad. Jej rozwiązanie – to moment historyczny nie tylko dla polskich śledczych. Najprawdopodobniej drugi raz w Europie udało się schwycić sprawcę dzięki genealogii genetycznej

Dorota Kowalska

Tą sprawą żyją media od kilku tygodni. Po 15 latach zatrzymano zabójcę Izy Strzałkowskiej z Gdyni. Trudno się dziwić tym emocjom – po raz pierwszy w Polsce udało się ująć sprawcę dzięki genealogii genetycznej. To drugi taki przypadek w Europie, pierwszy miał miejsce w Szwecji.

Warto wrócić do tej historii. 19 października 2004 roku mieszkańcami szwedzkiego Linköping wstrząsnęło brutalne morderstwo 8-letniego Mohammeda Ammouiego i 56-letniej Anny-Leny Svensson. Mohammeda zaatakowano, gdy szedł do szkoły, Anna-Lena próbowała interweniować, przeszkodzić sprawcy, ale ona również została zaatakowana. Oboje, chłopca

i kobietę, w brutalny sposób zadźgano.

Na miejscu zabezpieczono DNA sprawcy, było na narzędziu zbrodni i czapce, którą pewnie zgubił na ulicy. Ale to nie posunęło sprawy naprzód. Nie było motywu, nie było innych świadków. Śledztwo utknęło na kolejnych 16 lat.

Przełom nastąpił w czerwcu 2020 roku. Wtedy genealog Peter Sjölund użył metody wykorzystującej bazy danych DNA. Znalazł osoby spokrewnione z zabójcą i tak doprowadził śledczych do Daniela Nyqvista. Aresztowany w wieku 37 lat Nyqvist przyznał się do morderstw. Tłumaczył, że jakieś głosy w jego głowie kazały mu kogoś zabić.

Na podstawie tej historii nakręcono szwedzki serial kryminalny

„Przełom”, historię opisali w swojej książce dziennikarka Anna Bodin i wspomniany już wcześniej genealog Peter Sjölund. Ich „The Breakthrough: How the Genealogist Solved the Double Murder in Linköping” („Przełom: Jak genealog rozwiązał podwójne morderstwo w Linköping”) stała się bestsellerem. Serial miał swoją premierę na Netflixie 7 stycznia 2025 roku i też już po kilkunastu godzinach był na pierwszym miejscu TOP 10 najchętniej oglądanych tytułów w Polsce na tej platformie.

„Chociaż to fikcyjny serial dramatyczny o zbrodni, to ma on przede wszystkim przedstawić ludzką tragedię. To historia o współczuciu i trosce o siebie nawzajem, które są potrzebne, aby iść dalej, gdy dzieją się straszne rze-

czy” – mówiła reżyserka serialu, Lisa Siwe, podkreślając, że „Przełom” to coś więcej niż tylko dramat kryminalny.

Tożsamość sprawcy

Czy o pracy śledczych przy sprawie Izy Strzałkowskiej też powstanie książka albo trzymający w napięciu film kryminalny? Niewykluczone. Jest w tej historii wszystko: dramat, emocje, ciężka praca policjantów i zaskakujące zwroty akcji.

23 sierpnia 2011 roku 13-letnia Iza wyszła z domu, żeby odprowadzić koleżankę na pobliski przystanek w gdyńskiej dzielnicy Dąbrowa. Wtedy po raz ostatni widziała się z bliskimi. Długo nie wracała, więc rodzina zaczęła jej szukać. Ciało Izy, jeszcze tego samego dnia, znaleziono obok ścieżki, którą miała wró-

cić do siebie. Dziewczynka została zgwałcona i zamordowana.

Michał Gabriel-Węglowski, gdański prokurator, zajął się sprawą 9 lat po dokonaniu zbrodni. Wiedział, że nie będzie łatwo. Miał jednak skarb: DNA sprawcy.

– Krąg potencjalnych sprawców można było liczyć w tysiącach. To były ostatnie dni sierpnia, koniec wakacji, więc jeszcze spory ruch w lasach przy osiedlu na gdyńskiej Dąbrowie, gdzie doszło do zabójstwa. Kręciły się tam wtedy przeróżne osoby. W samej dzielnicy w 2011 roku było zameldowanych ponad 14,5 tys. osób – mówił Gabriel-Węglowski w rozmowie z Wirtualną Polską.

Do tego trzeba było dodać ludzi pracujących w pobliskich firmach, mieszkańców sąsiednich miejscowości. W pierwszym śledztwie, które trwało trzy lata, pobrali DNA od 685 osób. Nic.

I w tej historii, jak w tej ze Szwecji, nastąpił przełom. Podczas wewnętrznej konferencji policyjno-prokuratorowskiej dwie policjantki z Łodzi opowiadały o metodzie genealogii genetycznej. Stosunkowo nowej, ale stosowanej na świecie – to dzięki niej genealog Peter Sjölund trafił na Daniela Nyqvista, zabójcę z Linköping.

Metoda opiera się na szukaniu pokrewieństwa pomiędzy osobą, od której pochodzi pobrany materiał genetyczny – w tych wypadkach sprawcach zabójstw, a ludźmi, któ-

rzy zostawiają swoje DNA w bazach genealogicznych.

– Porównuje się profil osoby A z profilem osoby B, obliczając jednostki zbieżności, tzw. centymorgany. Im wyższa ich liczba, tym większe prawdopodobieństwo, że dwie osoby są blisko spokrewnione w naszych życiowych relacjach – tłumaczył prokurator w WP.

W przypadku zabójstwa Izy Strzałkowskiej domniemany morderca miał zbieżność z kilkunastoma osobami z amerykańskich baz DNA, pewnie miały polskie korzenie. Po ich zidentyfikowaniu biegli stworzyli drzewo genealogiczne, które miało połączyć wytypowanych ze sprawcą.

– Najstarsza osoba na tym drzewie urodziła się w czasie rewolucji francuskiej, w 1790 roku. Cofnęli się więc o niemal 250 lat. Na tym ogromnym drzewie, wokół kilkunastu wyjściowych osób, znalazło się w sumie około 10 tysięcy nazwisk – powiedział Michał Gabriel-Węglowski.

Specjaliści korzystali z państwowych archiwów i dokumentów urzędów stanu cywilnego. Łącząc te informacje z fenotypowaniem, które pozwoliło przypisać prawdopodobne cechy mordercy wskazano na jedną osobę Michała S.

Michał Gabriel-Węglowski zlecił jeszcze dwie niezależne ekspertyzy, nie chciał się pomylić, zatrzymać niewinną osobę. Obie były identyczne, to on – 37-letni dzisiaj Michał S., sąsiad ofiary.

Przyznał się do zbrodni

Mógł widywać Izę. Mieszkał w pobliżu. Może nawet mijali się na ulicy, bywali w tych samych sklepach. Od morderstwa minęło 15 lat. Michał S. prowadził ustatkowane, normalne życie. Skończył studia, miał pracę, żonę, dwójkę dzieci.

Ponoć prezentował się jako konserwatywny katolik. Chodził na występy Arki Noego, jeździł na Ogólnopolskie Spotkania Młodych Lednica – największy coroczny zjazd katolickiej młodzieży z Polski i zagranicy.

– Nie jesteśmy w stanie uwierzyć, że to właśnie on mógł dopuścić się takiej zbrodni – mówili jego znajomi ze studiów.

Zapamiętali Michała S. jako osobę wycofaną, nieporadną życiowo, niezbyt bystrą, ale pracowitą. Mężczyzna miał problemy zdrowotne. Praktycznie nie słyszał na jedno ucho, na drugie – jedynie w ograniczonym stopniu.

Kolegom ze studiów rzadko opowiadał o swoim życiu rodzinnym, ale był pod wyjątkowo troskliwą opieką matki i siostry. Regularnie do niego dzwoniły, pytały o najprostsze codzienne sprawy, czy zrobić zakupy, pranie, czy ugotował obiad.

Nie był ani zabawowy, ani agresywny. Nie chodził zbyt często

na imprezy, wołał w tym czasie słuchać muzyki. Lepiej czuł się w towarzystwo kobiet, ale te relacje miały koleżeński charakter.

Kolega 37-latką, do którego dotał „Fakt”, wspominał, że po wakacjach 2011 roku, gdy doszło do zabójstwa Izy, Michał S. wyraźnie się zmienił. Zaczął intensywnie biegać, choć początkowo często wracał ze studiów w Bydgoszcz do rodzinnego domu w Gdyni, z czasem robił to coraz rzadziej. Stał się bardziej wrażliwy emocjonalnie, źle znosił krytykę. Kolega przywoływał sytuację ze studiów, kiedy Michał S. poprosił wykładowcę o unieważnienie egzaminu, twierdząc, że część studentów wcześniej poznała pytania. Szybko ustalili, kto był donosicielem, doszło do konfrontacji, podczas której Michał S. miał się rozplakać. Był aktywny na studenckich grupach internetowych, ale po zabójstwie Izy rzadziej wchodził do sieci. Z czasem to się zmieniło.

Po postawieniu mu zarzutu zabójstwa internauci odnaleźli jego profil w mediach społecznościowych. Wynika z niego, że w 2018 roku, siedem lat po zbrodni, ożenił się. Publikował zdjęcia z życia rodzinnego.

Zatrzymany już po godzinie miał przyznać się do zabójstwa i powiedzieć śledczym, że domyśla się, czemu go ujęto. Gryzły go wyrzuty sumienia?

– Jeśli w tak poważnej sprawie człowiek niemal od razu się przyznaje, to znak, że ta sprawa w nim tkwiła. Nie ma dymu bez ognia – stwierdził – Michał Gabriel-Węglowski.

Genealogia w sukurs kryminalistyce

Prawda jest taka, że pętla wokół przestępców mocno się zaciska. Dzisiaj żaden z nich, nawet jeśli przez lata pozostawał nieuchwytny, nie może czuć się bezpiecznie. Także dzięki genealogii. Miliony Amerykanów wysyłało do prywatnych firm swoje DNA, żeby dowiedzieć się czegoś o swojej przeszłości i tak, trochę nieświadomie, doprowadzili do przełomu w kryminalistyce. Takich firm zbierających DNA jest coraz więcej, na całym zresztą świecie. Dzisiaj anonimowemu śladowi na miejscu przestępstwa można przypisać imię i nazwisko – bo do sprawcy można dojść także poprzez jego krewnych. W każdym razie śledczym dzięki publicznym bazom danych DNA udało się już zidentyfikować wielu morderców, gwałtcieli, przestępców.

Jedną z najsłynniejszych spraw, w której kluczową rolę odegrały komercyjne bazy danych DNA, jest ta seryjnego mordercy znanego jako Golden State Killer.

Golden State Killer terroryzował Kalifornię na przełomie lat 70. i 80., miał dokonać 100 włamań, 50

gwałtów i przynajmniej 13 morderstw. Całe dekady pozostawał nieuchwytny. Po latach, a dokładnie w 2016 roku agenci FBI wznowili poszukiwania przestępcy i wyznaczili nagrodę w wysokości 50 tys. dolarów za informacje, które mogłyby przyczynić się do jego złapania. Dwa lata później ogłosili, że wiedzą, kto jest mordercą i gwałtciellem z Kalifornii, a rozwiązali tę zagadkę, korzystając z darmowej bazy danych GEDmatch. Gdy policja umieściła w niej próbki DNA Golden State Killera, znalazła 10 do 20 jego dalekich krewnych. Na tej podstawie stworzono drzewo genealogiczne i wytypowano dwóch podejrzanych. Jeden z nich został wyeliminowany w toku śledztwa, został tylko Joseph James DeAngelo. Pobrano próbki DNA z klamki jego samochodu i chusteczki do nosa znalezionej w koszu na śmieci. Pasowały. 72-letni DeAngelo usiadł na ławie oskarżonych, oskarżono go o osiem morderstw pierwszego stopnia i trzystaście prób uprowadzenia.

Inne śledztwo, które pewnie przejdzie do historii kryminalistyki, to historia sprzed ponad 50 lat. 15 lutego 1974 roku 25-letnia studentka Mary K. Schlais została znaleziona przy drodze w niewielkim miasteczku Spring Brook w Wisconsin. Została kilkakrotnie dźgnięta nożem. Ostatnio widziano kobietę, kiedy jechała autostopem do Chicago. Jedynym tropem dla śledczych była czapka znaleziona na miejscu zbrodni, a na niej włosy. Detektywi sprawdzali różne hipotezy, przesłuchiwali świadków – nic.

Wiele lat później, biuro szeryfa hrabstwa Dunn nawiązało współpracę z genealogami genetycznymi z Uniwersytetu Ramapo w New Jersey. Śledczy wysłali im włosy znalezione na czapce. Naukowcy wygenerowali z nich DNA, potem przeanalizowali drzewo genealogiczne na popularnych witrynach genealogicznych i przekazano śledczym nazwiska krewnych podejrzanego. Było to o tyle trudne, że sprawca był adoptowanym dzieckiem, co komplikowało sprawę, ale udało się. Nauka, a konkretnie genealogia doprowadziła śledczych do 84-letniego Jona Millera w Minnesocie. Miller przyznał, że 50 lat wcześniej zabrał Mary, która łapała autostop do samochodu. Chciał uprawiać z nią seks, a kiedy odmówiła, zabił ją nożem.

Tożsamość ofiary

Genealogia pomaga dzisiaj ustalić nie tylko dane sprawcy, ale także ofiary.

Trzy lata temu głośno było o najstarszej nierozwiązanej sprawie w Filadelfii w USA, chodziło o słynną historię „chłopca z pudełka”. Ciało malca zostało znalezione w kartonowym pudełku 25 lutego 1957 roku. Było nagie, owinięte

w koc, pokryte siniakami i ranami. Wiek chłopca oceniono na cztery do sześciu lat. Wyglądał na niedożywionego. Miał krótkie, jasne, zmierzwiłone włosy i niebieskie oczy. Śledczy nie mieli wątpliwości, że dziecko musiało być maltretowane, a potem pobite na śmierć.

Plakaty ze zdjęciem chłopca rozwieszono w całej Filadelfii. Cisza. Nikt nie znał tego dziecka, nikt go nie szukał.

Pojawiło się szereg teorii na temat śmierci malca. Policja liczyła, że ktoś zgłosi zaginięcie, jednak nic takiego się nie stało. Mimo zakrojonego na szeroką skalę śledztwa, nie udało się ustalić ani tożsamości chłopca, ani też tego, kto mógł stać za jego śmiercią. „Chłopiec w pudełku” spoczął na filadelfijskim cmentarzu, na jego grobie napisano jedynie: „Niebiański Ojciec pobłogosław tego Nieznanego Chłopca”.

Śledczy się nie poddawali, sprawdzali dziesiątki tropów. Przeprowadzano ekshumację 4-latką. Dochodzenia nigdy nie zawieszono. Wreszcie po sześćdziesięciu pięciu lat na podstawie badań DNA udało się ustalić tożsamość chłopca. To Joseph Augustus Zarelli, urodzony 13 stycznia w 1953 roku.

– Nie jest już chłopcem z pudełka. Ma imię – oświadczył William Fleisher z grupy dochodzeniowej.

Wiadomo, że oboje rodzice Josepha zmarli, żyje natomiast jego rodzeństwo. Rodzina 4-latka mieszka w zachodniej Filadelfii. Policjanci mają nadzieję, że teraz śledztwo ruszy do przodu. Wiadomość o tożsamości malca została podana do wiadomości publicznej, może więc zgłosi się ktoś, kto wie coś o sprawie, coś słyszał, zauważył. Trzeba ustalić, kto zabił to dziecko.

Albo inna historia: na początku 2023 roku policjanci z zespołu badającego tzw. cold cases, czyli niewyjaśnione sprawy sprzed lat, ustalili tożsamość kobiety, którą zamordowano w 1995 roku.

– W ciągu 27 lat funkcjonariusze, którzy obecnie są już na emeryturze, a następnie także nasz zespół zajmujący się rozwiązywaniem „cold cases”, pracowali, by ustalić tożsamość ofiary. I to, kto jest sprawcą morderstwa – tłumaczył Pat Withrow, szeryf kalifornijskiego hrabstwa San Joaquin.

Ofiara została zidentyfikowana jako Amanda Lynn Schumann Deza. W momencie śmierci kobieta miała 29 lat. Była matką trojga dzieci, z mężem pozostawała w separacji.

Jej ciało w marcu 1995 roku zostało odnalezione w lodówce porzuconej w kanale irygacyjnym w miejscowości Stockton w Kalifornii. Zwłoki znajdowały się w stanie rozkładu. Wówczas nie udało się ustalić tożsamości ofiary, a śledztwo utknęło w martwym punkcie.

Przełom nastąpił dopiero po niemal trzech dekadach, gdy sprawą

zajął się utworzony przez Biuro Szeryfa Hrabstwa San Joaquin zespół badający nierozwiązane zagadki kryminalne sprzed lat. Jak doszło do przełomu? Otóż specjaliści od analizy DNA z laboratorium Othram z Teksasu, z którym współpracowali śledczy, stworzyli tropy genetyczne prowadzące do kobiet mogących być spokrewnionymi z ofiarą. Analiza dostarczonych przez nie próbek materiału genetycznego wykazała, że zwłoki należały do Dezy.

Choć tożsamość zamordowanej kobiety została ustalona, nadal nie wiadomo, kto odpowiada za tę zbrodnię.

Dzięki badaniom DNA udało się zidentyfikować także inną kobietę, którą w 1978 roku znaleziono martwą w stanie Massachusetts. Patricia Ann Tucker, wówczas 28-letnia, przez dziesięciolecia była znana jako „Granby Girl” od nazwy miasteczka, w którym znaleziono jej ciało. Kobieta została zastrzelona i pochowana w bezimiennym grobie. Sekcja zwłok wykazała, że ofiara miała od 19 do 27 lat. Jej tożsamość przez lata pozostawała tajemnicą.

W 2021 roku śledczy odnaleźli kobietę mieszkającą w Maryland, która prawdopodobnie była z nią spokrewniona. Krewna powiedziała policji, że jej ciotka zaginęła w latach 70. i podała dane dwóch synów kobiety. Jeden z nich, Matthew Dale potwierdził, że ofiara to jego matka, Patricia Tucker, która zaginęła w 1978 roku. Porównanie DNA mężczyzny z DNA kobiety dało 100 proc. zgodności w teście rodzicielskim.

„Przynajmniej teraz, po latach, mam kilka odpowiedzi. To dużo do przetworzenia, ale mam nadzieję, że zamknięcie jest już blisko” – napisał w oświadczeniu syn kobiety Matthew Dale.

– To postępy w kryminalistyce, a w szczególności w kryminalistycznej genealogii genetycznej, dostarczyły nadziei na identyfikację ofiary – powiedział pierwszy zastępca prokuratora okręgowego Northwestern Steven Gagne.

Śledztwo w sprawie śmierci wciąż jednak trwa. Zamordowana była żoną Geralda Colemana, który nigdy nie zgłosił jej zaginięcia. Był skazany pod zarzutem gwałtu i napaści, zmarł w więzieniu w 1996 roku i, jak twierdzi policja, mógł być „osobą zainteresowaną” morderstwem swojej żony.

W policyjnych archiwach na całym świecie leżą tysiące niewyjaśnionych spraw. W większości z nich zabezpieczono na miejscu zdarzenia DNA mordercy, gwałtciela, złoczyńcy. Dzisiaj można do niego trafić dzięki badaniom kodu genetycznego i genealogii. Dlaczego śledczy coraz częściej otwierają pudła z dowodami, na których ktoś lata temu napisał: „cold cases” i dochodzą do prawdy.

POMOC SPOŁECZNA I PRAWO

Proces, skargi i oskarżenia w bydgoskich DPS-ach

Śledztwa umarzane i wznawiane, zwolnienia i odejścia. Oskarżenia odnośnie rozliczenia publicznych pieniędzy (a nawet egzorcyzmów) i sprawa karna dyrektorki. Pracownicy mówią o szykanach, a dyrektorka o walce z przemocą wobec dzieci

Maciej Czerniak

W czerwcu z pracą w Zespole Domów Pomocy Społecznej i Ośrodków Wsparcia w Bydgoszczy pożegnał się pracownik, który wcześniej wysłał do urzędu miasta prośbę o interwencję. Wskazywał na styl zarządzania zespołem przez obecną dyrektorkę. Pisał o szykanowaniu i zastraszaniu.

Prosto do grafologa

Według tegoż pracownika w jednostce panuje „destabilizacja”, są rezygnacje z pracy. Odeszły dwie zastępczynie dyrektora, kierownik DPS-u „Promień Życia” przy ul. Mińskiej, zwolniono kierowniczkę z „Jesieni Życia” przy ul. Łomżyńskiej.

Z bydgoskiego ratusza pismo trafiło prosto do dyrektorki.

– Zostałem oskarżony o sfałszowanie podpisu – broni się pracownik. – Bałem się konsekwencji w związku z listem. Jak widać, nie bez powodu.

Podpisując potwierdzenie złożenia dokumentu, użył fikcyjnego nazwiska. Emilia Nikodem-Boczek, dyrektorka DPS-ów, zatrudniła... grafologa. Biegły porównał podpis z inną próbką i stwierdził, że to sygnatury jednej osoby.

– Dane w tej sprawie zostały pozyskane legalnie, zgodnie z umową oraz przepisami RODO, przy zachowaniu zasady minimalizacji danych – zaznacza dyrektorka.

Jak ustaliliśmy, grafologowi zapłacono z konta ZDPSiOW. Dlaczego? Zdaniem Nikodem-Boczek pracownik zawiadamiający urząd o sytuacji działał na szkodę... swojego miejsca pracy.

– Wszelkie działania związane z wykonaniem usługi i opłaceniem grafologa podjęte zostały w granicach prawa i w celu wyjaśnienia skargi we właściwy sposób. Działania pracownika, który zawiadomił urząd pod fałszywym imieniem i nazwiskiem oraz adresem, zostały zinterpretowane jako uderzające w dobre imię Urzędu Miasta Bydgoszczy i ZDPSiOW. To czyn, a nie względy finansowe stanowią sedno sprawy – mówi Emilia Nikodem-Boczek.

Cona to urząd miasta? W jaki sposób są chronieni autorzy pism sygnałnych i skarg? Czekamy na odpowiedź.



Sprawa karna i postępowania w sądzie pracy obrazują, co dzieje się za murami bydgoskich domów pomocy

„Nie płacę pani, k..., za chodzenie po korytarzu”

Zwolniony pracownik już zwrócił się do sądu pracy. Trwa też inne postępowanie, w którym oskarżona jest obecna dyrektorka i jej była zastępczyni. Proces w IV Wydziale Karnym Sądu Rejonowego w Bydgoszczy dotyczy „złośliwego” i „uporczywego naruszania praw pracowniczych”. Zagrożenie to 3 lata więzienia.

W akcie oskarżenia wyliczono 8 osób, które miały doznać szykan, m.in. w postaci „częstego i uporczywego krzyżowania”, „krytykowania” i „pomniejszania kompetencji zawodowych” oraz ośmieszania.

Zanim postępowanie trafiło do sądu, prokuratura kilka razy je umarzła. W końcu na wokandę trafiło pod koniec 2025 roku.

– Mówiła: „Nie płacę pani, k..., za chodzenie po korytarzu” – zeznawała w sądzie była pracownica ZDPSiOW w Bydgoszczy. Twierdzi, że takie słowa padły z ust obecnej dyrektorki. Przepracowała 3 miesiące w 2023 r. Była kierownikiem Sekcji Terapii w DPS „Słoneczko” i, jak zaznacza, „od pierwszych dni” spotykała się z „nieprzychylnością”. – Krzyczała na mnie, uderzała pięścią w stół, mó-

wiła, że my nic nie mamy do powiedzenia – zeznawała. – Odsuwała mnie od zadań, nie informowała o tym.

Wiosną 2023 r. w „Słoneczku” organizowano imprezę dla podopiecznych – dzieci z niepełnosprawnościami. Jak zaznacza radca prawny Jan Poczwadowski, reprezentujący pracownicę, po przygotowaniu przez jego klientkę zabawy z pokazem wojskowym, zawodami strzeleckimi i słodyczami dyrektorka miała nazwać ją „nieudacznikiem”, który nie potrafi nawet zorganizować Dnia Dziecka. Kiedy później pracownica znalazła ofertę szkoleń dla 10 osób z kadry DPS, dyrektorka nie chciała wysłać tam wszystkich chętnych. Świadek zeznawała: „Pani Emilia krzyczała, że nie rozumie, czemu podważam jej kompetencje. Mówiła, że »jak uzna za stosowne«, to nas wyśle i że nie mam udowadniać, jaka jestem wspaniała, tylko zabrać się za robotę”.

Do sądu pracy

Emilia Nikodem-Boczek: Kategorycznie zaprzeczam cytowanemu oszczerstwu. Nie zamierzam odnosić się do przytoczonych słów, żaden z przesłuchanych świadków nie potwierdził tej wersji wydarzeń, pu-

bliczne rozpowszechnianie nieprawdy jest głęboko krzywdzące i uwłaczające godności. Nie używam wulgaryzmów prywatnie, a tym bardziej w pracy.

Pracownica twierdzi natomiast, że usłyszała od dyrektorki, iż „nic nie ogarnia”. Wtedy – jak wynika z zeznań w aktach sprawy – podeszła do pani dyrektorki i zaproponowała, że jeśli jest takim złym pracownikiem, to ma ją zwolnić. Pół godziny później wręczono jej rozwiązanie umowy.

Sprawa trafiła do sądu pracy, ale rację przyznano dyrektorce. Natomiast w innym postępowaniu, też w Wydziale Pracy bydgoskiego Sądu Rejonowego, uznano roszczenia następnej zwolnionej pracownicy. Tym razem chodziło o pracownika socjalnego, który z zespołem domów pomocy w Bydgoszczy był związany przez 26 lat. Jak twierdzi, atmosfera w „Słoneczku” zaczęła się psuć po odejściu wspomnianej szefowej Sekcji Terapii. Pogorszyło się, kiedy w DPS-ie kontrolę przeprowadził urząd wojewódzki.

Analizowano zakupy pieluchomajtek dla podopiecznych. Ustalono, że 24 mieszkańców domu używało pieluch. Dodatkowe środki chłonne

kupowano za pełną cenę, mimo iż mogły być refundowane. Za te „nadmiarowe” potrącano z kont podopiecznych, choć nie musiano.

Kierownikiem „Słoneczka” była wtedy inna pracownica, która też występuje obecnie w sprawie karnej jako oskarżycielka posiłkowa. Jej podwładna dokonywała zamówień zgodnie z wytycznymi szefowej. W październiku tego samego roku miała być przeniesiona do innej jednostki – DPS „Jesieni Życia”.

Jak twierdzi, powodem było znalezienie na jej biurku wydruku raportu z kontroli z K-PUW. – Zostałam poproszona do gabinetu pani Boczek, gdzie była pani S. [wicedyrektor, współoskarżona w trwającym procesie – przyp. red.] i pani kadrowa. Odczytano mi, że znaleziono u mnie protokół pokontrolny. Odebrałam to jako żart.

Tłumaczyła, że materiał pobrała z internetu. Potem zarzucono jej, że nie odbiera telefonu służbowego. Wyjaśniała, że akurat była w szpitalu z dzieckiem, którego jest opiekunem prawnym. Czekala na przyjęcie pacjenta na oddział psychiatryczny, dziecko było nadpobudliwe.

Forma „pożądana i stosowna”

11 października 2023 r. dyrektor zdecydowała o przeniesieniu opiekunki do „Jesieni Życia”. Miała zająć się seniorami. Tego samego dnia delegowana wysłała SMS-y do rodzin swoich podopiecznych w „Słoneczku”, że prawdopodobnie nie będzie z nią kontaktu, bo jest przenoszona.

– Wręczyły wypowiedzenie po wysłaniu SMS-ów do rodziców – mówi pracownica.

Zwolnienie dyscyplinarne. Powód: „Ciężkie, zawinione naruszenie podstawowych obowiązków pracowniczych, które skutkuje utratą zaufania”. Dalej w tym samym piśmie dyrektor zaznaczyła, że pracownicy nie poleceno „przekazywać informacji”, a jej czyn wywołał „konsternację i obawy u rodziców”.

Sędzia Sądu Rejonowego Piotr Pawlak, rozpatrując pozew zwolnionej, przyznał rację pracownicy. Z uzasadnienia wyroku: „Taka forma pożegnania i podziękowań dla rodziców dzieci ze „Słoneczka”, nie tylko nie była zabroniona, ale wręcz pożądana i stosowna”.

DPS wypłacił 17,5 tys. zł odszkodowania. Kobieta znalazła pracę w urzędzie wojewódzkim. Występowała też jako jeden z oskarżycieli w sprawie karnej dyrektorki, ale odstąpiła od oskarżenia.

Emilia Nikodem-Boczek twierdzi, że to ona sama jest ofiarą szykan i mobbingu ze strony pracowników. Wraca do 2022 roku, kiedy zaczynała pracę jako dyrektor. – Objęłam stanowisko, kiedy duża część zespołu była w sporze zbiorowym z poprzednią dyrekcją. Chodziło o wynagrodzenia, warunki pracy, sprzęt pomocniczy. Zadziwiające, że środki finansowe i zapasy magazynowe były adekwatne do potrzeb. Natomiast bierność pracowników przekładała się na zaniedbania – mówi.

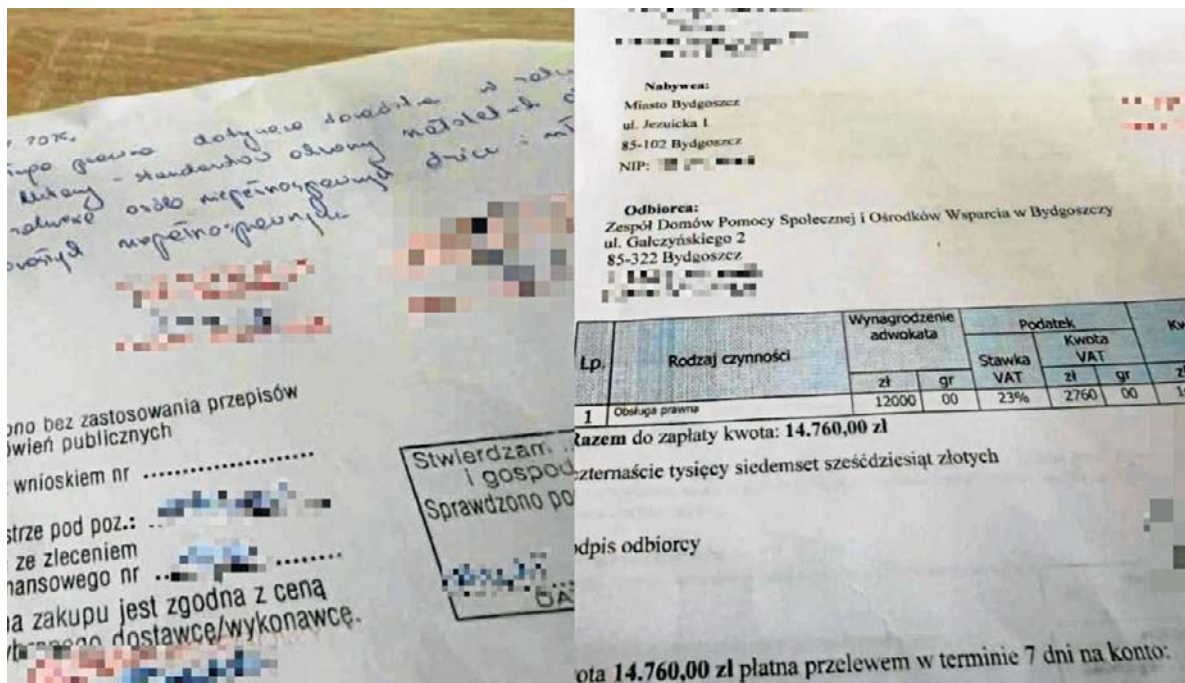
Pani dyrektor pokazuje zdjęcia pokojów z odrapanymi ścianami, poplamionymi dywanami. – To było po prostu straszne. Z jednego pokoju wyszłam z płaczem. Za posłanie służył dziecku rzucony na podłogę materac cienki jak koc, a w kącie leżały fekalia. Gdy poprosiłam kierownika DPS-u, by wyjaśnił, dlaczego podopieczny przebywa w takich warunkach, powiedziała: „Bo dziecko jest agresywne” – mówi Nikodem-Boczek. – Standard w domu pomocy społecznej reguluje rozporządzenie MRPiPS, a nie zachowanie mieszkańca. Podstawowym obowiązkiem kierownika jednostki ZDPSiOW jest zapewnienie podstawowych potrzeb bytowych mieszkańca.

Wielu mieszkańców, jak wspomina, nie miało pościeli. – Potwierdzeniem tej bierności pracowników było dopuszczenie do sytuacji, w której niepełnosprawni fizycznie mieszkańcy zostali pozbawieni windy – mówi pani dyrektor. – Wdrożone działania naprawcze ze wsparciem Urzędu Miasta Bydgoszczy pozwoliły na rozwiązanie tego problemu przez zakup i montaż nowych wind. Działania naprawczych wymagał też stan sanitarno-epidemiologiczny, przede wszystkim pokoi mieszkalnych. Zamiast wsparcia w procesie uporządkowania placówki słyszałam komentarze o „czepianiu się”, „wymyślaniu”.

– Najgorsze jednak było to, że panowała tu ogromna przemoc – dodaje dyrektor.

O nieprawidłowościach traktuje pismo pokontrolne inspektorów Urzędu Wojewódzkiego w Bydgoszczy. Część ustaleń dotyczyła „afery pieluchowej”, ale badano też incydent, do którego doszło w marcu 2023 roku.

„W trakcie wydawania posiłków (...) małe dzieci (...) podczas jedzenia kilkakrotnie wstawał z krzesła. Pelnica dyżur opiekunka (nazwisko B.) każdorazowo sadzała chłopca na krzesło” – czytamy w protokole. I dalej: „Zdeenerwowany sytuacją chłopiec ze złości rzucił o podłogę kubkiem, w którym był kompot”. Opiekunka, „stojąc za plecami chłopca, chwyciła go i wytarła jego ciało kompot”.



W sprawie tej faktury za pomoc prawną trwa kontrola bydgoskiego urzędu miasta

Informacja o zajściu dotarła do dyrektorki niecały miesiąc później, 18 kwietnia 2023 r. Opiekunka, która wytarła dzieckiem podłogę, została zwolniona dyscyplinarnie.

Kto chciał egzorcyisty w „Słoneczku”?

Dyrektorka wspomina, że we wrześniu 2023 r. przyszła do niej zastępca dyrektora z informacją, że na Zespole Terapeutyczno-Opiekuńczym opiekunowie prosili o zatrudnienie egzorcyisty w związku z zachowaniem kilkuletniego dziecka.

– Słyszając to, proszę o dokumentację medyczną tego chłopca – kontynuuje Nikodem-Boczek. – Okazuje się, że nie można znaleźć tej dokumentacji. Proszę też o dostęp do nagrań z monitoringu. Z tego zapisu wynika, że dziecko było 50 minut męczone.

Uzyskaliśmy dostęp do nagrania. Widać uchylone drzwi do pokoju. Mały podopieczny wygląda przez nie, próbuje wyjść. Do pokoju wchodzi jedna, potem druga opiekunka. Na korytarzu pojawia się inny maluch. Przygląda się. Panie wychodzą. Przychodzi starszy chłopiec pilnować „niegrzecznego”. Opiekunka wraca. Przez uchylone drzwi dostrzec można samotną dziewczynę. Chłopiec na widok opiekunki kładzie się na podłodze w obronnym geście.

– W moim odczuciu dziecko chce udać się do kucharki terapeutycznej i skorzystać z jedzenia lub picia – twierdzi dyrektor. – To jest dom, dzieci mają prawo przemieszczania się wszędzie. Mają zagwarantowany dostęp do jedzenia przez cały czas, na życzenie. Natomiast, jak się później okazało, panujący system kar i przywilejów ograniczał dostęp do podstawowych rzeczy i zaspokojenia potrzeb. Po rozpoznaniu sytuacji wydałam kategorię zakaz stosowania takich metod.

Fakt, że powstał pomysł wypędzenia „sił nieczystych” z dziecka, znajduje potwierdzenie w zeznaniach

świadka, w tamtym czasie kierownika DPS „Słoneczka”: „Mieszkaniec był bardzo pobudzony. Był postulat, żeby ściągnąć egzorcyistę, bo jego zachowanie jest nienaturalne”.

Nikodem-Boczek wspomina rozmowę z inną pracownicą: „Ty wiesz, mówiła, że X. [tu pada imię mężczyzny], jak idzie korytarzem, to mu tak – pokazuje – włosy stoją?”. Pytam, co tym mówi? Mówi – przyciszonym głosem – że „chłopiec jest opętany”.

– Ten chłopiec – dodaje pani dyrektor – był chwytny za kark, szarpany, przeciągany. Inne dzieci też. Były przypadki wkładania głowy pod zimny prysznic.

Powołano komisję ds. przemocy. Z protokołu: „Osoba, która stosowała przemoc, była (...). Zawsze, gdy miałam z nią dyżur, każda sytuacja kończyła się krzykiem”. Opis zdarzenia z jedną z dziewczynek: „Miała nauczenie indywidualne. Nauczycielka zwróciła uwagę, że (...) ma mokre włosy. Pani (...) się wtedy zmieszała”. O chłopcu z kolei: „Chciałam wejść do łazienki, ale bałam się tego, co zobaczę. Zobaczyłam, jak on kłęczy, a ona muleje zimną wodę po głowie”.

Kto zapłacił kancelarii adwokackiej?

W związku z sytuacją dotyczącą „opętanego” zwolniona została jedna z opiekunek. Trzy inne po kontroli same odeszły.

Według pani dyrektor w DPS-ie działała grupa, która zastraszała inne pracownice, świeżo przyjęte do pracy. Ta grupa – w jej opinii – miała stać za doprowadzeniem do sądu sprawy, w której obecnie toczy się proces.

Nikodem-Boczek zapewnia, że zgłaszała organom ścigania sprawę stosowania przemocy wobec dzieci przez 7 pracowników oraz niekorzystnego rozporządzania mieniem podopiecznych DPS „Słoneczko” przez 3 osoby. Postępowania zostały podjęte przez bydgoską prokuraturę rejonową. Z jakim skutkiem? Dyrektor twierdzi, że nastąpiło umorzenie

w sytuacji stosowania przemocy i złożyla stosowne zażalenie. W pozostałych sytuacjach nie ma informacji zwrotnej.

Jesteśmy w trakcie sprawdzania tych informacji. Póki co z naszych nieoficjalnych ustaleń wynika, że śledczy prokuratury Bydgoszcz-Południe umorzyli jedną sprawę przemocy zarejestrowaną w listopadzie 2023 r.

Pracownicy przywołują inne zdarzenia. W zeznaniach jednego ze świadków można przeczytać o odczuciach z rozmów z opiekunką, którą przeniesiono z jednego DPS-u do drugiego: „Była w złym stanie psychicznym. Jak pierwszego dnia przyszła do pracy, mówiła, że się boi, że mnie spotka coś złego, bo ona u mnie pracuje. Często płakała”. Mowa o pracownicy, która twierdzi, że od 2 lat leczy się psychiatrycznie.

O dyrektorce: „Manipuluje i zastrasza nas. (...) Mówiła, że będzie weryfikować zasadność zwolnień lekarskich, powiedziała też: »Jak chcecie pisać anonimy, to pamiętajcie, że mam znajomości«” – czytamy w protokole z rozprawy sądowej.

Te zeznania zostały złożone w sądzie 28 kwietnia tego roku. 18 maja świadek, pracownica DPS „Jesień Życia”, dostała wypowiedzenie umowy o pracę ze skutkiem natychmiastowym. Powód: Utrata zaufania.

Zwolniona przekonuje, że wyrzucenie jej to „działania odwetowe” za zeznania. Opowiada o skardze, którą rzekomo napisano na nią na krótko przed rozprawą. – Sprawa była celowo przedłużana, bo kilka dni przed rozprawą, w której byłam świadkiem, okazało się, że termin został przeniesiony na 28 kwietnia.

Pani dyrektor: Decyzja o rozwiązaniu umowy o pracę nie miała związku z jej zeznaniami podczas rozprawy sądowej. Łączenie tych dwóch faktów jest bezpodstawną nadinterpretacją. Decyzje personalne oraz ocena pracy na stanowiskach kierowniczych w naszej jednostce opierają się wyłącznie na me-

rytorycznych i obiektywnych przesłankach.

Dyrektorka wylicza kryteria, które obowiązują kierownika DPS „Jesień Życia”. To profesjonalizm, rzetelność i nadzór. – Działania i narracja budowana wokół tej sprawy przez panią (...) wynikają – w mojej ocenie – z jej osobistych aspiracji i chęci objęcia stanowiska dyrektora – twierdzi.

Po tym zwolnieniu wypowiedzenia złożyły jeszcze kierownik DPS „Promień Życia” oraz dwie zastępczyni dyrektora. Jedną z nich, Katarzyna S., to też oskarżona w sprawie karnej. Dlaczego zdecydowała się na ten ruch?

– Muszę skonsultować z prawnikiem, czy mogę o tym mówić – rozważa pytana była zastępczyni dyrektora. – Jest wiele rzeczy, które mogłabym opowiedzieć. Wypowiedzenia nie składa się tak po prostu. Nie jest to już miejsce pracy dla mnie bezpieczne ani komfortowe.

W Zespole DPS trwają właśnie kontrole Państwowej Inspekcji Pracy. – Nie ma jeszcze wniosków pokontrolnych – mówi Magdalena Araszkiewicz, zastępująca rzeczniczkę PIP w Bydgoszczy.

Inną sprawą jest kwestia finansowania pomocy prawnej dla dyrektorki. Dotarliśmy do faktury opiewającej na 14,7 tys. zł wystawionej DPS-om przez kancelarię adwokacką. Na odwrocie jest ręczna adnotacja: „Obsługa prawna doradztwa w zakresie stosowania Ustawy – standardów ochrony małoletnich (...)”.

Emilia Nikodem-Boczek pyta, czy zapłaciła za adwokata z funduszy ZDPSiOW: Nie uważam, żeby to była moja sprawa prywatna, ale sfinansowałam wszystkie rzeczy ze swoich prywatnych środków. W kwietniu pani mecenas wystawiła fakturę, właśnie początkowo na zespół, i w kwietniu ją uregulowałam, wpłacając na konto dochodowe zespołu. Poniosłam koszty w wysokości 27 tys. zł. Jako że stanęłam w obronie tych krzywdzonych dzieci, to tak naprawdę okradłam swoją rodzinę i konsekwencje tego ponoszą teraz moje dzieci. Mimo tego, że poniosłam koszty finansowe, moralne i zdrowotne, to placówki zmieniają się: trwają remonty korytarzy, pokoje odzyskują blask, a standard życia mieszkańców realnie rośnie, co jest dla mnie najważniejszą odpowiedzią na wszelkie próby dyskredytowania mojej pracy – dodaje.

Jedną z byłych pracowników DPS-ów, która zajmowała ważne stanowisko, twierdzi, że taki mechanizm nie jest możliwy: Jeżeli ktoś wpłaca środki na konto DPS-u, to one i tak muszą przejść przez urząd miasta. Potem wnioskujemy o ich udzielenie. W tej sprawie kontrolę prowadzi bydgoski ratusz. Urząd pytamy też, czy wobec trwającej sprawy karnej dyrektor nie powinna zostać zawieszona w obowiązkach. ©

OCHRONA ZDROWIA

Żółtaczka? Winne są też ryzykowne kontakty seksualne

Aż 65 przypadków ostrego wirusowego zapalenie wątroby typu A (WZW A) zdiagnozowali w tym roku wrocławscy lekarze. To o ponad 100 procent więcej niż w roku ubiegłym. Czy to już epidemia? – pytamy Pawła Wróblewskiego, dyrektora Powiatowej Stacji Sanitarno-Epidemiologicznej we Wrocławiu

Monika Fajge

Będziemy rozmawiać o wirusowym zapaleniu wątroby typu A (WZW A), bo tegoroczne statystyki dotyczące zakażeń są niepokojące. Na żółtaczkę zachorowało we Wrocławiu kilka dziesiąt osób.

Paweł Wróblewski: Nie dramatyzowałbym, choć liczba zachorowań faktycznie rośnie. To zjawisko, które obserwujemy na przestrzeni lat. Od kilku zachorowań rocznie mniej więcej 5-6 lat temu, do 65 przypadków w roku bieżącym. Wzrost jest kaskadowy. To, niestety, specyfika aglomeracji, dosyć popularnego miasta. Naszą rolą, inspekcji sanitarnej, jest obserwować ten trend i podejmować odpowiednie działania. No ale też nie przesadzajmy. Na prawie milion mieszkańców Wrocławia, łącznie z przyjezdnymi, plus jeszcze ze dwieście, trzysta tysięcy mieszkańców powiatu wrocławskiego, te 65 przypadków żółtaczki to nie jest jakaś zatrważająca skala zachorowań.

Mówi Pan „nie siejmy paniki”, ale w oświadczeniu sanepidu czytamy o „epidemicznym wzroście zachorowań”. Na oddziałach zakaźnych szpitala przy ul. Koszarowej hospitalizowanych było w tym roku ponad 50 pacjentów z żółtaczką. To jednak dużo.

Co to znaczy dużo? Do czego przyrównujemy? Mnie bardziej martwiły wzrost zachorowań dotyczący nie tylko WZW A, ale też chorób wenerycznych. Mówię o tym od kilku lat, bo w zasadzie wszystko zaczęło się po covidzie, mniej więcej z wybuchem wojny w Ukrainie. Po prostu musimy mieć świadomość, że nasz region, Wrocław, stał się bardzo otwartym miejscem. Mamy bardzo dużo turystów, dużą migrację. Niestety, obowiązek meldunkowy, który został zniesiony, utrudnia nam trochę pracę, bo nie wiadomo, kto przejeżdża przez nasze miasto, a kto tu zostaje. W każdym razie ruch jest duży, a w takich sytuacjach wszystkie choroby, które roznoszą się drogą kontaktową, od człowieka do człowieka, dają o sobie znać, a ich liczba wzrasta.

Dużo turystów, wakacje, tak jest co roku. Ale to w te wakacje wzrósł zaka-

żeń jest jednak zauważalny. Czy to lato jest jakieś wyjątkowe?

Nie powiedziałbym. Kilka lat temu też mieliśmy wzrost zachorowań na WZW A i jakoś udało się opanować sytuację, głównie przez działania edukacyjne, propagandowe i – przede wszystkim – przez zlokalizowanie źródła. W tym roku, na razie, jest trudniej. Największym problemem jest polityczna poprawność, bo dzisiaj o pewnych rzeczach nie wolno mówić otwarcie. I to jest dramat. Już parę lat temu zostałem zrugany przez obecną posłankę, ówczesną radną, gdy odczytałem raport PZH dotyczący właśnie chorób przenoszonych drogą płciową. No więc staramy się mówić delikatnie, ale...

To powiedzmy. Delikatnie, ale jednak powiedzmy. Mówi się, że żółtaczka to „choroba brudnych rąk”, tymczasem we Wrocławiu głównym źródłem zakażenia są ryzykowne kontakty seksualne.

Wszystko na to wskazuje. W wywiadach rzeczywiście przeważają, mówiąc delikatnie, ryzykowne zachowania seksualne. I dotyczy to głównie młodych mężczyzn w średnim wieku 28 lat. Jest to więc wyraźny sygnał z tego środowiska, środowiska homoseksualnego. Dzisiaj, szczególnie w tej grupie wieku, przy tym takim, można powiedzieć, rozluźnieniu obyczajowym, pojawiają się różne sposoby zaspokajania swoich potrzeb, spędzania czasu. I rzeczywiście dotyczy to głównie młodych ludzi.

Z takim źródłem zakażenia (kontakty seksualne) mierzyli się w ubiegłym roku Czesi. Tam sytuacja była poważniejsza niż u nas, mówiono o epidemii żółtaczki. Chorowały głównie, choć nie tylko, osoby homoseksualne.

To się nazywa środowisko MSM (skrót od angielskiego określenia men who have sex with men, co oznacza mężczyzn mających kontakty seksualne z mężczyznami – red.). Ale to nie muszą być tylko homoseksualiści, mówimy też o osobach biseksualnych.

Zjawisko charakterystyczne dla dużych miast, takich jak Praga czy Wrocław.



Paweł Wróblewski: Plus tej choroby jest taki, że WZW A jest stosunkowo krótko zakaźne

No tak. Bardzo duża ilość turystów, zwiedzających, przyjeżdżających. No i dużo miejsc rozrywki i uciech. Nie chcę „sypać” nazwami, ale we Wrocławiu są kluby jakby „wyspecjalizowane” w tego typu rozrywce i kto wie, czy to właśnie, w obecnej sytuacji, nie jest właśnie największy problem.

Prognozujecie Państwo (sanepid), że zakażeń żółtaczką będzie w tym roku jeszcze dużo więcej?

Strasznie trudno odpowiedzieć na to pytanie. Próbuje się ruszyć, m.in. przez różne organizacje, z akcją propagandową. Staramy się docierać do miejsc, które według nas są może nie tyle niebezpieczne, co zagrożone. Edukacja to podstawa. Uświadomienie młodym ludziom, żeby jednak stosować, przy tego typu praktykach seksualnych, choćby prezerwatywy, jest bardzo ważne. Plus tej choroby jest taki, że WZW A jest stosunkowo krótko zakaźne. Osoba, która zaraziła się i jeszcze o tym nie wie, mniej więcej na dwa tygodnie przed wystąpieniem objawów zakaża, a później mniej więcej tydzień po. Gorzej, jak mamy do czynienia tylko z objawami grypopodobnymi. Wtedy nie mamy świadomości, że chorujemy na żółtaczkę, a możemy ją przekazać dalej. Na szczęście ten typ zakażenia wirusem A rzadko daje poważne konsekwencje.

Jak jeszcze możemy się zarazić? Bo kontakty seksualne to jedno...

Żółtaczka to „choroba brudnych rąk”, więc można zakażać się wirusem przez kontakt z zanieczyszczoną żywnością, wodą zanieczyszczoną, ewentualnie nieprzetworzonymi termicznie np. owocami morza. Jeżeli mamy pecha, bo obsługiwał nas w restauracji ktoś, kto nie umył rąk, a niestety choruje bezobjawowo, to też najprawdopodobniej zachorujemy. Musimy zachować ostrożność, ale to nie znaczy, że nie powinniśmy chodzić na sushi.

Czy musimy więc uważać w restauracjach? Lepiej nie zamawiać sałatek?

Nie szedłbym aż tak daleko. Jak już wspominałem, do tej pory zachorowało trochę ponad 60 osób na półtora miliona aglomeracji. To są osoby głównie z określonego środowiska, więc... bez paniki. Z pewnością trzeba dbać o czystość urządzeń sanitarnych, o ob-

róbkę żywności. Właściwie tylko termiczna zapewnia 100-procentowe bezpieczeństwo.

Oprócz zażółcenia skóry i spojówek, jakie jeszcze objawy powinny nas zaniepokoić, jeśli chodzi o WZW A?

Żółtaczka to „najprostszy” objaw. No bo wtedy jak nam spojówki żółkną, to wiadomo, trzeba iść do lekarza. Inne może być trudniej skojarzyć z WZW A. To są niestrawności i wspomniane już objawy grypopodobne. Wtedy powinniśmy przeanalizować i skojarzyć, gdzie byliśmy w ostatnim czasie, co jedliśmy, z kim się spotykaliśmy. Jeśli ten wywiad wyda nam się niepokojący, trzeba umówić wizytę u lekarza, który potwierdzi diagnozę. Leczenia specyficznego nie ma, tylko leczenie objawowe. Musimy siedzieć spokojnie w domu, ewentualnie w szpitalu, jeżeli przypadek jest cięższy. No i stosować leki w zależności od tego, co nam dokucza. A potem... kontrolować się, bo to jest ważne, żeby wątrobę sobie badać, czy czasem nie ulega dużemu uszkodzeniu. Pocięszające jest to, że WZW A raczej rzadko przechodzi w przewlekłe zapalenie wątroby, jak w przypadku innych wirusów.

Można się przeciw WZW A zaszczepić?

To najważniejsze. Najprościej jest się zaszczepić. Można to zrobić nawet wtedy, kiedy podejrzewamy chorobę, bo już po pierwszym szczepieniu pojawiają się przeciwciała. Warto też pamiętać, że przechorowanie żółtaczki również daje trwałą odporność. Po raz kolejny chciałbym przypomnieć, że szczepionka nie jest lekiem: szczepionka jest „symulacją choroby”. Wprowadzamy do organizmu osłabiony wirus lub jego fragment, a nasz układ odpornościowy zaczyna produkować przeciwciała. Stąd też po szczepieniu mogą wystąpić objawy choroby, bo nasze przeciwciała niszczą tego „intruza” i organizm musi go wydaląć. W związku z powyższym, w zależności od tego, jak silną mamy odporność, ta reakcja może być różna. Najważniejsze, że w przypadku WZW A ta odporność po szczepionce jest dosyć trwała.

Cały wywiad na GazetaWroclawska.pl

KOŚCIÓŁ

Co papież Leon XIV sądzi o polityce Stanów Zjednoczonych

W słowach papieża Leona XIV: „Kocham Amerykę za wolność i otwartość na ludzi” pobrzmiewa autentyczna duma z bycia Amerykaninem

Mariusz Grabowski

– Myślę o sobie raczej jako o papieżu, który tylko przypadkiem jest z Chicago – powiedział niedawno Leon XIV w rozmowie z NBC. – Żywię wielką miłość do Ameryki – zapewnił. Ale jego relacje z ojczyzną, a zwłaszcza z jej prezydentem Donaldem Trumpem, nierzadko bywają trudne.

Co z imigrantami?

Komentatorzy szybko doszukanili się w słowach głowy Kościoła najrozsądniejszych emocji, w tym choćby sympatii dla liberalizmu. Leon XIV wskazał bowiem, że ceni w Ameryce reprezentowane przez nią zasady: poczucie wolności i możliwości oraz otwartość na przyszłość. Przypomniał, że Stany Zjednoczone przez pokolenia zapraszały ludzi z całego świata, by stawali się częścią kraju.

– Pochodzę z rodziny imigrantów od strony moich dziadków. Wśród przodków od strony mojej matki byli zarówno niewolnicy, jak i właściciele niewolników – mówił papież. Wskazał, że ta złożona historia jest historią rozwoju, a doświadczenie różnorodnych korzeni pozwala mu widzieć to jako część jednego z największych bogactw Stanów Zjednoczonych. Podkreślił, że nadal opowiada się za zasadami, które przez wiele lat stanowiły „część amerykańskiej tożsamości”.

To o tyle znaczące, że kwestia migracji jest jedną z tych, które dzielią Leona XIV, podobnie jak jego poprzednika, z dzisiejszą administracją. Np. w październiku 2025 r. papież, w czasie spotkania z biskupami z USA, mówił, że amerykańscy duchowni powinni „zdecydowanie zabierać głos” w sprawie tego, jak administracja Donalda Trumpa traktuje imigrantów w ramach zastrzeżenia polityki imigracyjnej.

– Nasz Ojciec Święty jest bardzo osobiście zmartwiony tymi kwestiami – mówił wówczas w rozmowie z agencją Reutersa biskup z El Paso Mark Seitz, który brał udział w spotkaniu. – Wyraził pragnienie, by Konferencja Episkopatu USA zajęła zdecydowane stanowisko w tej sprawie – dodawał hierarcha.

Wiadomo, że na spotkaniu przekazano papieżowi dziesiątki listów od imigrantów opisujących swoje lęki związane z obawą przed deportacją z USA.



Na linii Donald Trump – Leon XIV można wręcz mówić o otwartym konflikcie

Co z karą śmierci?

Ale i wcześniej Leon XIV dawał do zrozumienia, że antyimigracyjna polityka Trumpa jest w niezgodzie z nauczaniem Kościoła katolickiego i zasadą „pro-life”. Podobnie jak poparcie dla kary śmierci. Tu głos papieża jest jeszcze bardziej zdecydowany.

O karze śmierci wypowiadał się wielokrotnie. Ostatnio w kwietniu tego roku, zwracając się w wideo-przesłaniu do uczestników spotkania na DePaul University, upamiętniającego 15. rocznicę zniesienia kary śmierci w stanie Illinois, Ojciec Święty przypomniał, że ochrona życia jest „fundamentem sprawiedliwego społeczeństwa, a Kościół uznaje karę śmierci za niedopuszczalną”.

Ojciec Święty zaznaczył, że nawet najcięższe przestępstwa nie odbierają człowiekowi jego godności. Wskazał także, że współczesne systemy penitencjarne są w stanie skutecznie chronić społeczeństwo, nie pozbawiając skazanych „możliwości odkupienia”. Jego słowa natychmiast skonfrontowano z faktami: kara śmierci w USA jest legalna w 27 z 50 stanów oraz na poziomie federalnym. O jej losach decydują przepisy lokalne poszczególnych terytoriów oraz Departament Sprawiedliwości Stanów Zjednoczonych.

W katalogu spraw spornych na linii Watykan – Biały Dom jest też

kwestia aborcji. W październiku 2025 r. Leon XIV po raz pierwszy tak dobitnie zabrał głos w tej sprawie. Stało się to po głośnej sprawie abp. Chicago Blase’a Cupicha (byłego bliskiego doradcy papieża Franciszka), który postanowił wręczyć nagrodę senatorowi z Illinois Dickowi Durbinowi za jego pracę na rzecz imigrantów. Zamiar wywołał sprzeciw wielu konserwatywnych biskupów amerykańskich; wpływowi demokratyczny polityk od lat walczy o „prawo” do aborcji.

– Ktoś, kto mówi: „Jestem przeciwny aborcji”, ale zarazem jest za karą śmierci, nie jest tak naprawdę pro-life – zauważył papież, wskazując tym samym na ewidentną sprzeczność w postawie wielu amerykańskich katolików. Podobnie wyraził wątpliwość, czy da się pogodzić z obroną życia „niehumanitarne traktowanie imigrantów w Stanach Zjednoczonych”.

„Katolicy bezdomni”

Sprawa abp. Cupicha wykazała podziały w amerykańskim episkopacie. Co ciekawe, w związku z głosami krytycznymi, także ze strony grupy biskupów, chicagowski senator sam postanowił, że nie przyjmie nagrody za swoją działalność proimigracyjną.

Na wieść o tym abp Cupich wyraził ubolewanie, że polaryzacja w Stanach Zjednoczonych stwo-

rzyła sytuację, w której katolicy (jest ich dziś w Stanach prawie 60 mln) „czują się politycznie bezdomni”, ponieważ ani Partia Republikańska, ani Partia Demokratyczna nie odzwierciedlają w pełni całego zakresu nauczania katolickiego.

Można powiedzieć, że Leon XIV znalazł się w sytuacji arbitra usiłującego pogodzić w kwestiach etycznych dwa zwaśnione skrzydła amerykańskich hierarchów.

Dochodzi do tego kwestia wojen toczonych przez Stany Zjednoczone. Papież ostro skrytykował działania Stanów w Wenezueli, a podczas spotkania z wiernymi na Placu Świętego Piotra w marcu wyraził solidarność z cywilami na Bliskim Wschodzie, którzy cierpią z powodu trwającego tam konfliktu, którego jedną ze stron są także Amerykanie. – Przemoc nigdy nie będzie mogła doprowadzić do sprawiedliwości, stabilności i pokoju, którego oczekują narody – zaznaczył Leon XIV.

Podobnie jest w przypadku wojny USA z Iranem. Gdy Donald Trump wystosował w stronę przywódców Iranu ultimatum, Leon XIV oświadczył, że groźby wobec całego narodu Iranu są „naprawdę niedopuszczalne”, a ataki na infrastrukturę cywilną są wbrew prawu międzynarodowemu.

W kwietniu podczas rozmowy z dziennikarzami w Castel Gan-

dolfo amerykański papież podkreślił, że wiele osób nazywa wprost wojnę z Iranem „niesprawiedliwą”.

Na linii Trump – Leon XIV można wręcz mówić o otwartym konflikcie. Gdy w kwietniu 2026 r. z ust papieża padły słowa o „garście tyranów”, zostało to odbierane jako bezpośrednie uderzenie w prezydenta Stanów Zjednoczonych. Trump w odwecie nazwał papieża słabym i zarzucił mu liberalizm. Widać, że konflikt ma charakter nie tylko ideowy i polityczny, ale także osobisty.

Nawet wiceprezydent USA J. D. Vance, nawrócony katolik, stwierdził, że papież powinien być „bardziej ostrożny” w swoich wypowiedziach na temat teologii, a w innym miejscu zasugerował, że Leon XIV, pierwszy augustynianin na tronie papieskim, nie rozumie doktryny wojny sprawiedliwej.

Escalacja sporu i sygnały pojednawcze

Jakie konsekwencje może mieć spór amerykańskiego prezydenta z amerykańskim papieżem? Komentatorzy wskazują, że jedną z możliwości odpowiedzi ze strony administracji Trumpa będą cięcia finansowań dla programów prowadzonych przez Kościół katolicki. Przedsnak tego mieliśmy już w Miami, gdzie administracja rządowa wstrzymała dotacje dla ośrodków tamtejszego Caritasu.

Inną niepokojącą możliwością jest rozbudzenie antykatolickich nastrojów w USA, które mają w tym kraju wieloletnie tradycje. Rząd federalny teoretycznie mógłby też pozbawić Kościół katolicki zwolnienia z podatków, aczkolwiek jest to opcja, którą nazwać by można „atomową”.

Jednocześnie w tym konflikcie pojawiają się sygnały o charakterze pojednawczym. Np. papież Leon XIV został wyróżniony Medalem Wolności przyznawanym przez amerykańskie Narodowe Centrum Konstytucyjne – taką informację 14 lipca 2026 r. podała Vatican News.

W ten sposób instytucja chce „uhonorować wkład Leona XIV w promowanie ideałów uchwalonej w 1791 r. Pierwszej Poprawki do Konstytucji USA, która gwarantuje fundamentalne wolności: religii, słowa, prasy, pokojowych zgromadzeń oraz petycji do rządu”. Przyznanie papieżowi odznaczenia ma związek z obchodami 250-lecia założenia USA.

ZABYTKI DOLNEGO ŚLĄSKA



Salon Wenecki odtworzono jako pierwszy z sześciu salonów Zamku Książ w ramach projektu „Perła na szlaku śląskiego baroku”

Salon Włoski w Zamku Książ jak za czasów Hochbergów

W Zamku Książ w Wałbrzychu otwarto wiernie odtworzony Salon Włoski. W remontowanym, powracającym do dawnej świetności zabytku po raz pierwszy w rewaloryzowanym pomieszczeniu odtworzono jego historyczny wystrój sprzed 1944 roku

Paweł Gołębiowski

Uroczystość otwarcia Salonu Weneckiego odbyła się w miniony weekend podczas zorganizowanego w dawnej siedzibie rodu Hochbergów TAURON Letniego Festiwalu Tajemnic BAROCCO. Można stwierdzić, że to był historyczny moment.

Odtworzenia Salonu Włoskiego jest pierwszym zakończonym etapem największego od półwiecza programu remontowego i konserwatorskiego w zamku, który obejmuje sześć salonów.

– To historyczny moment dla Zamku Książ. Po raz pierwszy od ponad pięćdziesięciu lat realizujemy tak kompleksowy program rewaloryzacji reprezentacyjnych wnętrz. Salon Włoski jest pierwszym pomieszczeniem, któremu przywróciliśmy historyczny charakter sprzed 1944 roku – potwierdza Dorota Karolewska, prezes zarządu Zamku Książ w Wałbrzychu. Salon otwierała razem z prezydentem Wałbrzycha Romanem Szelemejem oraz wojewodą dolnośląską Anną Żabską.

Prace wykonano w ramach projektu „Perła na szlaku śląskiego baroku: rewaloryzacja Zamku Książ oraz otoczenia parkowego dla podniesienia atrakcyjności turystycznej

regionu wałbrzyskiego”, dofinansowanego z funduszy europejskich w ramach działania FENX.07.01. Całkowita wartość projektu wynosi 32,8 mln zł, z czego 21 mln to dofinansowanie z funduszy europejskich. Sam Salon Włoski kosztował ok. 2 mln zł.

Salon Włoski jednym z sześciu do rekonstrukcji

Salon Włoski znajduje się w południowym skrzydle barokowej części zamku. Jego najcenniejszym elementem jest sprowadzony z Włoch strop z plafonem. Badania dendrochronologiczne wykazały, że centralne malowidło powstało po 1758 roku. To wyklucza autorstwo przypisywane dotąd Feliksowi Antonowi Schefflerowi.

– Sufit w Salonie Włoskim zdobi plafon centralny, wykonany w technice olejnej na desce przedstawiający boginię Florę. Otaczają go w narożnikach cztery mniejsze przedstawienia amorów. Zakupił go we Florencji w 1912 roku ówczesny właściciel zamku, książę Jan Henryk XV von Hochberg-Pless (zm. w 1938 r.). Strop ucierpiał w czasie barbarzyńskiej przebudowy zamku realizowanej przez hitlerowców w latach 1944-1945 oraz w wyniku nieudanych prac renowacyjnych w latach

70. ubiegłego stulecia – mówi Mateusz Mykityszyn, rzecznik Zamku Książ.

W Salonie Włoskim wykonano też konserwację i renowację stolarki, rekonstrukcję kominka, odtworzenie historycznych tkanin, zasłon i elementów oświetlenia oraz przygotowanie aranżacji nawiązującej do wyglądu wnętrza z czasów księżnej Daisy i księcia Jana Henryka XV Hochberg von Pless.

– Rekonstrukcja była możliwa dzięki połączeniu badań konserwatorskich, materiałów archiwalnych, historycznych fotografii i pracy specjalistów wielu dziedzin. Naszym celem nie było stworzenie swobodnej stylizacji, lecz możliwie wiernie przywrócenie charakteru wnętrza znanego z okresu przed 1944 rokiem – mówi Katarzyna Sielicka, kierowniczka Działu Muzealno-Edukacyjnego Zamku Książ i koordynatorka projektu.

– Salon Włoski jest pierwszym wnętrzem Książa, w którym tak kompleksowo odtworzono historyczną aranżację. To ważny krok w przywracaniu autentycznego charakteru dawnej rezydencji Hochbergów – dodaje Mateusz Mykityszyn, członek zespołu barokowego i prezes Fundacji Księżnej Daisy von Pless.

Świętość Salonowi Włoskiemu przywracał zespół konserwatorów, historyków sztuki, badaczy i rzemieślników, w tym eksperci zespołu barokowego, Sieci Badawczej Łukasiewicz – Łódzkiego Instytutu Technologicznego oraz specjaliści zajmujący się konserwacją malarstwa, drewna, kamienia, tkanin i historycznego wyposażenia.

Odtworzone pomieszczenie jest pierwszym z sześciu reprezentacyjnych wnętrz barokowego traktu objętych projektem. W kolejnych etapach prace będą wykonywane w Sali Maksymiliana, Salonie Zielonym, Salonie Białym, Salonie Orientalnym oraz Salonie Gier.



Uroczystość otwarcia Salonu Weneckiego odbyła się w miniony weekend



– To historyczny moment – mówi prezes Dorota Karolewska



Remont Salonu Weneckiego trwał półtora roku



Najcenniejszym elementem Salonu Weneckiego jest sprowadzony w 1912 roku z Włoch strop z plafonem



Starano się wiernie odtworzyć Salon zniszczony przez Niemców

GWIAZDA TYGODNIA

Mery Spolsky: Miłość to wojna, nawet kiedy się jest w szczęśliwym związku

To jedna z najbardziej barwnych postaci polskiej sceny muzycznej. Właśnie premierę miał jej kandydat na przebój tego lata – utwór „Tajlandia”. Nam opowiada o swych wymarzonych wakacjach, zmianie sylwetki, patriotyzmie i miłości

Paweł Gzyl

„Tajlandia” to twój kolejny „letniaczek” po „Santorini” sprzed dwóch lat. Skąd u ciebie ten apetyt na przebój lata?

Jako mała dziewczynka zawsze nasłuchiwałam, co moje idolki i idole wypuszczają na wakacje. Wiedziałam, że będzie to coś niezobowiązującego i nie zapowiadającego ich nową płytę, tylko typowa letnia niespodzianka. Zresztą tak jest i teraz: moja aktualna idolka Rosalia też raz na dwa lata raczy swych fanów wakacyjną piosenką. Ostatnio była to „Despecha”, która poniosła się na cały świat. I „Tajlandia” też ma taka być – zupełnie nic nie zapowiada, to prezent na lato 2026. A jeżeli ktoś wybiera się akurat do Tajlandii, niech to będzie dla niego piosenka tego wyjazdu. Bo akurat ja bardzo lubię, wyjeżdżając do jakiegoś kraju, zapętląć sobie utwory, które są mu poświęcone.

A dlaczego akurat Tajlandia?

To jeszcze nieodkryty przeze mnie teren. Azja mnie generalnie bardzo kręci. Miałam okazję być tylko cztery dni w Tokio. To była moja jedyna azjatycka przygoda. A jestem bardzo ciekawa tamtej kultury. Wszyscy moi muzyczni znajomi mieli już okazję odwiedzić Tajlandię i opowiadają, że jest tam wyjątkowy luz, wspaniała kuchnia, ciepły klimat. Chciałabym więc też tego wszystkiego doświadczyć. Może kiedyś będzie mi to dane.

W piosence śpiewasz „Żadnych kłopotów/ Żadnych idiotów”. To twój przepis na idealne wakacje?

To moje motto na lato. Żeby się niczym za bardzo nie przejmować, bo zaraz będzie jesień, dni zrobią się krótsze i wtedy więcej czarnych myśli będzie nam przychodzić do głowy. Tak sobie właśnie wyobrażam ten wyjazd do Tajlandii: pakuję się do podręcznego plecaka, wrzucam dwa T-shirty, zakładam wygodne buty, nic nie siedzi mi w głowie. Lecę na miesiąc, nie rezerwuję żadnych hoteli, z dnia na dzień wmyślam, co i jak. I zabieram ze sobą kogoś, kogo lubię, żadnych idiotów. (śmiech)

Klip do „Tajlandii” powstał na Mazurach. Czy to znaczy,



Mery Spolsky: Jedni są wystraszeni, czy aby nie jestem jakimś patriotycznym kibolem, a inni – zdziwieni

że aby zaliczyć udane wakacje, nie trzeba lecieć na drugi koniec świata?

Już dwa lata temu, promując piosenkę „Santorini”, mówiłam, że choć wybierzemy się na wymarzony wypad, to nie znaczy, iż będą to najlepsze wakacje w naszym życiu. Równie dobrze można spędzić całe lato w mieście, na wsi, w górach, nad morzem lub na Mazurach – i też będzie pięknie i magicznie. Oczywiście jest w nas coś, że wydaje się nam, iż te egzotyczne kraje to definicja najwspanialszych wakacji. Tymczasem my pojechalismy nad polskie jezioro i kręcąc ten klip, mieliśmy tak dobry dzień, że szkoda nam było wracać i chętnie byśmy tam dłużej zostały.

Zaprezentowałaś w tym teledysku swoją nową sylwetkę. Co pomogło ci schudnąć 10 kilo: sport czy dieta?

Generalnie bardzo lubię się rozbić i eksperymentować z modą odsłaniającą ciało. Dwa lata temu zmieniłam jednak swoje podejście do ruchu i wysiłku fizycznego. Zaczęłam regularnie uprawiać sport i zauważyłam, że dobrze wpływa to na moją kondycję na koncertach. Jestem już po trzydziestce i pomyślałam: „Kiedy, jak nie teraz spróbować poprawić swoją formę?”. Tak też się stało – i moim sposobem na to okazała się siłownia połączona z pilatesem na reformerach. Akurat mam możliwość takich ćwiczeń blisko domu, więc rozkochałam się w nich.

Moi znajomi śmieją się, że pilates stał się teraz modny, dlatego wszyscy na niego chodzą. Mnie się jednak naprawdę spodobał – i kiedy połączyłam go z dietą, w efekcie schudłam 10 kilo. Nie mam tu na myśli oczywiście głodzenia się, tylko programowanie głowy, które sprawia, że po koncercie nie sięgam po chipsy czy inne puste kalorie, ale po jogurt, który ma dużo białka. To małe zmiany, które dużo dają.

Ponoć to twój chłopak Mateusz Golis zmobilizował cię do regularnego uprawiania sportu. Jak to się stało?

Mateusz ma mental sportowca. Kiedy się poznaliśmy, dużo opowiadał mi, jak za młodu trenował szermierkę, startował w zawodach i jeździł na obozy sportowe. Zafascynowało mnie to, że ktoś może podchodzić do tego tematu z taką dyscypliną. Mateusz teraz jest filmowcem, razem robimy klipy, również ten do „Tajlandii”, stworzyliśmy więc na siebie wspólny pomysł wizualny. Znaleźliśmy też dodatkowo sposób na to, jak się razem wyluzować – pójść na rower czy pobiegać, a nie na melanż, jak kiedyś oboje mieliśmy w nawyku. (śmiech) To nie znaczy, że jesteśmy jakimś nudziarzami. Po prostu staramy się, aby lepiej się nam żyło.

Na płycie „Erotik Era” nawoływałaś, żeby akceptować swoje ciało takie, jakie się ma.

A jednak postarałaś się schudnąć. Nie ma w tym sprzeczności?

Nadal twierdzę, że trzeba akceptować swoje ciało takim, jakie ono jest. Teraz, kiedy patrzę na siebie, oczywiście nadal mam mnóstwo różnych „ale”. To, że schudłam, wcale nie znaczy, że nie ma już we mnie rzeczy, które mi nie pasują. Dlatego motto „Erotik Ery” nadal zostaje ze mną. Zresztą chyba każdy ma coś takiego, na co się uprze, że mu w sobie nie pasuje. Inni w ogóle tego nie zauważają, a jemu to nieustannie psuje humor. Zmieniłam sylwetkę – ale nie wypieram się tego, co mówiłam o akceptacji swego ciała. Zmieniło się tylko w moim życiu to, że polubiłam sport, bo zaobserwowałam pozytywne efekty jego uprawiania. I wszystkich do tego namawiam, bo wtedy głowa jest trochę lżejsza. Czas „Erotik Ery” to był dla mnie trudny czas samotności. Dlatego ważne było, abym mogła sobie wtedy powiedzieć: „Zaakceptuj siebie taką, jaka jesteś”.

Teraz pewnie wszystkie twoje kostiumy sceniczne z tamtego okresu są na ciebie za obszerne. Co z nimi zrobisz?

W większości były to gorsety, więc bez problemu można je mocniej związać. (śmiech) Generalnie lubię magazynować wszystkie kostiumy z teledysków i tras koncertowych. I dobrze – bo co jakiś czas ktoś się zgłasza, kto chce zrobić reportaż o moich strojach. Wtedy robię wystawkę na magazynach. Ostatnio tak się stało na potrzeby telewizyjnego programu i było to dla mnie wzruszające, kiedy mogłam przejść od manekina do manekina i powiedzieć: „Patrzcie, to Mery Spolsky z czasów „Dekalogu”, a to Mery z czasów „Erotik Ery”.

Swoją premierę miał niedawno twój nowy projekt z piosenkami nowofalowych zespołów Kontrola W. i Kosmetyki Mrs Pinki z połowy lat 80. Jak narodził się ten pomysł?

To coś zupełnie innego i niszowego. Ten projekt sam do mnie zapukał i przypomniał mi, gdzie są moje korzenie. Bo zaczynałam w rockowych zespołach, kochałam zawsze alternatywę, dopiero z cza-

sem zaczęłam eksperymentować z elektroniką i popem. Rok temu do mojej menedżerki zgłosił się Dom Kultury ze Zduńskiej Woli z zapytaniem, czy nie podjęlibyśmy się próby opracowania na nowo piosenek zespołu Kontrola W., który działał w tym mieście ponad cztery dekady temu. To była fajna grupa – i oni chcieliby o niej przypomnieć. Posłuchałam tych nagrań i od razu coś kliknęło. Zaczęliśmy więc z chłopakami je przemieniać przez nasze głowy aż wyszedł z tego cały program. Tak nam dobrze się to gra, że planuję na jesieni skoncentrować się na tym projekcie i trochę odejść od popu.

Te piosenki powstały ponad 40 lat temu w realiach PRL-u. Co znajdziesz w nich współczesny słuchacz?

To dla mnie niesamowite, ale teksty tych utworów są bardzo aktualne. Weźmy pierwszy numer, który wydaliśmy – „Manekiny”. Dla mnie to piosenka o współczesnym świecie. Po pierwsze opowiada o wszechobecnym skupianiu się na wyglądzie, dążeniu do nieosiągalnego ideału piękna, o instagramowych trendach. Kiedy śpiewam „Manekiny, manekiny/ Z uśmiechami cynicznymi/ Szklanookie, doskonałe”, to jest totalnie o tym, że teraz wszyscy udajemy, chcemy być perfekcyjni w social mediach, a tak naprawdę, kiedy spoglądamy w domu w lustro, to bywa różnie. Po drugie od razu z tego tekstu wali do mnie konsumpcjonizm: „Za szybami sklepowymi/ Wciąż posłuszne i poprawne”. To o tym, że dzisiejsze czasy są bardzo plastikowe, zalane oglądaniem, kupowaniem, zamawianiem. Niby więc te 40 lat temu było trochę inaczej, ale ta frustracja, która bije z tego tekstu, jest nadal aktualna.

Nie używasz do grania tych piosenek komputerów. Jak ci się wykonuje w pełni „żywą” muzykę?

Kiedy zaczynałam swą karierę, byłam sama na scenie z gitarą i komputerem. Teraz gram piosenki Kontrola W. z trzema muzykami na żywo, tak, jak przystało na rockową kapelę. Akurat tutaj nie pasuje nam, by wspomagać się komputerem czy samplami. Jak przystało na punkową muzykę, olewamy metronom, gramy na czuja – i jest to

bardzo wyzwalające. Chłopaki też to lubią, bo mam wrażenie, że po dwóch koncertach, które daliśmy z tym materiałem, mieli bardzo ucieszone miny. Chyba dobrze się czują w tym repertuarze.

Domuzyki z lat 80. odwoływały się już twoje piosenki z płyty „Kocham Polskę”. To zasługa jej producenta – Michała „Foxy” Króla?

Chyba nam się tak wspólnie połączyły energie. Słuchaliśmy bowiem z Michałem dużo Siekiery i płyty „Nowa Aleksandria”. Na tej podstawie powstała piosenka „Szarak”. I może właśnie za sprawą tego utworu odezwano się do nas ze Zduńskiej Woli? Bo te „Szarak” są w stylu Kontroli W. Zresztą zagraliśmy ten utwór na koniec koncertu w Zduńskiej Woli, wyjaśniając, że nasza fascynacja tym zespołem nie wzięła się znikąd. Bo to pod względem brzmieniowym piosenka jakby z tamtego repertuaru. „Fox” podrzucił mi więc nowy klimat.

Cos sprawiło, że postanowiłaś poruszyć „Kocham Polskę” temat patriotyzmu?

Z moich obserwacji wynika, że młodzi ludzie postrzegają patriotyzm bardzo negatywnie. Większość moich znajomych, kiedy

o kimś mówi się „patriota”, odbiera to bardzo skrajnie, jakby mówiło się o kimś, kto ma tendencje do agresywnego wyrażania swych opinii, o jakimś narodowcu czy kibolu. „Co by było, gdyby spróbować podejść do tego od innej strony?” – pomyślałam więc. Nie tak politycznie i poważnie, tylko zwyczajnie, po ludzku. Bo przecież mieszkam w Polsce, tu się wychowałam i lubię nasze tradycje. Tym bardziej że mój pseudonim jest o tym, że działam i piszę właśnie tutaj. No i wywołałam kontrowersję. Nawet kiedy ludzie widzą orzełka na mojej płycie lub na moim ramieniu, bo sobie go wytatuowałam na pamiątkę, to widzę u nich skrajne emocje. Jedni są wystraszeni, czy aby nie jestem jakimś patriotycznym kibolem, a inni – zdziwieni i urażeni.

Kluczowe utwory na płycie to „Kocham Polskę” i „Wkurza mnie”. Za co kochasz Polskę, a co cię w niej wkurza?

Szczerze kocham Polskę za tradycje, za kuchnię, za nasz mental narodowy, który mnie stworzył. Bo z jednej strony czuję, że mam w sobie dużo skromności i poprawności, wręcz kościelnej, choć jestem niewierząca, nigdy nie chcę nikogo urazić i momentami wręcz przepraszam za to, że żyję. A z drugiej – chcę

być hej do przodu i idę śmiało po swoje marzenia. Kocham te skrajności: jesteśmy takim przepraszającym narodem, ale kiedy ktoś będzie coś złego mówił na Lewandowskiego, to potrafimy się zjednoczyć i stanąć za nim murem. To samo każdy, choć nawet jest niewierzący, będzie dumny z Jana Pawła II.

A co cię wkurza?

Podziały. Brak zaufania i szacunku dla osób, które są z innej planety. Kiedy wypowiem się na jakiś polityczny czy religijny temat, to od razu jestem ostro oceniana i wrzucana do jakiegoś wora, a to zniechęca niektórych ludzi, by poznać moją muzykę. Wkurza mnie to, że tak często lubimy się zacietrzewiać. Jesteśmy bardzo podzieleni, a są chwile, kiedy okazuje się, że choć mamy odmienne poglądy, to jesteśmy sobie równi, tylko trzeba się dogadać. Nienawidzę też naszej pogody – mamy lipiec, a ciagle pada.

Jest tu też utwór „Nie ma już PL” – wspominasz świat trzepaków i kiosków Ruchu. Zaczynasz odczuwać nostalgię za czasami swej młodości?

Uwielbiam takie strony w internecie, które przypominają dawne gazety, gry czy urzędnictwo, takie, jak discmany. Wtedy robi mi się nostalgicznie, bo uświadamiam sobie, że to świat, którego już nie ma. A przecież to wtedy wszystko było pierwsze i najfajniejsze w życiu człowieka. Jestem więc już w takim wieku, kiedy zerkam na takie rzeczy z łezką w oku i tęsknię za nimi.

gicznie, bo uświadamiam sobie, że to świat, którego już nie ma. A przecież to wtedy wszystko było pierwsze i najfajniejsze w życiu człowieka. Jestem więc już w takim wieku, kiedy zerkam na takie rzeczy z łezką w oku i tęsknię za nimi.

Śpiewasz o relacjach damsko-męskich. W takich piosenkach, jak „PRL”, „Pałac” czy „Wojna” metaforyka, którą stosujesz przypomina tę, którą stosował niegdyś Grzegorz Ciechowski. Inspirowałaś się jego tekstami?

Bardzo. Jestem jego fanką od wielu lat. Już przy mojej pierwszej płycie stosowałam czarnobiałe paski, tłumacząc, że to takie mrugnięcie okiem do Republiki. Jestem zakręcona na punkcie Ciechowskiego do tego stopnia, że miałam okazję zagrać w wielu projektach coverujących jego piosenki, nawet z samym Leszkiem Bioliakiem, który był w ostatnim składzie Republiki. Dla takiej fanki jak ja, to było prawdziwe „wow”. Najbardziej fascynuje mnie, że Ciechowski potrafił tak zgrabnie połączyć erotykę z polityką. Dzięki temu piosenka nie była ciężka, ale chciało się w nią wejść głębiej, bo była o czymś. Tak starałam się napisać „Wojnę” na „Kocham Polskę”.

W „Wojnie” miłość to pole bitwy – a ty jesteś przecież w stabilnym związku...

Myszę, że miłość to wojna, nawet kiedy się jest w szczęśliwym związku. Towarzyszą temu takie emocje, jakby się toczyło bitwę o życie. I to jest piękne. Wtedy jest miłość, kiedy właśnie odczuwa się takie emocje.

Kolejne woje wcielenie?

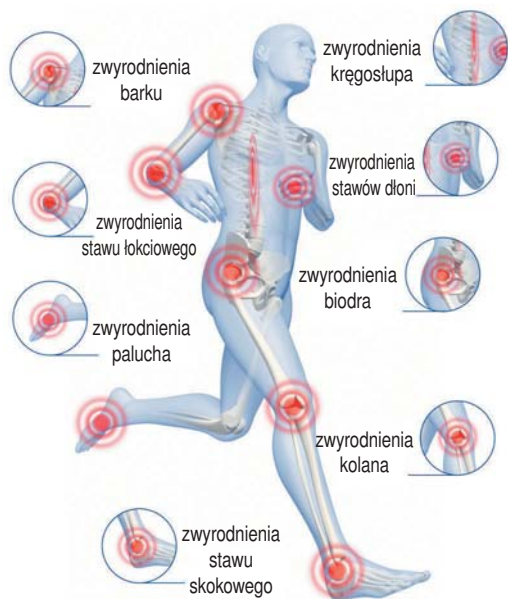
To będzie nowa książka. Właściwie kończę ją już pisać. Kiedy zostanie wydana, siądę z oczyszczoną głową nad kolejną płytą. Mam jednak już dosyć concept-albumów poświęconych konkretnej tematyce. Myszę więc, że ta przerwa, którą planuję, sprawi, że powstanie coś z zupełnie innej beczki.

Będiesz prezentować tę książkę podczas występów w klubach, jak w przypadku twojej pierwszej powieści?

Myszę, że nie. Chciałabym, aby była to lekka książka o innej tematyce. Nie będę do niej robić live s, bo obawiam się, że nie dałabym rady połączyć ich z występami tego punkowego projektu. Chociaż, kiedy ukazała się moja pierwsza książka, też nie było początkowo oczywiste, że rozrośnie się to do wyjazdowych występów. Jak więc mawiają: nigdy nie mów nigdy.

REKLAMA

0011562495



Jesteśmy w Centrum Terapii Kręgosłupa (SPONDLO-CLINIC group) prowadzonego przez dra Jarosława Jawnego - (uznany ekspert w dziedzinie spondyliatrii i znany terapeuta manualny) - który pracuje ponad 30 lat z tkanką łączną, a jego zespół to uznani specjaliści w swoich dziedzinach. **Centrum słynie z nowoczesnych i skutecznych metod leczenia kręgosłupa, stawów i mięśni.**

Z jakimi schorzeniami najczęściej trafiają do nas pacjenci?

Z bólami i uszkodzeniami kręgosłupa, kolana, biodra czy też barku (cały aparat ruchu) - uszkodzenie po urazie, przeciążenie, wiek i zwyrodnienie. Tam, gdzie inni lekarze nie potrafili pomóc lub chcieli tylko operować. A dysfunkcje i bóle należy leczyć zawsze i za wszelką cenę. Im wcześniej podejmiemy leczenie, tym szybciej i taniej dojdziemy do zdrowia.

Co to jest proloterapia?

Proloterapia to najnowocześniejsza na świecie metoda leczenia i regeneracji kręgosłupa, więzadeł, stawów i mięśni. Podajemy preparat w miejsce uszkodzenia i w punkty sterujące. Likwidujemy ból poprzez **naprawę uszkodzonej tkanki**. Dużą skuteczność osiąga się podając gotowy **kolagen MD**. **PRP to osocze bogato-płytkowe a i-PRF to fibryna**, które uzyskuje się po odwirowaniu z krwi własnej pacjenta. **PRP** to skoncentrowana objętość **platek krwi i czynników wzrostu stymulujące**

FENOMEN OSOCZA i FIBRYNY

Jedynie przyczynowe leczenie bólu - REGENERACJA KRĘGOSŁUPA, STAWÓW, MIĘŚNI I TKANEK

przebudowę naprawczą. **I-PRF** to najwyższe osiągnięcie medycyny regeneracyjnej, jest świetnie **usieciowana (struktura 3D)** i zawiera **dotatkowo znaczną ilość komórek macierzystych** (nazywana jest **osoczem III generacji**). Z **HBOT** (**komora tlenowa hiperbariczna**) działa rewelacyjnie. **Odrasta zwykła, zdrowa tkanka.**

Metody u nas stosowane są uznawane za najlepsze na całym świecie

Dodatkowo, aby przyspieszyć proces regeneracji, stosujemy proloterapię, terapię manualną, igłoterapię, masaż, trening indywidualny kręgosłupa, kinezyterapię, dietę, ale też fizykoterapię - najnowszą technologię XXI wieku. Dzięki temu uzyskujemy **najwyższą skuteczność**.

Czemu kolagen jest aż tak ważny?

Kolagen, a szczególnie fibrynogen jest odpowiedzialny za to, że nasze tkanki są elastyczne i mocne. Jego brak sprzyja uszkodzeniom wielu struktur (kolana, biodra, ale też dyskopatie czy przepukliny).

Czy starszym ludziom można pomóc?

Tak, dostarczamy kolagen w ten sposób, żeby w uszkodzonym miejscu następowała regeneracja. Do **pobudzenia regeneracji** należy podać **czynniki wzrostu (PRP)**, **komórki macierzyste**, **tlen** i zapewnić nowoczesną rehabilitację. **Zaczynają być sprawni i bez bólu.**

A co z ludźmi po wypadkach lub urazach sportowych?

Ważne jest prawidłowe i szybkie rozpoczęcie leczenia. Zastosowanie **proloterapii z kolagenem, PRP lub i-PRF i właściwej rehabilitacji oraz fizykoterapii na najnowocześniejszym sprzęcie** znacznie skraca czas leczenia i całkowitego wyzdrowienia. Tutaj **HBOT** (hiperbaria tlenowa) czyni wręcz cuda. Mówimy o prawdziwej rewolucji w regeneracji. **Uważa się, że leczenie PRP, i-PRF i kolagenem jest lepsze od innych metod.** Około **90% ludzi po leczeniu u nas** funkcjonuje bez bólu. Nawet u pacjentów ze skierowaniem na operację mamy podobne wyniki.

Czy warto polecić leczenie tlenem pod ciśnieniem (HBOT)?

Tak. Leczenie **tlenem pod wyższym ciśnieniem** to nie moda, ale **nowoczesna i bardzo skuteczna** metoda wspomagania terapii w bardzo wielu schorzeniach. Także **znacznie skraca czas leczenia i regeneracji**. Po kilku zabiegach w komorze tlenowej poziom **komórek macierzystych** zwiększa się nawet **7-8 krotnie**. To także skuteczna profilaktyka (idealna w czasach COVID-19) oraz **najdoskonalszy doping sportowy i intelektualny**.

Do naszej oferty wprowadziliśmy również **INHALACJE WODOROWE**, do których stosujemy jedno z najbardziej wydajnych i technologicznie zaawansowanych urządzeń na rynku. Inhalacje te stanowią uzupełnienie prowadzonej terapii - zwiększają odporność organizmu, działają antyoksydacyjnie oraz wspomagają przy leczeniu wielu chorób (cukrzyca, nadciśnienie, astma, reumatyzm, alergie) oraz stanów zapalnych mięśni i uszkodzeń tkanek miękkich.

WARTO WIEDZIEĆ: Schorzenia, w leczeniu których się specjalizujemy to:

bóle kręgosłupa, dyskopatie (przepukliny), rwa kulszowa, bóle i zawroty głowy, migreny, bóle kończyn, barku, bóle kolan i bioder, łokieć tenisisty, wady postawy i skoliozy, bóle menstruacyjne, nerwobóle oraz wszelkie urazy sportowe i po wypadkach komunikacyjnych. Nasze metody (przy współpracy ze specjalistą stomatologią) są bardzo skuteczne przy **regeneracji stawu skroniowo-żuchwowego oraz przy leczeniu BRUKSIZMU** (o ile wiadomo, jesteśmy pierwsi).

Dr Jarosław Jawny prowadzi szkolenia z praktycznego stosowania osocza i fibryny dla lekarzy z całej Polski, propagując nowe metody.

ZAPRASZAMY DO CENTRUM TERAPII KRĘGOSŁUPA, Wrocław, ul. Wyszyńskiego 116/2, tel. 71 726 11 71, 503 183 095, www.ckregoslupa.pl

ROZMOWA

Starzenia nie da się zatrzymać... ale można z nim negocjować

Rozmowa z dr n. med. Małgorzatą Sokół – prodziekanem ds. kierunku kosmetologia w Kolegium Medycznym Wyższej Szkoły Informatyki i Zarządzania w Rzeszowie

Marlena Bogdan-Marut

Zacznijmy od dość brutalnie szczerego pytania. Czy istnieje zabieg – chirurgiczny albo niechirurgiczny – który jest w stanie zatrzymać starzenie?

Nie istnieje metoda, która zatrzyma biologiczny proces starzenia. Jest on naturalnym elementem funkcjonowania naszego organizmu. Z wiekiem komórki coraz wolniej się regenerują, a zdolność organizmu do odbudowy tkanek stopniowo maleje. Wynika to między innymi z faktu, że większość komórek somatycznych ma ograniczoną liczbę podziałów, określaną jako limit Hayflicka. Po jej wyczerpaniu komórki przechodzą w stan starzenia komórkowego, czyli senescencji. Przestają się dzielić, ale nadal pozostają aktywne metabolicznie i wpływają na otaczające tkanki. Starzeniu sprzyjają również kumulujące się uszkodzenia DNA, skracanie telomerów oraz szereg innych mechanizmów opisanych przez współczesną biologię. Wszystko to sprawia, że nie jesteśmy w stanie zatrzymać starzenia, możemy natomiast wpływać na jego tempo i ograniczać jego skutki.

Co ciekawe, pierwsze oznaki starzenia pojawiają się znacznie wcześniej, niż większość z nas przypuszcza. Już około 25. roku życia stopniowo spada produkcja kolagenu, elastyny i kwasu hialuronowego. Początkowo nie dostrzegamy tych zmian, jednak z czasem skóra traci jędrność i elastyczność, a jej zdolność do regeneracji wyraźnie się zmniejsza.

Skoro starzenia nie da się zatrzymać, to czy możemy sprawić, żeby przebiegało wolniej?

Tak. Są trzy filary, które mają największe znaczenie. Pierwszy to fotoprotekcja, która jest najsukcesowniejszym działaniem przeciwstarzeniowym, jakie znamy. Promieniowanie UV odpowiada za istotną część zmian widocznych na skórze, dlatego krem z filtrem SPF powinien być podstawą pielęgnacji przez cały rok. Jednak sam fakt aplikacji nie wystarczy, kluczowa jest odpowiednia porcja, odpowiadająca w przypadku twa-



FOT. BARBARA GALAS

Dr n. med. Małgorzata Sokół jest specjalistką w dziedzinie medycyny estetycznej i kosmetologii regeneracyjnej

rzy dwóm liniom kremu wyciśniętym na palec wskazujący i środkowy.

Drugi filar to styl życia. Sen, aktywność fizyczna i dobrze zbilansowana dieta mają ogromny wpływ na tempo starzenia organizmu. Szczególnie ważny jest sen – to właśnie wtedy zachodzą procesy regeneracji i naprawy uszkodzeń komórkowych – 7 godzin dziennie to absolutne minimum dla dorosłego człowieka.

Trzeci filar to indywidualnie dobrana pielęgnacja, zabiegi kosmetyczne i/lub z zakresu medycyny estetycznej. I słowo „indywidualnie” jest tutaj kluczowe. Nie istnieje jeden zabieg, który będzie odpowiedni dla wszystkich. Najlepsze efekty osiągamy wtedy, gdy medycyna estetyczna nie zmienia naszej twarzy, lecz dyskretnie wspiera to, co daje natura. Jej celem nie powinno być stworzenie nowej osoby, ale zachowanie zdrowego, świeżego wyglądu na każdym etapie życia.

Powiedziała pani, że zabiegi zawsze powinny być dobrane indywidualnie. Dla czego?

Bo każdy z nas starzeje się inaczej. U jednych osób pojawiają się

przede wszystkim drobne zmarszczki, u innych twarz traci owal, a jeszcze u innych najbardziej widoczne stają się oznaki zmęczenia. Dlatego zabieg, który u jednej osoby przyniesie świetny efekt, u innej może okazać się zupełnie nietrafiony. Wyobraźmy sobie dwie kobiety. Jedna schudła kilkanaście kilogramów i straciła objętość twarzy. W jej przypadku zabieg wolumetryczny może przywrócić naturalne proporcje. Druga ma grubszą skórę i wyraźnie opadający owal twarzy. Gdy zastosujemy dokładnie ten sam zabieg, twarz może stać się cięższa i mniej harmonijna. Dlatego tak ważna jest konsultacja ze specjalistą. Najpierw trzeba ocenić kondycję skóry i sposób, w jaki się starzeje, a dopiero później dobrać odpowiednią terapię.

Mam wrażenie, że w ostatnich latach bardzo zmieniły się również trendy w medycynie estetycznej.

Zdecydowanie. Jeszcze kilka lat temu dominowała moda na mocne wypełnianie twarzy. Efekt miał być widoczny od razu – wydatne kości policzkowe, wyraź-

nie zarysowane usta i żuchwa, skóra napięta byleby mocniej. Dziś odchodzi się od takiego podejścia. Wiemy znacznie więcej o tym, jak zachowują się wypełniacze po latach, dlatego coraz większy nacisk kładzie się na naturalność i co za tym idzie istotne ograniczenie dawki. Wiele osób decyduje się nawet na rozpuszczenie preparatów podanych kilka lat wcześniej. Współczesna medycyna estetyczna nie dąży do stworzenia nowej twarzy. Jej zadaniem jest subtelne odświeżenie wyglądu przy zachowaniu naturalnych rysów i indywidualnych proporcji.

Czy są zabiegi, które rzeczywiście potrafią wizualnie odjąć kilka lat?

Tak, pod warunkiem że są wykonywane rozsądnie i we właściwym momencie. Dobrym przykładem jest toksyna botulinowa, która bardzo dobrze redukuje zmarszczki mimiczne – na czole, między brwiami czy wokół oczu. Najlepsze efekty daje jednak wtedy, gdy jest elementem profilaktyki, a nie próbą odwrócenia wielu lat zaniedbań. Medycyna estetyczna może znacząco poprawić wygląd, ale nie cofnie biologicznego czasu.

Kiedy rozmawiamy o starzeniu, trudno uciec od emocji. Mam 48 lat i coraz częściej myślę o tym, że zbliżam się do pięćdziesiątki. To chyba pierwszy moment w życiu, kiedy naprawdę zaczynam odczuwać upływ czasu. Najbardziej obawiam się chwili, w której przestanę rozpoznawać siebie w lustrze. W środku wciąż czuję się tą samą osobą, ale twarz zaczyna opowiadać już inną historię.

Bardzo często słyszę takie refleksje od kobiet. Myślę, że większość z nas nie odczuwa wieku tak bardzo wewnątrz, jak widzi go w swoim odbiciu. To właśnie zmiany w wyglądzie przypominają nam o upływie czasu i nie zawsze łatwo je zaakceptować. Jednocześnie zauważam, że dojrzałe kobiety coraz częściej przestają definiować siebie wyłącznie przez pryzmat wyglądu. Są bardziej świad-

ome, odważniejsze i lepiej wiedzą, czego chcą. Zakładają firmy, realizują marzenia, podróżują i podejmują decyzje, na które wcześniej nie miały odwagi. Paradoksalnie właśnie ta pewność siebie sprawia, że wiele z nich odbieranych jest jako bardziej atrakcyjne niż wtedy, gdy miały dwadzieścia kilka lat.

Media społecznościowe nie ułatwiają zaakceptowania zmian.

To prawda. Każdego dnia oglądamy setki idealnych zdjęć – wyretuszowanych lub wygenerowanych przez sztuczną inteligencję. Łatwo uwierzyć, że tak powinno wyglądać starzenie, choć w rzeczywistości jest to obraz całkowicie oderwany od życia. Na szczęście obserwuję też pozytywną zmianę. Coraz więcej osób nie oczekuje spektakularnej metamorfozy. Chcą wyglądać świeżo, zdrowo i naturalnie. To kierunek, który bardzo popieram.

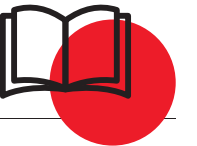
W przestrzeni publicznej często pojawia się określenie „starzeć się z godnością”. Co pani o nim myśli?

Mam z nim pewien problem, bo sugeruje, że korzystanie z metod wspierających wygląd lub jakość skóry mogłoby pozostawać w sprzeczności z godnością, a trudno znaleźć dla takiego założenia racjonalne uzasadnienie. Dbanie o siebie, niezależnie od tego, czy ogranicza się do zdrowego stylu życia i pielęgnacji, czy obejmuje również zabiegi z zakresu medycyny estetycznej, jest indywidualnym wyborem i nie powinno podlegać moralnej ocenie. Każdy ma prawo decydować o swoim wyglądzie i o tym, co sprawia, że czuje się dobrze we własnej skórze.

Czyli najważniejsze to nie próbować zatrzymać czasu za wszelką cenę, ale dobrze przeżyć każdy jego etap.

Dokładnie. Dbajmy o siebie, jeśli tego potrzebujemy, nie oceniajmy wyborów innych i pamiętajmy, że atrakcyjność nie kończy się wraz z kolejnymi urodzinami. Często właśnie z wiekiem stajemy się najbardziej autentyczną wersją siebie. ©©

NIEZBĘDNIK CZYTELNICZY



Poleca
Mariusz Grabowski

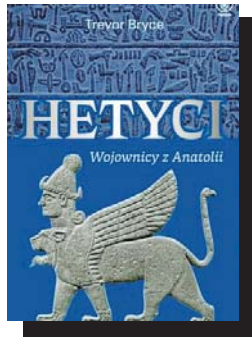
Bliskie spotkanie z Hetytami

Trevor Bryce, filolog klasyczny z australijskiego Queensland, nie bez powodu nosi tytuł „głównego hetytologa”. Jego wywód o Hetytach to opowieść o jednej z najbardziej tajemniczych starożytnych cywilizacji sprzed ponad trzech tysięcy lat. Wciągająca, lecz jednocześnie niosąca gorzką prawdę o zmienności świata.

Bryce analizuje historię, kulturę społeczną, religijną i polityczną tego państwa ze stolicą w Hattusa (dzisiejsze Boğazkale w Turcji), ukazując Hetytów jako niepokonanych wojowników, mistrzów walki na rydwanach, którzy niemal zmiotli Ramzesa II w bitwie pod Kadesz w 1274 r. p.n.e., gorliwych wyznawców licznych panteonów bogów (kto nie był wierzący, siedł pod mieczem), a nawet twórców nowego systemu dyplomatycznego.

W okresie swojej największej świetności Hetyci kontrolowali Anatolię, północną Mezopotamię, Syrię i Palestynę. Państwo Hetytów upadło około 1200 p.n.e., zapewne pod naporem Ludów Morza, chociaż nieliczne hetyckie miasta-państwa w północnej Syrii przetrwały – jeśli wierzyć tezie Bryce’a – jeszcze do roku 708 przed Chrystusem.

Trevor Bryce, „Hetyci. Wojownicy z Anatolii”, wyd. Rebis, Poznań 2026, cena 89 zł



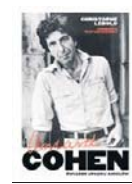
Warszawa pod panowaniem carów
Panorama Warszawy I połowy XIX w. To właśnie wtedy ukształtowało się tu zjawisko, które autorka nazywa „świadomością romantyczną” ówczesnego Królestwa Polskiego.
Alina Kowalczyk, „Warszawa romantyczna”, wyd. PIW, Warszawa 2026, cena 69 zł



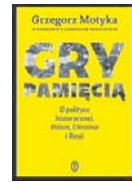
O legendarnym uporze prof. Estreichera
Portret profesora Karola Estreichera, dzięki któremu do kraju powróciły po wojnie ołtarz Wita Stwosza z Kościoła Mariackiego czy słynne arras wawelskie.
Tomasz Siewierski, Artur Wójcik, „Karol Estreicher”, wyd. PIW, Warszawa 2026, cena 75 zł



Lelum, Polelum i inne osobistości
Prof. Jerzy Strzelczyk kreśli obraz wyobrażeń naszych przodków, którzy w otaczającej ich rzeczywistości widzieli panteon bóstw, demonów i istot nadprzyrodzonych.
Jerzy Strzelczyk, „Mity, podania i wierzenia dawnych Słowian”, wyd. Rebis, Poznań 2026, cena 69,99 zł



„To ja jestem facetem, który napisał »Suzanne«”
Christophe Lebold, francuski badacz i wykładowca, podjął się tytanicznego zadania roszyfrowania postaci Leonarda Cohena. 570 stron i sporo niespodzianek.
Christophe Lebold, „Leonard Cohen. Świadek upadku aniołów”, wyd. Znak, Kraków 2026, cena 99,99 zł



Czym jest i czym powinna być „polityka pamięci”
Czy wobec rzezi wołyńskiej, UPA czy akcji „Wisła” – pyta Grzegorz Motyka – budowanie trwałego dialogu polsko-ukraińskiego ma sens?
Grzegorz Motyka, „Gry pamięcią. O polityce historycznej, Polsce, Ukrainie i Rosji”, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2026, cena 59,99 zł



Śladami Aleksandra Bardiniego
„Bardini” Grzegorza Kozaka to pierwsza tak wnikliwa podróż przez meandry losu Aleksandra Bardiniego – mistrza sceny, pedagoga i telewizyjnego erudyty.
Grzegorz Kozak, „Bardini”, wyd. Czytelnik, Warszawa 2026, cena 84 zł

REKLAMA

0011563965

znam.
TO UCZUCIE

Dlaczego mężczyźni operacyjnie leczą kompleksy?

AMBROZIAK
ekspert dermatologii

EICHELBERGER
ekspert psychologii

Już dziś o 20:00

Wojciech Eichelberger w rozmowie z Marcinem Ambroziakiem

ZESKANUJ KOD

WEJDŹ NA www.youtube.com/@ZNAM-PPG

JAJA GRUBEGO

Hasło utworzą litery z pól ponumerowanych u dołu od 1 do 6.

POZIOMO: 1) roślina oleista przydatna Ali Babie, 5) włochate trofeum, 7) braterski posiłek, 8) kaczy (m.in.) tył, 9) potępił sprzedaż odpuśców, 11) powiatowy lub ostateczny, 12) Ada pytana o chińską patelnię, 14) sen na n, w polarniku, 16) tańczące u German, 18) forma sprzedaży z kaucji, 21) moczy w aresztach, 22) mączka z palmy, 24) wierzbowe zarośla, 27) upiór w morzach, 29) pojedziemy nań z towarzyszem, 30) kojarzona z cebrem, 31) polski raper jak pirat, 32) w niebie i w żelazku.

PIONOWO: 1) wiśnia do wypicia, 2) za co powinny być wdzięczne niektóre zwierzęta leśne zimą?, 3) żagle w 2/3 z planety, 4) zwierzątko

oczekujące datku od faceta, 5) glin w setce, 6) fi, kociokwik i oni w starym Iranie, 10) bolenie na t, 13) postrzeleniec (to wrzątek tych do złotych), 15) palone zmień na miasto, 17) barbarzyństwo, 19) wyspa obiecująca akceptację, 20) nieprzyjemny gaz, 22) nasz boss, 23) pustynia w bogach, 25) bąk jak paż, 26) kwiat do żucia, 28) wyrzucany z boku, 29) porównywany do sklepu.

● Rozwiązanie z 24.07.2026 r.

Hasło: GLADIOLUS

POZIOMO: sumak, okres, ostęp, lokal, osa, ekran, egida, stągiew, Camus, tragik, miara, woal, apele, Adonis, dług, atu, ogród, spin, attyka. **PIONOWO:** solipsyzm, makolągwa, kolegiata, starówka, oponenci, realizm, szuwaks, akwedukt, Ufa, Grenada, ind, Ronson, laguna, astry, Atos.

1		2		3		4		5				6
				7								
8								9		10		
				11								
						12	13					
14						15						
						16				17		
18	19		20									
						21						
22		23					24	25		26		
27				28		29						
				30								
31								32				

REKLAMA

0011562230



WÓJT GMINY RUDNA

59-305 Rudna, Plac Zwycięstwa 15, woj. dolnośląskie

ogłasza

przetarg ustny nieograniczony na zbycie

poz. 1. lokalu użytkowego usytuowanego na pierwszej kondygnacji budynku mieszkalno-usługowego w Rudnej przy ul. Ścinawskiej 2D na działce nr 394/5 o pow. 0,06 ha, dla której Sąd Rejonowy w Lubinie Wydział V Ksiąg Wieczystych prowadzi księgę wieczystą LE1U/00074416/2.

Lokal składa się z 3 pomieszczeń usługowych, 2 zapleczy, korytarza i WC o pow. 98,73 m².

CENA WYWOŁAWCZA NIERUCHOMOŚCI - 398 000,00 zł

WADIUM 40 000,00 zł

Przeznaczenie nieruchomości w miejscowym planie zagospodarowania przestrzennego – tereny zabudowy mieszkaniowej wielorodzinnej i usługowej.

Sposób zagospodarowania – zgodnie z przeznaczeniem w miejscowym planie zagospodarowania przestrzennego.

poz. 2. lokalu użytkowego nr 3 położonego w Chobieni przy ul. Rynek 9A, dla którego Sąd Rejonowy w Lubinie Wydział V Ksiąg Wieczystych prowadzi księgę wieczystą LE1U/00039900/5. Wraz z udziałem w częściach wspólnych budynku i gruntu w wysokości 1384/10000.

CENA WYWOŁAWCZA NIERUCHOMOŚCI - 184 000,00 zł

WADIUM 30 000,00 zł

Przeznaczenie nieruchomości w miejscowym planie zagospodarowania przestrzennego – tereny zabudowy mieszkaniowej wielorodzinnej i usług.

Sposób zagospodarowania – zgodnie z przeznaczeniem w miejscowym planie zagospodarowania przestrzennego.

poz. 3. nieruchomości gruntowej zabudowanej budynkiem kuźni, wiaty, gospodarczym oraz smarów i olejów położonej w Chobieni przy ul. Nadrzecznej – działka nr 250/4 o pow. 0,24 ha, dla której Sąd Rejonowy w Lubinie Wydział V Ksiąg Wieczystych prowadzi księgę wieczystą LE1U/00061018/8.

CENA WYWOŁAWCZA NIERUCHOMOŚCI - 340 000,00 zł

WADIUM 40 000,00 zł

Przeznaczenie nieruchomości w miejscowym planie zagospodarowania przestrzennego – tereny zabudowy mieszkaniowej wielorodzinnej oraz drogi dojazdowe.

Sposób zagospodarowania – zgodnie z przeznaczeniem w miejscowym planie zagospodarowania przestrzennego.

poz. 4. nieruchomości gruntowej niezabudowanej, położonej w miejscowości Chobienia oznaczonej w ewidencji gruntów jako działka nr 466/19 o powierzchni 0,1783 ha, dla której Sąd Rejonowy w Lubinie Wydział V Ksiąg Wieczystych prowadzi księgę wieczystą LE1U/00032629/2.

CENA WYWOŁAWCZA NIERUCHOMOŚCI (CENA NETTO) - 84 800,00 zł

WADIUM 20 000,00 zł

Przeznaczenie nieruchomości w miejscowym planie zagospodarowania przestrzennego – tereny zabudowy mieszkaniowej jednorodzinnej.

Sposób zagospodarowania – zgodnie z przeznaczeniem w miejscowym planie zagospodarowania przestrzennego.

poz. 5. nieruchomości gruntowej niezabudowanej, położonej w miejscowości Wysokie oznaczonej w ewidencji gruntów jako działka nr 80/100 o powierzchni 0,1317 ha, dla której Sąd Rejonowy w Lubinie Wydział V Ksiąg Wieczystych prowadzi księgę wieczystą LE1U/00021156/5.

CENA WYWOŁAWCZA NIERUCHOMOŚCI (CENA NETTO) - 72 200,00 zł

WADIUM 20 000,00 zł

poz. 6. nieruchomości gruntowej niezabudowanej, położonej w miejscowości Wysokie oznaczonej w ewidencji gruntów jako działka nr 80/126 o powierzchni 0,1309 ha, dla której Sąd Rejonowy w Lubinie Wydział V Ksiąg Wieczystych prowadzi księgę wieczystą LE1U/00021156/5.

CENA WYWOŁAWCZA NIERUCHOMOŚCI (CENA NETTO) - 71 800,00 zł

WADIUM 20 000,00 zł

Poz. 7. nieruchomości gruntowej niezabudowanej, położonej w miejscowości Wysokie oznaczonej w ewidencji gruntów jako działka nr 80/124 o powierzchni 0,1476 ha, dla której Sąd Rejonowy w Lubinie Wydział V Ksiąg Wieczystych prowadzi księgę wieczystą LE1U/00021156/5.

CENA WYWOŁAWCZA NIERUCHOMOŚCI (CENA NETTO) - 80 600,00 zł

WADIUM 20 000,00 zł

Przeznaczenie nieruchomości w planie zagospodarowania przestrzennego – tereny zabudowy mieszkaniowej.

Sposób zagospodarowania – zgodnie z przeznaczeniem w miejscowym planie zagospodarowania przestrzennego.

Termin zagospodarowania nieruchomości – z dniem przeniesienia prawa własności.

Nieruchomości będące przedmiotem licytacji wolne są od wszelkich długów i obciążeń oraz nie są dzierżawione.

Warunki przystąpienia do przetargu:

- Przetargi odbędą się w następujących terminach: poz. 1 o godz. 9.00, poz. 2 o godz. 9.15, poz. 3 o godz. 9.30, poz. 4 o godz. 9.45, poz. 5 o godz. 10.00, poz. 6 o godz. 10.15 i poz. 7 o godz. 10.30 w dniu 10 września 2026 r. w sali konferencyjnej Urzędu Gminy w Rudnej przy Placu Zwycięstwa 15.
- Wadium należy wpłacić w pieniądzu do dnia 7 września 2026 r. na konto Urzędu Gminy w Rudnej BS Rudna Nr 51 8669 0001 0151 6397 2000 0031 (wpłata oznacza wpływ środków na konto gminy). Przed otwarciem przetargu należy okazać komisji przetargowej dowód wpłaty wadium.

Pełna treść ogłoszenia o przetargu zamieszczona jest na stronie internetowej Urzędu Gminy Rudna www.biprudna.pl w zakładce informacje.

1	2	3	4	5	6
---	---	---	---	---	---

REKLAMA

0011564553



WÓJT GMINY RUDNA
59-305 Rudna, Plac Zwycięstwa 15,
woj. dolnośląskie

informuje
o wywieszeniu w siedzibie Urzędu Gminy
wykazów nieruchomości:

nr 147/2026 z dnia 3 sierpnia 2026 r.
w sprawie ogłoszenia wykazów nieruchomości
przeznaczonych do sprzedaży

Wykazy podlegają wywieszeniu do dnia 24 sierpnia 2026 r.

REKLAMA

0111562220

FIRMA SPRZEDA

**budynek przemysłowy
w Poznaniu przy ul. Malwowej 158.**



Powierzchnia użytkowa budynku – 3202,80 m²,
powierzchnia gruntu – 0,8701 ha.

Tel. kontaktowy 603 920 399

REKLAMA

0011459132

**ZŁOMOWANIE
POJAZDÓW**
tel. 600 609 606



Wszystkie formalności załatwiamy na miejscu
Płatność gotówką od ręki
Wydajemy zaświadczenie o demontażu
Odbieramy własnym transportem

Cenimy
Twój czas!

Stacja demontażu pojazdów | Czarkowo 16 | 64-125 Poniec

DROBNE

Nieruchomości

MIESZKANIA - SPRZEDAM

KOŁOBRZEG - luksusowe mieszkanie, 65 mkw., do morza 200 m + garaż. Sprzedam. Tel. 608-664-570.

MIESZKANIA - KUPIĘ

KUPIĘ garaż, mieszkanie, tel. 504-358-452.

KUPIĘ każde, got. w 24 h, 500-002-486

Kupię mieszkanie zadłużone, z trudnym lokatorem, komornikiem, udziały. Gotówka, 883-402-202

KUPIĘ udział w mieszkaniu 500185254.

MIESZKANIA - WYNAJMĘ

POKOJE w okolicy Euskirchen dla pracowników (zasieg Kolonia, Trier, Koblenca) dla firmy do wynajęcia. Tel. 0049 172 29 03 796.

POSZUKUJĘ do wynajęcia mieszkania, pokoju tel. 504-358-452.

DZIAŁKI, GRUNTY SPRZEDAM

SPRZEDAM działki budowlane o powierzchni 1500m² i 1700m², Osieki gm. Sianów, blisko morza oraz jeziora Jamno, działki pod budownictwo mieszkaniowe, jednorodzinne i rekreacyjne, nie komercyjne, 887-053-539.

AUTOREKLAMA

ibo TWOJE DOMOWE BIURO OGŁOSZEŃ

Ogłoszenia drobne

w Twojej gazecie zlecisz bez wychodzenia z domu przez Internetowe Biuro Ogłoszeń

ibo.polskapress.pl

Handlowe

MASZYNY URZĄDZENIA

KUPIMY maszyny do obróbki metalu i drewna. Tel.: 782-592-790.

Praca

ZATRUDNIĘ

DO myjni samochodowej, ręcznej, 601 21 77 43.

Firma zatrudni kierowcę z kat. C. Wynagrodzenie między 8000 zł a 9000 zł/netto za miesiąc. Obsługa toalet przenośnych na terenie Wrocławia i okolic. Tel. 609-678-890.

Szukamy cieśli, zbrojarzy do pracy w Niemczech. Praca od zaraz. Niemiecka umowa, darmowe zakwaterowanie. Znajomość j. niemieckiego będzie dużym atutem. Kontakt tel. 693 795 178. Zadzwoń już dziś.

Usługi

AGD RTV FOTO

Domowa naprawa telewizorów LED, LCD; 71/351-60-02, 502-175-735.

BUDOWLANO-REMONTOWE

A-Z remonty, itp. Tel. 663-933-639.

DACHY, naprawy, itp. 663-933-639.

ELEKTRYCZNE inst. Pomiary. 71/351-15-15, 603-867-128.

ELEKTRYCZNE Pogotowie 71/351-15-15, 603-867-128.

MALARSKIE, itp. Tel. 663-933-639.

MALARZ, gładzie bezpył. 730-325-737

OKNA, drzwi, naprawy itp. 663933639.

PODŁOGI, naprawy itp. 663933639.

ROLETKI, żaluzje, moskitiery, okna, rolety, drzwi. Montaż, produkcja, naprawa, tel. 71/341-83-03.

INSTALACyjNE

ANTENA absolutnie profesjonalnie, tel. 603-867-128, 71/351-15-15.

Awarie - Hydraulik - 505-087-474.

HYDRAULIK 24h, awarie 505-982-689.

Hydraulik natychmiast 500323373

PORZĄDKOWE

Pranie dywanów, wykładzin, tapicerki meblowej, 505087474.

ZWALCZANIE pluskwy, 660-811-020.

PRZEPROWADZKI

TANIO 508-287-106, 71/784-55-63.

STOLARSKIE

Tapicerstwo tanio 601-892-927.

TRANSPORTOWE

WYWÓZ starych mebli, 660-811-020.

ZABEZPIECZAJĄCE

AWARIE zamków, montaż, serwis drzwi antywłam. 501-104-158.

Turystyka

KRAJ - GÓRY

Beskidy, turnus 7dniowy od 1250zł. Ful opcja, cisza, spokój, natura, miodowyraj.pl 501642492.

PROMOCJA - pobyt - 95 zł ze śniadaniem. TYLICZ k/Krynicy G., pok. z łaz.+TV, bilard, parking, 730-007-166

KRAJ - MORZE

DANA - USTRONIE MORSKIE. Tanie wczasy. 601-585-510 www.danaustronie.pl

ŁEBA - tanie pokoje z łaz. 603-471-715.

MORZE Ustronie Morskie, pok. z łaz. VIII promocja! Tel. 503-936-581.

USTKA - ośrodek wypoczynkowy. Promocje! Wczasy 604-486-413 www.morski101.pl

Różne

DOBRAWRÓŻKA we Wrocławiu - tel. 724-558-986, www.wrozby.pop.pl

KASA za stare książki 609-643-399

Rolnicze

INNE

NAWOZY NPK, MG, S, N 6%, P 16%, K 28%, S 9%, MG 7% Cena 2.150 zł/tona, 500-669-621

Towarzyskie

WANDY, 505-353-547.

REKLAMA

0011550896



NIEZWYKŁA POLSKA!
Interaktywny Przewodnik Turystyczny
Lato 2026
Odkryj wyjątkowe zakątki w letniej odsłonie







CZYTAJ na:
stronapodrozy.pl/przewodnik

GŁÓWNY PARTNER
STRATEGICZNY



WOJEWÓDZTWO
ŚWIĘTOKRZYSKIE

CL OMB/BI/- ANI ANTARDES ACTVIZ VACADA LA COMMA

ROZWIĄZANIE: KONIECZNOŚĆ UWALNIA OD MĘKI WYBORU.

SKOKI NARCIARSKIE

Z urokliwej Wisły przenosimy się do francuskiego Courchevel

Paweł Wiśniewski

Courchevel to jeden z najbardziej ekskluzywnych i prestiżowych kurortów narciarskich na świecie, położony we francuskich Alpach, w Sabaudii. To właśnie tutaj odbędą się kolejne zawody Letniej Grand Prix w skokach narciarskich.

Courchevel i 132-metrowy obiekt „Tremplin du Praz” to drugi z czterech przystanków tegorocznej edycji Letniego Grand Prix w skokach narciarskich. Już w najbliższy weekend (8-9 sierpnia) na starcie zawodów zobaczymy aż sześć naszych reprezentantów.

Przypomnijmy, że tegoroczne zmagania rozpoczęły się w miniony weekend w Wiśle na obiekcie im. Adama Małysza. Dwukrotnie triumfował Japończyk Naoki Nakamura, a najlepszy wynik z Polaków uzyskał Kacper Tomasiak, zajmując w pierwszym konkursie 7. miejsce (drugiego dnia Kamil Waszek uplasował się na 6. miejscu, ale został zdyskwalifikowany z powodu nieprzepisowej szerokości nart).

Liderem klasyfikacji generalnej Letniej Grand Prix jest oczywiście Naoki Nakamura, który zgromadził już 200 punktów za wygranie dwóch konkursów Wiśle. Co ciekawe, najlepszym indywidualnym „zimowym” wynikiem Japończyka jest 3. miejsce w zawodach w Ruce w sezonie 2022/2023...

Drugie miejsce w „generalce” zajmuje Austriak Marco Wörgötter – 112 punktów, a trzeci jest Szwajcar Gregor Deschwanden – 110 pkt. Kacper Tomasiak zdobył 62 punkty plasuje się na ósmej pozycji.

Polski Związek Narciarski desygnował do rywalizacji w Courchevel



Pochodzący z gminy Goleszów, 19-letni Kamil Waszek, przebojem wdarł się do grona najbardziej obiecujących polskich skoczków

Klemensa Joniaka, Macieja Kota, Kamila Waszka, Jakuba Wolnego i Aleksandra Zniszczoła. A to oznacza to, że nasz zespół nie wykorzysta sześciuosobowej kwoty startowej, która przysługuje nam na ten okres lata.

W rywalizacji pań sprawdzi się Anna Twardosz, która w Wiśle zajmowała 11. i 19. miejsce.

We Francji zabraknie Macieja Maciusiaka, który pozostanie w kraju na treningach z Dawidem Kubackim, Kacprem Tomasiakiem, Pawłem Wąskim i Piotrem Żyłą. Jak przekazał główny szkoleniowiec reprezentacji, do Courchevel udadzą się Stefan Horngacher, Michał Doleżał i Krzysztof Biegun.

Oficjalny „letni” rekord skoczni „Tremplin du Praz” HS 132 m należy od 2011 roku do Kamila Stocha (137 metrów).

Wszystkie konkursy w Courchevel można obejrzeć na platformie HBO

Max, a transmisja zmagania panów będzie dostępna w Eurosporcie 4.

Program zawodów

* Piątek, 7 sierpnia 2026 r.:
godz. 20.00 – odprawa techniczna.

* Sobota, 8 sierpnia 2026 r.:
godz. 8.30 – oficjalny trening kobiet;
godz. 10.30 – oficjalny trening mężczyzn;
godz. 16.00 – pierwsza seria konkursowa kobiet;
godz. 18.00 – pierwsza seria konkursowa mężczyzn.

* Niedziela, 9 sierpnia 2026 r.:
godz. 9.00 – kwalifikacje kobiet;
godz. 10.30 – kwalifikacje mężczyzn;
godz. 16.00 – pierwsza seria konkursowa kobiet;
godz. 18.00 – pierwsza seria konkursowa mężczyzn.

PIĘKA NOŻNA

Tylko jeden krok do raj. Polska będzie jeszcze bliżej elitarniej Ligi Mistrzów

Jacek Czaplewski

W tym roku mija dziesięć lat od ostatniego awansu polskiej drużyny w Lidze Mistrzów. Już wiemy, że w tę rocznicę kolejnego nie będzie, ponieważ w kompromitującym stylu z eliminacji odpadł Lech Poznań. Za rok senne marzenie może się jednak w końcu ziścić. Dlaczego?

Otóż w przypadku następnego mistrza Polski o awansie do fazy ligowej Champions League zdecydować będzie już tylko jeden dwumecz!

Liga Konferencji to rozgrywki trzeciej kategorii

Od kilku edycji polskie zespoły regularnie kwalifikują się do Ligi Konferencji. Rok temu mieliśmy w niej aż czterech przedstawicieli. To jednak rozgrywki trzeciej kategorii. Na szczycie niezmiennie pozostaje Liga Mistrzów oferująca niewyobrażalne wpływy do budżetu i mecze z gigantami. Do niej drzwi się nam zaryglowały.

Ostatnią drużyną, która wywalczyła awans, była bowiem Legia Warszawa – w 2016 roku. Kibice do dzisiaj wspominają hit z Realem Madryt zakończony remisem 3:3. Gdyby drużyna zachowała koncentrację do ostatniego gwizdka, to nawet odniosłaby sensacyjne zwycięstwo.

Lepsi byli Kazachowie, Słowacy i Cypryjczycy

Od tamtej pory nasze plany podboju Ligi Mistrzów kończyły się wyłącznie rozczarowaniami – zazwyczaj w drugiej lub trzeciej

rundzie kwalifikacji. Legię wyeliminowali kolejno: kazachska Astana, słowacki Spartak Trnawa, cypryjska Omonia Nikozja i chorwackie Dinamo Zagrzeb. Dla Lecha za mocni byli azerski Karabach Agdam, serbska Crvena Zvezda Belgrad i teraz duńskie Aarhus.

Jagiellonia przepadła z norweskim Bodo/Glimt, zaś Piast Gliwice, bo takiego mistrza Polski także przecież mieliśmy, z białoruskim BATE Borysów. Bogiem a prawdą najbliższy był Raków Częstochowa, który jako jedyny z tego grona dotarł do fazy play-off, przegrywając tylko o gola z duńską FC København.

I właśnie po czterech latach oczekiwania ponownie znajdziemy się od razu w decydującej rundzie. Dzięki dwunastemu miejscu w rankingu UEFA mistrz Polski zacznie bowiem walkę od fazy play-off.

20 milionów i mecze z Barcą na wyciągnięcie ręki

Zatem tylko jeden dwumecz dzielić będzie naszego czempiona od blisko 20 milionów euro premii za udział w fazie ligowej (to równowartość rocznego budżetu czołowych polskich klubów) i szansy na grę przeciwko Barcelonie, Realowi Madryt, Bayernowi Monachium czy PSG.

Na razie pozostaje nam zazdrościć. W nadchodzącej Lidze Mistrzów udział mają zagwarantowany Czesi (Slavia Praga), zaś tylko krok od piłkarskiego raj, tak jak nas w przyszłym roku, dzieli Austriaków (LASK Linz), Greków (AEK Ateny), Norwegów (Viking Stavanger) czy Szkotów (Celtic Glasgow).

SPORTY WALKI

Mateusz Gamrot w walce wieczoru! Szansa na umocnienie pozycji w rankingu

Jacek Łosak

Już w najbliższą sobotę Mateusz Gamrot stoczy kolejną walkę w oktagonie organizacji UFC. Dla Polaka będzie to szansa na drugie zwycięstwo z rzędu i umocnienie swojej pozycji w kategorii lekkiej.

Mateusz Gamrot walczył ostatni raz podczas jednej z kwietniowych gal

UFC. Polak stał się z Estebanem Ribovicsem, którego zdominował i poddał w drugiej rundzie pojedynku. Dzięki tej wygranej „Gamer” powrócił na drogę zwycięstw po porażce z ręk Charlesa Oliveiry, byłego mistrza UFC.

W najbliższym pojedynku, który odbędzie się 8 sierpnia w Las Vegas, Mateusz Gamrot zmierzy się z młodym i niepokonanym w UFC Quillem Salkillem, który zajmuje 8.

miejsce w rankingu najlepszych zawodników kategorii lekkiej UFC. Polak jest na pozycji 6.

Gamrot od dłuższego czasu przygotowywał się do walki, trenując na Florydzie, na macie klubu American Top Team i liczy, że dobry obóz przygotowawczy przybliży go do efektownej wygranej.

– Fajnie jest wygrać przed czasem, mamy przygotowane kilka rozwiązań – stwierdził Polak.



Mateusz Gamrot jest byłym podwójnym mistrzem KSW. W swoim dorobku ma 31 stoczonych pojedynków, z których 26 wygrał

SPORT

• **Hubert Hurkacz z awansem.** W drugiej rundzie turnieju ATP 1000 w Montrealu pokonał Alejandro Tabilo 6:4, 7:6 (7-4)

ŻUŻEL

Sparta chce pokrzyżować plany Motorowi Lublin

Dawid Foltyniewicz

Betard Sparta wraca do rywalizacji po wakacyjnej przerwie. W 12. kolejce PGE Ekstraligi podejmie na Stadionie Olimpijskim walczący o udział w fazie play-off Orlen Oil Motor Lublin.

Kibice Betard Sparty w ostatnich tygodniach musieli uzbroić się w cierpliwość. Wrocławska drużyna ostatni ligowy mecz rozegrała 3 lipca, gdy w Lesznie pokonała miejscową Fogo Unię 46:44 oraz wywalczyła punkt bonusowy. PGE Ekstraliga wróciła co prawda w ubiegłą niedzielę, ale tego dnia rozegrano tylko dwa z czterech spotkań 12. kolejki. Stelmet Falubaz Zielona Góra przegrał u siebie z PRES Grupą Deweloperską Toruń 41:49, a Fogo Unia wygrała na własnym torze z Bayersystem GKM-em Grudziądz 51:39.

W niedzielę podopiecznych trenera Piotra Protasiewicza czeka nie lada wyzwanie, czyli starcie z Orlen Oil Motorem, który w latach 2022-2024 trzykrotnie sięgał po drużynowe mistrzostwo Polski. „Spartanie” o sile „Koziołków” kolejny raz przekonali się w 5. kolejce tego sezonu,



FOT. PAP/WOCIECH JARGIEŁO

Żuźlowiec Sparty za plecami Motoru – w majowym meczu w Lublinie często oglądaliśmy taki widok

gdy przegrali w Lublinie 35:55. Była to najwyższa porażka WTS-u w tym roku. Co więcej, Betard Sparta nie wygrała drużynowo ani jednego biegu.

Wrocławianie większe szanse na pokonanie Orlen Oil Motoru będą mieli na Stadionie Olimpijskim, choć bez Daniela Bewleya może to być bardzo trudne zadanie. Wspomniany Brytyjczyk jest na ostatniej prostej przed powrotem

na tor po zrośnięciu złamanej kości udowej. W ten weekend nie zobaczymy go jednak ani w ligowym meczu, ani w sobotniej rundzie Grand Prix na Łotwie.

Przed niedzielą potyczką w lepszej sytuacji znajduje się Betard Sparta. Wrocławianie zdobyli w tym sezonie 20 punktów, są już pewni awansu do fazy play-off, a jeśli pokonają „Koziołki”, wrócą na fotel lidera, w którym tydzień temu zasia-

dła PRES Grupa Deweloperska Toruń.

Zespół z Lubelszczyzny zebrał do tej pory 17 „oczek” i wciąż musi walczyć o udział w play-offach. W przypadku porażki na Stadionie Olimpijskim o tym, kto zajmie ostatnie wolne miejsce w półfinałach, może zadecydować spotkanie 14. kolejki, w którym Bayersystem GKM podejmie w Grudziądzu Orlen Oil Motor.

Mecz Betard Sparty z „Koziołkami” nie jest zagrożony. Obecne prognozy wskazują, że w ciągu dnia termometry wskażą maksymalnie 30 stopni Celsjusza. W weekend opady deszczu nie są spodziewane. Wszystkie bilety zostały już sprzedane, co oznacza, że spotkanie obejrzy komplet 13 675 widzów. Wrocławski klub od początku sezonu 2026 utrzymuje stuprocentową frekwencję na Stadionie Olimpijskim.

12. KOLEJKA PGE EKSTRALIGI

Betard Sparta Wrocław - Orlen Oil Motor Lublin (niedziela, godz. 19:30, Canal+ Sport, 35:55 w pierwszym meczu)

Pozostałe mecze: Stelmet Falubaz Zielona Góra - PRES Grupa Deweloperska Toruń 41:49 (77:103 w dwumeczu), Fogo Unia Leszno - Bayersystem GKM Grudziądz 51:39 (91:89 w dwumeczu), Gezet Stal Gorzów - Krono-Plast Włókniarz Częstochowa (niedziela, godz. 17:00, Canal+ Sport, 59:31 w pierwszym meczu).

1. PRES Toruń	12	22	+115
2. Sparta Wrocław	11	20	+66
3. Unia Leszno	12	20	+80
4. Motor Lublin	11	17	+93
5. GKM Grudziądz	12	14	+5
6. Stal Gorzów	11	10	-17
7. Falubaz Zielona Góra	12	7	-104
8. Włókniarz Częstochowa	11	0	-238

PIŁKA NOŻNA

Zdezorganizowana Cracovia zagra ze Śląskiem, Zagłębie musi pauzować

Piotr Janas

W niedzielę o godz. 14:45 Śląsk Wrocław podejmie Cracovię w meczu 3. kolejki PKO Ekstraklasy. Pierwotnie w tym terminie KGHM Zagłębie Lubin miało zagrać z Rakowem w Częstochowie, lecz ten mecz - na wniosek Częstochowian - został przełożony.

Śląsk sezon 2026/27 rozpoczął od porażki z Górnikiem w Zabrzu (1:2), mimo iż pokazał się z naprawdę dobrej strony. Dało to efekt tydzień później, bo w pierwszym domowym spotkaniu po powrocie do PKO Ekstraklasy Wrocławianie dość niespodziewanie ograli Raków Częstochowa 2:1.

– Przez 80 minut tego meczu nie byliśmy zespołem lepszym od Rakowa, ale pozostaliśmy skoncentrowani na naszym celu, konsekwentni

w realizowaniu założeń, a swoje dołożyli rezerwowi, którzy dali nam to, czego od nich oczekiwaliśmy. Dzięki temu udało nam się odwrócić losy meczu i wygrać. Wygrać zasłużenie w moim odczuciu – mówił po tamtym spotkaniu trener Ante Šimundža.

Niedzielny mecz z Cracovią jawi się jako jeden z nielicznych w tym sezonie, w którym WKS będzie faworytem bukmacherów. „Pasy” sezon zaczęły od remisu (0:0 z Lechem) i porażki (0:2 z Pogonią), a do tego są targani problemami organizacyjnymi. Z pracy z dnia na dzień zrezygnował kolejny wiceprezes – Amerykanin David Amdurer – zostawiając na pokładzie samego prezesa Murata Çolaka.

Przymusowa pauza Zagłębia Pierwotnie w niedzielę o 14:45 Raków Częstochowa miał grać z Zagłębiem Lubin, ale spotkanie na wniosek grających w el. Ligi Konferencji gospoda-



FOT. KRYSZYNA PAĆKOWSKA/ŚLĄSK WROCŁAW

Śląsk Wrocław w niedzielę powalczy o drugie z rzędu zwycięstwo. Na papierze WKS jest delikatnym faworytem w meczu z Cracovią

rzy zostało odwołane. Nowy termin nie został jeszcze wyznaczony.

3. KOLEJKA PKO EKSTRAKLASY

Dziś: Wisła Kraków - Wisła Płock (g. 20:30, Canal+Sport,

Canal+Sport 3). **Sobota:** Radomiak Radom - Górniki Zabrze (g. 14:45, Canal+Sport 3), Pogoń Szczecin - Motor Lublin (g. 17:30, Canal+Sport 3), Korona Kielce - Legia Warszawa (g. 20:15, Canal+Sport 3). **Niedziela:** Śląsk Wrocław - Cracovia (g. 14:45, Canal+Sport 3), Lech Poznań -

Piast Gliwice (g. 17:30, Canal+Sport 3, Canal+Premium), Jagiellonia Białystok - Widzew Łódź (g. 20:15, Canal+Sport 3). **Mecze:** GKS Katowice - Wieczysta Kraków i Raków Częstochowa - **KGHM Zagłębie Lubin** w pierwotnym terminie został odwołane na wniosek walczących w el. europejskich pucharów GKS-u i Rakowa.

1. Legia Warszawa	2	6	4-1
2. Jagiellonia Białystok	2	6	3-1
3. Lech Poznań	2	4	2-1
3. Wisła Płock	2	4	2-1
5. GKS Katowice	2	3	4-3
6. Pogoń Szczecin	2	3	2-1
7. Górnik Zabrze	1	3	2-1
8. Wisła Kraków	2	3	5-5
9. KGHM Zagłębie Lubin	2	3	3-3
9. Śląsk Wrocław	2	3	3-3
11. Piast Gliwice	2	3	4-5
12. Radomiak Radom	2	3	3-4
13. Widzew Łódź	2	2	2-2
14. Motor Lublin	2	1	3-4
15. Cracovia	2	1	0-2
16. Korona Kielce	1	0	0-1
17. Raków Częstochowa	2	0	2-4
17. Wieczysta Kraków	2	0	2-4

tygodnik

GŁOGOWSKI

www.glogow.naszemiasto.pl

Nr 32/182



HISTORIA
**„MILANA”.
OD SUKCESU
DO UPADKU
PRZYPOMINAMY
LOSY ZAKŁADU
DZIEWIARSKIEGO
W GŁOGOWIE**
str. 4

ZAGŁĘBIE MIEDZIOWE

ODNALEŻLI LEGENDARNY ODWIERT

Górnicy z ZG Polkowice-Sierszowice: to ślady zespołu Jana Wyżykowskiego **str. 8**

Nr ISSN 2353-6152
Nr indeksu 350206



INWESTYCJA
**Obwodnica
Głogowa** czeka
na zielone światło.
O jakie problemy
chodzi? **str. 3**

FOTOREPORTAŻ

Festiwal Teatrów Ulicznych
str. 6



REKLAMA

0011464646



DIAGNOSTYKA SŁUCHU DZIECKA

Kompleksowa
DIAGNOSTYKA SŁUCHU DZIECI:

- ▶ Videootoskopia
- ▶ Tympanometria
- ▶ otoemisja akustyczna
- ▶ ABR, ASSR
- ▶ Zaburzenia Przetwarzania Słuchowego



**ZBADAJ SWÓJ SŁUCH
I BEZPŁATNIE**

przetestuj aparat słuchowy
u siebie w domu

FONMED
APARATY SŁUCHOWE
od 1997



GŁOGÓW, ul. Kościuszki 15 F ☎ **76 835 05 01, 888 748 707** **www.fonmed.pl**
(budynek przy wjeździe do szpitala po byłej aptece)

TO JEST PRODUKT MEDYCZNY, UŻYWAJ GO ZGODNIE Z INSTRUKCJĄ I ETYKIETĄ

Krzysztof Cugowski



Konflikt trwa. Dlaczego nie ma szkoleń?

Powinny być szkolenia wojskowe. Od czterech i pół roku trwa wojna, a każda ekipa rządząca jak ognia boi się rozmawiać na ten temat. Niestety, co jakiś czas zdarzają się takie sytuacje jak ostatni alarm w Lublinie. I nagle robi się sensacja! Nagle wszyscy wołają „Oj!” i przez kilka dni próbują rozbierać zdarzenie na czynniki pierwsze, oglądać, analizować. Nie jestem pewny, czy jesteśmy przygotowani na atak. Nie mówię tutaj o mentalności obywateli, bo myślę, że ludzie w ogóle nie są przygotowani na taką sytuację. Nawet, gdy zdarzają się takie zdarzenia jak ostatnio, to ludzie szybko starają się wyrzucić to z pamięci. Większość chce po prostu żyć w błogiej nieświadomości. Tymczasem powinniśmy mieć wyobrażenie, co może się stać. Nie jesteśmy krajem, który w takiej hipotetycznej sytuacji, byłby w stanie sam się obronić. Likwidacja zasadniczej służby wojskowej to rzecz absolutnie fatalna. Całe pokolenie młodych ludzi nie ma żadnego pojęcia w tym temacie. Powinny być szkolenia wojskowe. Nie mówię, że to ma być dwuletnia zasadnicza służba wojskowa jak w PRL, bo to byłby absurd kompletny. Jednak w jakieś formie powinno być to zrobione. Nie wiem, na co czekają politycy. Oni wszyscy żyją w permanentnej kampanii wyborczej i boją się poważnych tematów. Tylko że nie ma już miejsca na żarty i śmiech. Miejmy nadzieję, że nie dojdzie do tragedii.

GŁOGÓW

Ruch wahadłowy i objazdy dla ciężarówek

Do 31 sierpnia potrwać utrdunienia związane z remont dylatacji na Moście Tolerancji w Głogowie. – Na czas realizacji robót na odcinku DK12 obowiązywać będzie ruch wahadłowy, w porze dziennej kierowany ręcznie przez uprawnionych pracowników, a w porze nocnej sterowany za pomocą sygnalizacji świetlnej – informowała GDDKiA. Samochody będą przemieszczać się po moście na zmianę w obu kierunkach, natomiast ciężarówki jeżdżą wyznaczonym objazdem.

Wiktorja Żyta

GŁOGÓW

Pływalnia nieczynna do połowy sierpnia

Do 17 sierpnia nie możemy korzystać z pływalni w Głogowie. Przyczyną jest przerwa technologiczna, w czasie której prowadzona jest konserwacja basenów i urządzeń zapewniających codzienne działanie tego miejsca.

Planowany termin zakończenia prac może ulec zmianie i będzie uzależniony od wyników badań jakości wody, które potwierdzą możliwość otwarcia obiektu. Natomiast cały czas są dostępne baseny zewnętrzne. Wiktorja Żyta

Podpalacz grasuje wokół Przemkowa?

Wiktorja Żyta
Przemków

Trzy ostatnie pożary w gminie Przemków pod koniec lipca były najprawdopodobniej podpaleniami. Dla mieszkańców oznacza to dodatkowe koszty.

W środę (29 lipca) OSP w Przemkowie dostała zgłoszenie o pożarze zagajnika nieopodal ul. Topolowej w Przemkowie, jednak okazało się, że nie palił się zagajnik, a płonęło 6 balotów siana (dwa zastępy OSP Przemków i JRG Polkowice).

– Baloty były objęte ogniem, nie było osób poszkodowanych. Przypuszczalną przyczynę pożaru i w przypadku balotów było to podpalenie. Pożar śmietnika na Osiedlu Głogowskim także był podpaleniem. Samo się nie zapaliło – informował dyżurny Straży Pożarnej w Polkowicach, st. asp. Dawid Koladyński.

Z trzech pożarów, które okazały się podpaleniami, tylko jeden został zgłoszony na policję.

– Na ten moment, czyli w lipcu, w wydziale wykroczeń prowadzone jest jedno postępowanie z art. 82 Kodeksu wykroczeń „Nieostrożne obchodzenie się z ogniem”. Jest to pożar śmietnika na Osiedlu Głogowskim. Zgłosił to właściciel, czyli Związek Gmin Zagłębia Miedziowego – mówiła oficer prasowa Komendy Powiatowej Policji w Polkowicach, mł. asp. Magdalena Wiaderek.

Na Osiedlu Głogowskim w Przemkowie spłonęły kontenery na papier oraz szkło.

– Oznacza to koszty, które ostatecznie ponosimy wszyscy jako mieszkańcy. Jest to również zagrożenie dla bezpieczeństwa oraz brak szacunku dla wspólnego dobra i pracy osób, które dbają o porządek w naszej gminie – powiedziała Magda Sitnicka, inspektor ds. edukacji ekologicznej w ZGZM.



FOT. WIKTORJA ŻYTA

GAWORZYCE

O zdrowym odżywianiu w bibliotece

Spotkanie z dietetyczką kliniczną Aleksandrą Husar zorganizowano pod koniec lipca w bibliotece w Gaworzycach. Opowiedziała ona o faktach i mitach na temat zdrowego odżywiania.

– Treści w internecie są darmowe, dlatego jest to pierwsze źródło. Kiedyś tym źródłem był lekarz. Pamiętajmy także o piramidzie zdrowego odżywiania oraz o aktywności fizycznej. Jeśli chodzi o planowanie posiłków, to polecam myśleć pod kątem całego tygodnia lub całego dnia i nie skupiać się na pojedynczych posiłkach i produktach – mówiła Aleksandra Husar.

Było to ciekawe i pełne praktycznych wskazówek spotkanie, podczas którego mieszkańcy mogli dowiedzieć się o zdrowych nawykach.

Wiktorja Żyta

ŚWIĘTO POLICJI. AWANSE I ODZNACZENIA DLA FUNKCJONARIUSZY



FOT. WIKTORJA ŻYTA

Sala w głogowskim MOK-u wypełniła się kilka dni temu policjantami i ich bliskimi oraz przedstawicielami władz samorządowych miasta i powiatu, kierownictwa policji i zaproszonych gości. Obchody rozpoczęły się tradycyjnie mszą świętą w kościele św. Mikołaja na starówce. To wszystko z okazji Święta Policji, które przypada 24 lipca, w rocznicę powołania Polskiej Policji Państwowej. Wydarzenie zorganizowała Komenda Powiatowa Policji w Głogowie. Wiktorja Żyta

INWESTYCJA CZEKAJĄ NA DECYZJĘ ZRID, WYKONAWCA PRZYGOTOWUJE PLAC

Obwodnica Głogowa musi jeszcze zaczekać

Wiktoria Żyta
Głogów

Wicewojewoda dolnośląski, dyrektor oddziału GDDKiA oraz dyrektorka kontraktu z firmy Strabag opowiedzieli o przyczynach zwłoki.

Urząd Wojewódzki nie wydał jeszcze Zezwolenia na Realizację Inwestycji Drogowej (ZRID). Opowiedział o tym wicewojewoda dolnośląski Artur Jurkowski: - Uzupełnialiśmy duże rozbieżności, które wynikały z błędów, które są w ośrodkach geodezji i kartografii w powiatach. Nie możemy wydać ZRID-u, nie mając rzeczywistych wymiarów działek, które będą przeznaczone do przejęcia. Została podpisana umowa na wykonanie tej inwestycji i są zabezpieczone środki. Podejmujemy już działania, by rozpocząć fizyczną budowę obwodnicy - informował wicewojewoda.

Dodał także, z czego wynikały błędy w pomiarach i jak duże one były:

- Dość spore różnice wynikały w pomiarach. Miasta są dobrze pomierzone, natomiast obszary wiejskie nie były domierzone. W przypadku powiatu polkowickiego brakowało 300 m. To spora różnica, bo ktoś musiałby za ten odcinek zapłacić. W przypadku powiatu głogowskiego, w Grodźcu brakowało 500 m. Jesteśmy w ciągłym kontakcie - mówił wicewojewoda.

GDDKiA także czeka na decyzję ZRID, by przystąpić do realizacji inwestycji. Na zaplecze są zwożone materiały budowlane.

- Na tym placu można pomieścić 400 tys. ton materiałów, które będą potrzebne do budowy obwodnicy. Jesteśmy na etapie pozyskiwania zezwolenia na realizację inwestycji drogowej. Wniosek jest złożony, był ostatnio uzupełniany. Jesteśmy na dobrej drodze, by uzyskać takie zezwolenie - zapewniał Waldemar Wojciechowski, dyrektor



Od lewej: Waldemar Wojciechowski, Artur Jurkowski i Elżbieta Król-Adamczak



W oczekiwaniu na ostateczne decyzje na zaplecze budowy są zwożone materiały budowlane

oddziału Generalnej Dyrekcji Dróg Krajowych i Autostrad we Wrocławiu.

Wykonawca, czyli firma Strabag, jest gotowa do możliwie najszybszego podjęcia działań. Zaczęła gromadzić kruszywo na placu i pozyskała decyzję środowiskową na postawienie tymczasowej wytwórni mas bitumicznych. Ponadto przygotowuje się do działań z nadzorem archeologicznym i saperskim.

Wykonawca zaczął gromadzić kruszywo na placu i dostał decyzję środowiskową na postawienie wytwórni mas bitumicznych

O tym, jak idą przygotowania, opowiedziała Elżbieta Król-Adamczak, dyrektorka kontraktu w firmie Strabag.

- Po otrzymaniu decyzji jesteśmy w stanie rozpocząć prace budowlane w ciągu dwóch tygodni. Szereg działań został już podjęty przez Strabag. Część inwestycji będziemy realizować siłami własnymi i będzie to około 30-40 jednostek sprzętowych. Oprócz tego zakładamy realizację inwestycji z szeregiem lokalnych podwykonawców, w szczególności w zakresie kolizji branżowych, ponieważ w pierwszej kolejności przebudowujemy wszelkie kolizje wodociągowe, kanalizacyjne i energetyczne. Później przystępujemy siłami wła-

snymi do realizacji nasypów, mostów - informowała.

Wspomniała także o wyzwaniach, jakich może spodziewać się wykonawca.

- Na części placu budowy w pierwszej kolejności GDDKiA musi wykonać badania archeologiczne wskazane przez konserwatora zabytków. Planujemy realizację inwestycji z dwóch stron, a naszą przeszkodą jest rzeka Odra, więc będą dwie budowy - dodała.

Część prac będzie od strony Starych Serbów, a druga od strony S3, by połączyć oba odcinki na nowym moście. Na placu budowy ma przebywać, łącznie z siłami podwykonawczymi, co najmniej kilkadziesiąt osób.

Wniosek

Wicewojewoda złożył też wniosek do Dolnośląskiej Służby Dróg i Kolei. W trosce o bezpieczeństwo mieszkańców i użytkowników trasy Głogów - Jerzmanowa zwrócił się o analizę i podjęcie działań dotyczących: likwidacji lewoskrętu w Jerzmanowej przed stacją paliw Shell od strony Głogowa oraz ujednolicenia prędkości na odcinku Głogów - Jerzmanowa, tak aby organizacja ruchu była bardziej czytelna i bezpieczna dla kierowców.

Do PSZOK tylko z oświadczeniem

Wiktoria Żyta
Głogów

Od 1 sierpnia mamy nowy sposób przyjmowania odpadów. Już nie wystarczy okazanie dowodu osobistego.

Sprawdzanie dowodów osobistych zostało zastąpione specjalnym oświadczeniem. Ma to zapobiegać sytuacjom, gdy odpady oddawały tam osoby spoza miasta, co zrzucało koszty na płacących mieszkańców miasta.

Miasto zareagowało na wnioski dotyczące zaniechania weryfikacji osób korzystających z usług PSZOK w Głogowie poprzez okazanie dokumentu tożsamości. Chce uszczelnić system i zablokować możliwość nielegalnego oddawania odpadów przez podmioty lub mieszkańców gmin ościennych, którzy nie są uczestnikami miejskiego systemu.

Przed przyjęciem odpadów przez PSZOK właściciele nieruchomości objętych gminnym systemem gospodarowania odpadami komunalnymi Gminy Miejskiej Głogów są zobowiązani do złożenia pisemnego oświadczenia o przekazaniu odpadów komunalnych

na PSZOK przez właściciela nieruchomości lub złożenia pisemnego oświadczenia o przekazaniu odpadów komunalnych na PSZOK przez osobę trzecią, w przypadku gdy odpady komunalne z nieruchomości objętej systemem dostarczane są przez osobę niebędącą właścicielem danej nieruchomości.

Odpady problematyczne trzeba przywozić do Punktów Selektywnego Zbierania Odpadów Komunalnych. W Głogowie funkcjonują trzy takie miejsca: przy ul. Przemysłowej, ul. Komunalnej oraz ul. Transportowej.

Na stronie DGL News czytamy: „Miasto pracuje nad rozwiązaniem, które uszczelni system i rozwiąże problem z podrzucaniem śmieci przez nieuczciwych mieszkańców z okolicznych gmin. Rozwiązanie z oświadczeniem jest do-
razne. Warto pamiętać, że ustawodawca dał gminom narzędzia prawne dotyczące osób w tzw. systemie śmieciowym, ale są one dziurawe i ograniczone przepisami o ochronie danych osobowych. Samorządowcy od lat wskazują, że brakuje im prostego dostępu do uniwersalnych baz danych (np. numerów PESEL czy pełnych zestawień zużycia mediów)”.



GŁOGÓW

Kto kradnie i niszczy defibrylatory AED?

Ogólnodostępne defibrylatory AED mogą uratować ludzkie życie, dlatego miasto stara się montować je w wielu miejscach. Niestety, ktoś znowu ukradł to urządzenie przy ul. Saturna. Ponadto uszkodzono osłonę sprzętu przy Ma-

rinie. Defibrylatory pomagają w przywróceniu prawidłowego rytmu serca oraz przywróceniu akcji serca w przypadku nagłego zatrzymania krążenia. Urzędnicy apelują o reagowanie na akty wandalizmu.

Wiktoria Żyta

„Milana” - od sukcesu do upadku

Grażyna Szyszka
Głogów

Była symbolem rozwoju Głogowa w czasach budowy Huty Miedzi i miejscem pracy setek kobiet.

Niedawno minęło pół wieku od uruchomienia „Milany” – zakładu, którego historia obfitowała w ciekawe wydarzenia i zakończyła się wraz z transformacją ustrojową.

Przez lata była jednym z największych pracodawców w Głogowie i dawała zatrudnienie przede wszystkim kobietom. Dziś dawny budynek „Milany” niszczeje, ale pamięć o zakładzie wciąż pozostaje żywa.

22 lipca 1976 roku w Głogowie uruchomiono oddział Zakładów Przemysłu Dzierżawskiego „Milana” z Legnicy. Była to jedna z ważniejszych inwestycji towarzyszących budowie Huty Miedzi „Głogów”, której celem było



W głogowskiej „Milanie” pracowały głównie kobiety

stworzenie miejsc pracy przede wszystkim dla żon hutników i górników. Zatrudnienie znalazły tam jednak także kobiety, które przyjechały do Głogowa z różnych regionów Polski.

Historię tego ważnego dla miasta zakładu przypomina

głogowski regionalista Dariusz Czaja.

Akt erekcyjny pod budowę zakładu wmurowano we wrześniu 1973 roku, ale jeszcze przed zakończeniem inwestycji część załogi pracowała w tymczasowych barakach zlokalizowanych w rejo-

nie Skarbka. Po otwarciu nowego obiektu przy dzisiejszej ulicy Sikorskiego przedsiębiorstwo miało docelowo zatrudniać nawet 900 osób.

Zakład obejmował wszystkie etapy produkcji – od przygotowania materiałów, przez dziewiarnię, krojownię

i szwalnię, aż po pakownię. Na parterze mieściły się biura, przychodnia lekarska, a z czasem również sklep firmowy.

W „Milanie” szyto przede wszystkim odzież dla niemowląt i dzieci, która trafiała głównie na eksport – między innymi do Związku Radzieckiego i Kuwejtu. Praca odbywała się w systemie dwu- i tryzmianowym, a wynagrodzenie naliczano w systemie akordowym – wyjaśnia Dariusz Czaja.

Historia zakładu obfitowała również w nietypowe wydarzenia. Jeszcze podczas budowy robotnicy natrafili na cenne znalezisko archeologiczne – ponad 20 brązowych zabytków, wśród których znajdowały się naszyjniki, bransolety, mankietowe wykonane z litego pręta, spirale z drutu oraz siekierki. Odkrycie, znane dziś jako „Skarb z Milany”, znajduje się w zbiorach Muzeum Archeologiczno-Historycznego w Głogowie.

Ciekawym epizodem był także konkurs zorganizowany na początku lat 80. dla uczniów szkół podstawowych. Młodzież przygotowywała własne projekty odzieży, a najlepsze z nich trafiły do produkcji. Finałem akcji był pokaz mody zorganizowany w jednej z głogowskich szkół – dodaje regionalista.

Transformacja ustrojowa okazała się jednak dla „Milany” początkiem końca. Jeszcze w 1990 roku zakład zatrudniał ponad 400 osób, jednak pogarszająca się sytuacja gospodarcza wymusiła zwolnienia. Wiosną tego roku pracę straciło 80 osób. Jesienią, na bazie przedsiębiorstwa, zarządzeniem wojewody legnickiego z października 1990 roku powołano zakład „Adena”, który również nie zdołał przetrwać trudnych realiów gospodarki początku lat 90.

Dziś dawny budynek „Milany” stopniowo popada w ruinę.

Zbudują kolejne 108 mieszkań czynszowych w Głogowie

Wiktoria Żyta
Głogów

Na Nowym Piastowie powstanie kolejny budynek czynszowy. Będzie w nim 108 mieszkań. Prezydent już podpisał umowę.

Rafał Rokaszewicz podpisał umowę z firmą Agrobex Budowa z Poznania, która będzie wykonawcą kolejnego budynku czynszowego na osiedlu Nowy Piastów. W budynku będzie 108 mieszkań. Budynek powstanie przy ul. Książąt Oleśnickich, a już niedługo ruszą prace budowlane.



Rafał Rokaszewicz, prezydent Głogowa

Choć będzie to budynek bliźniaczy do tego pierwszego, będzie od niego nieco większy. Wartość kontraktu w chwili podpisania umowy

to blisko 43 mln zł. Warto dodać, że sto procent środków na to zadanie pozyskaliśmy z dotacji z Banku Gospodarstwa Krajowego – mówi prezydent Rafał Rokaszewicz.

Będzie to drugi budynek czynszowy. Są już plany na trzeci, też na Nowym Piastowie.

Zainteresowanie tą formą mieszkalnictwa jest bowiem bardzo duże. W momencie zasiedlania pierwszego budynku mieliśmy już wiele pytań, kiedy powstanie kolejny. Jego realizację zaplanowaliśmy na dwa lata, także pod koniec przyszłego roku chcielibyśmy go już zasiedlać – dodaje prezydent.

W Krzekotówku powstanie boisko wielofunkcyjne

Wiktoria Żyta
Kotla

W gminie Kotla powstanie długo wyczekiwany przez mieszkańców obiekt – boisko wielofunkcyjne. Ma być gotowe jeszcze w tym roku.

W ramach przedsięwzięcia powstanie boisko wielofunkcyjne o wymiarach 36x25 m, przystosowane do gry w piłkę nożną, siatkówkę oraz koszykówkę. Projekt obejmuje również montaż oświetlenia i monitoringu.

To ważna inwestycja dla mieszkańców Krzekotówka. Już wkrótce zyskają nowoczesne i funkcjonalne miejsce do uprawiania sportu, które będzie służyć zarówno treningom i rozgrywkom sportowym, jak i codziennej rekreacji oraz integracji lokalnej społeczności – powiedział wójt Krzekotówka, Kamila Suchocka-Szperlik.

To kolejna inwestycja w ramach programu rządowego,



Gmina zapewnia, że boisko będzie gotowe w tym roku

wego, bo tu są połączone środki Urzędu Marszałkowskiego z Ministerstwem Sportu – mówi poseł Łukasz Horbatowski.

Na realizację zadania gmina pozyskała dofinansowanie w wysokości 500 tys. zł z budżetu Województwa Dolnośląskiego.

Trwa jeszcze przetarg na wybór wykonawcy.

Sołtys Krzekotówka, Kazimierz Rojek, nie kryje zadowolenia z inwestycji. – Wiem się rozbudowuje, mieszka tu wiele rodzin z dziećmi, tak więc będzie to pożyteczne dla mieszkańców – zapewniał.

W ramach programu wsparcie otrzymało wiele gmin, m.in. Głogów, Jerzmanowa, Gaworzyce i Przemków.

REKLAMA

0011562490

OBWIESZCZENIE STAROSTY POLKOWICKIEGO
o wydaniu decyzji o zezwoleniu na realizację inwestycji drogowej:

„Rozbudowa dróg gminnych w zakresie budowy chodnika wraz z budową linii kablowej nn 0,4 kV oświetlenia drogowego

w m. Krzydłowice”

– szczegóły w kodzie QR.



Porozmawiali o przyszłości kolei

Wiktorja Żyta
Głogów

Samorządowcy z całego regionu i przedstawiciele PKP PLK rozmawiali o rozwoju kolei.

Inicjatorem spotkania był poseł Łukasz Horbatowski, a w jego trakcie uczestnicy poruszyli tematy możliwości rozwoju linii kolejowych oraz konkretne plany i wstępne pomysły. W spotkaniu uczestniczyli także: starosta głogowski, starosta polkowicki, burmistrz Polkowic oraz wójtowie gmin: Kotla, Żukowice, Jerzmanowa, Gaworzyce oraz Pęcław.

Na początku przedstawiciele PKP przedstawili trwające i najbliższe inwestycje, które będą prowadzili na kolei, ale pokazali też kierunki, w jakich chcą zmierzać w dalszych latach. Pokazali też ogólnopolskie plany rozwoju. Następnie rozpoczęła się dyskusja, która była wypełniona uwagami i pomysłami dotyczącymi potrzeb mieszkańców naszego regionu.

– Pamiętajmy, że kolej przede wszystkim ma łączyć różne miejscowości, a żeby coś łączyło, trzeba na to spojrzeć z różnych perspektyw. I wła-



O kierunkach rozwoju kolei dyskutowali starostowie, wójtowie i burmistrzowie

śnie takie szerokie rozmowy między przedstawicielami różnych samorządów na pewno to ułatwiają. Rozwój kolei jest dla Głogowa ogromną szansą, zarówno ułatwiającą życie mieszkańcom dzięki połączeniom osobowym, jak i popychającą do przodu rozwój miasta i regionu dzięki połączeniom towarowym – mówi prezydent Rafał Rokaszewicz.

„Rozwój kolei jest dla Głogowa ogromną szansą, zarówno ułatwiającą życie mieszkańcom dzięki połączeniom osobowym”

Tematy poruszone na spotkaniu: dalsza poprawa linii nr 273 „Nadodrzanki” (co pozwoli na zwiększenie maksymalnej prędkości do 160 km/h); remont linii kolejowej nr 14 z Głogowa do Żagania; remont linii kolejowej nr 14 w kierunku na Leszno (łącznie z dodatkowym torem i remontem mostów); remonty na stacji kolejowej (to bardzo ważne dla miejskich planów stworzenia centrum przesiadkowego); budowa w Głogowie łącznicy między liniami 14 i 273; połączenie kolejowe z Polkowicami, a więc i utworzenie kolei aglomeracyjnej Zagłębia Miejskiego.

W Kwielicach powstała nowoczesna remiza OSP

Wiktorja Żyta
Grębocice

Już we wrześniu zostanie oficjalnie otwarta i stanie się siedzibą strażaków.

Wokół obiektu jest już nowa kostka brukowa, tereny zielone są zagospodarowane, ostatnie elementy elewacji są zamontowane, a wewnątrz są wyposażane w nowoczesny sprzęt. Uroczyste otwarcie remizy jest zaplanowane na 19 września.

Remiza została zaprojektowana z myślą o potrzebach współczesnego ratownictwa. W budynku jest przestronny garaż, który mieści dwa wozy strażackie, a także komfortowe



Nowa remiza została zaprojektowana z myślą o potrzebach współczesnego ratownictwa

zaplecze socjalne z osobnymi szatniami dla kobiet i mężczyzn oraz nowoczesne sanitariaty, część operacyjno-biurowa z biurem i magazynem na specjalistyczny sprzęt, pro-

fesjonalna pralnia odzieży specjalnej, która będzie służyła nie tylko druhom z Kwielic, ale wszystkim jednostkom OSP działającym na terenie gminy Grębocice.

REKLAMA



WÓJT GMINY RUDNA

59-305 Rudna, Plac Zwycięstwa 15, woj. dolnośląskie

ogłasza

przetarg ustny nieograniczony na zbycie

poz. 1. lokalu użytkowego usytuowanego na pierwszej kondygnacji budynku mieszkalno-usługowego w Rudnej przy ul. Ścinawskiej 2D na działce nr 394/5 o pow. 0,06 ha, dla której Sąd Rejonowy w Lubinie Wydział V Ksiąg Wieczystych prowadzi księgę wieczystą LE1U/00074416/2.

Lokal składa się z 3 pomieszczeń usługowych, 2 zapleczy, korytarza i WC o pow. 98,73 m².

CENA WYWOŁAWCZA NIERUCHOMOŚCI - 398 000,00 zł

WADIUM 40 000,00 zł

Przeznaczenie nieruchomości w miejscowym planie zagospodarowania przestrzennego – tereny zabudowy mieszkaniowej wielorodzinnej i usługowej.

Sposób zagospodarowania – zgodnie z przeznaczeniem w miejscowym planie zagospodarowania przestrzennego.

poz. 2. lokalu użytkowego nr 3 położonego w Chobieni przy ul. Rynek 9A, dla którego Sąd Rejonowy w Lubinie Wydział V Ksiąg Wieczystych prowadzi księgę wieczystą LE1U/00039900/5. Wraz z udziałem w częściach wspólnych budynku i gruntu w wysokości 1384/10000.

CENA WYWOŁAWCZA NIERUCHOMOŚCI - 184 000,00 zł

WADIUM 30 000,00 zł

Przeznaczenie nieruchomości w miejscowym planie zagospodarowania przestrzennego – tereny zabudowy mieszkaniowej wielorodzinnej i usług.

Sposób zagospodarowania – zgodnie z przeznaczeniem w miejscowym planie zagospodarowania przestrzennego.

poz. 3. nieruchomości gruntowej zabudowanej budynkiem kuźni, wiaty, gospodarczym oraz smarów i olejów położonej w Chobieni przy ul. Nadrzecznej – działka nr 250/4 o pow. 0,24 ha, dla której Sąd Rejonowy w Lubinie Wydział V Ksiąg Wieczystych prowadzi księgę wieczystą LE1U/00061018/8.

CENA WYWOŁAWCZA NIERUCHOMOŚCI - 340 000,00 zł

WADIUM 40 000,00 zł

Przeznaczenie nieruchomości w miejscowym planie zagospodarowania przestrzennego – tereny zabudowy mieszkaniowej wielorodzinnej oraz drogi dojazdowej.

Sposób zagospodarowania – zgodnie z przeznaczeniem w miejscowym planie zagospodarowania przestrzennego.

poz. 4. nieruchomości gruntowej niezabudowanej, położonej w miejscowości Chobienia oznaczonej w ewidencji gruntów jako działka nr 466/19 o powierzchni 0,1783 ha, dla której Sąd Rejonowy w Lubinie Wydział V Ksiąg Wieczystych prowadzi księgę wieczystą LE1U/00032629/2.

CENA WYWOŁAWCZA NIERUCHOMOŚCI (CENA NETTO) - 84 800,00 zł

WADIUM 20 000,00 zł

Przeznaczenie nieruchomości w miejscowym planie zagospodarowania przestrzennego – tereny zabudowy mieszkaniowej jednorodzinnej.

Sposób zagospodarowania – zgodnie z przeznaczeniem w miejscowym planie zagospodarowania przestrzennego.

poz. 5. nieruchomości gruntowej niezabudowanej, położonej w miejscowości Wysokie oznaczonej w ewidencji gruntów jako działka nr 80/100 o powierzchni 0,1317 ha, dla której Sąd Rejonowy w Lubinie Wydział V Ksiąg Wieczystych prowadzi księgę wieczystą LE1U/00021156/5.

CENA WYWOŁAWCZA NIERUCHOMOŚCI (CENA NETTO) - 72 200,00 zł

WADIUM 20 000,00 zł

poz. 6. nieruchomości gruntowej niezabudowanej, położonej w miejscowości Wysokie oznaczonej w ewidencji gruntów jako działka nr 80/126 o powierzchni 0,1309 ha, dla której Sąd Rejonowy w Lubinie Wydział V Ksiąg Wieczystych prowadzi księgę wieczystą LE1U/00021156/5.

CENA WYWOŁAWCZA NIERUCHOMOŚCI (CENA NETTO) - 71 800,00 zł

WADIUM 20 000,00 zł

Poz. 7. nieruchomości gruntowej niezabudowanej, położonej w miejscowości Wysokie oznaczonej w ewidencji gruntów jako działka nr 80/124 o powierzchni 0,1476 ha, dla której Sąd Rejonowy w Lubinie Wydział V Ksiąg Wieczystych prowadzi księgę wieczystą LE1U/00021156/5.

CENA WYWOŁAWCZA NIERUCHOMOŚCI (CENA NETTO) - 80 600,00 zł

WADIUM 20 000,00 zł

Przeznaczenie nieruchomości w planie zagospodarowania przestrzennego – tereny zabudowy mieszkaniowej.

Sposób zagospodarowania – zgodnie z przeznaczeniem w miejscowym planie zagospodarowania przestrzennego.

Termin zagospodarowania nieruchomości – z dniem przeniesienia prawa własności.

Nieruchomości będące przedmiotem licytacji wolne są od wszelkich długów i obciążeń oraz nie są dzierżawione.

Warunki przystąpienia do przetargu:

- Przetargi odbędą się w następujących terminach: poz. 1 o godz. 9.00, poz. 2 o godz. 9.15, poz. 3 o godz. 9.30, poz. 4 o godz. 9.45, poz. 5 o godz. 10.00, poz. 6 o godz. 10.15 i poz. 7 o godz. 10.30 w dniu 10 września 2026 r. w sali konferencyjnej Urzędu Gminy w Rudnej przy Placu Zwycięstwa 15.
- Wadium należy wpłacić w pieniądzu do dnia 7 września 2026 r. na konto Urzędu Gminy w Rudnej BS Rudna Nr 51 8669 0001 0151 6397 2000 0031 (wpłata oznacza wpływ środków na konto gminy). Przed otwarciem przetargu należy okazać komisji przetargowej dowód wpłaty wadium.

Pełna treść ogłoszenia o przetargu zamieszczona jest na stronie internetowej Urzędu Gminy Rudna www.biprudna.pl w zakładce informacje.



Już po raz szósty zorganizowano w naszym mieście Festiwal Teatrów Ulicznych. W tym roku festiwal wyszedł poza okolice teatru - na głogowskie osiedla

Festiwal Teatrów Ulicznych przyciągnął mieszkańców do centrum Głogowa



Publicność oklaskiwała widowisko „In Blue” przygotowane przez Teatr Akt



Było pięknie i kolorowo, a w najbliższy weekend czeka nas m.in. przedstawienie „Don Kichot”



FOT. WIKTORIA ŻYTA

Turniej koszykówki 3x3 o Puchar Wójta Gminy Jerzmanowa

Sportowe wydarzenie zorganizowano pod koniec lipca w Jaczowie. W turnieju wzięło udział 8 drużyn. I miejsce zajęła drużyna „Głęboka Rezerwa”.

- Jest to superinicjatywa. Chcemy pograć, pokazać wyższy poziom i dobrze się bawić - mówił pan Dawid z drużyny „Głęboka Rezerwa”. Wiktoria Żyta

INFORMATOR: TELEFONY, MAILE

KOMENDA POWIATOWA POLICJI - OFICER DYŻURNY
tel. 47 8742200
lub 47 8742201

KOMENDA POWIATOWA STRAŻY POŻARNEJ
tel. (76) 8357714, email
kpglogow@kwpsp.wroc.pl

GŁOGOWSKI SZPITAL POWIATOWY
tel. (76) 8373211, email
sekretariat@szpital.glogow.pl

POWIATOWA STACJA SANITARNO-EPIDEMIOLOGICZNA
tel. (76) 7272594, email
psse.glogow@pis.gov.pl

POWIATOWY LEKARZ WETERYNARI
tel. (76) 7276590,
email
glogow@wroc.wiw.gov.pl

URZĄD MIEJSKI W GŁOGOWIE
tel. (76) 7265400,
email
sekretariat@glogow.um.gov.pl

STAROSTWO POWIATOWE W GŁOGOWIE
tel. (76) 7282800, email
starostwo@powiat.glogow.pl

URZĄD GMINY KOTLA
tel. (76) 8318361, email
gmina@kotla.pl

URZĄD GMINY GŁOGÓW
tel. (76) 8365555, email
gmina@gminaglogow.pl

URZĄD GMINY GRĘBOCICE
tel. (76) 8325300, email
sekretariat@grebocice.com.pl

URZĄD GMINY PĘCŁAW
tel. (76) 8317126, email
gmina@peclaw.eu

URZĄD GMINY GAWORZYCE
tel. (76) 8316285, email
ug@gaworzyce.com.pl

URZĄD GMINY ŻUKOWICE
tel. (76) 8314241, email
gmina@zukowice.pl

URZĄD GMINY RADWANICE
tel. (76) 8311478, email
sekretariat@radwanice.pl

URZĄD GMINY JERZMANOWA
tel. (76) 8312121, email
sekretariat@jerzmanowa.com.pl

POGOTOWIE GAZOWE
tel. 992

POGOTOWIE CIEPŁOWNICZE
tel. 993, (76) 8568200

POGOTOWIE WODOCIĄGOWE
tel. (76) 8342131

POGOTOWIE AWARYJNE
tel. 994

URZĄD SKARBOWY
tel. (76) 7272400

SPÓŁDZIELNIA MIESZKANIOWA „NADODRZE”
tel. (76) 8520700, email
sekretariat@smnadodrze.pl

ZAKŁAD GOSPODARKI MIESZKANIOWEJ
tel. (76) 8531102, email
sekretariat@zgm.glogow.pl

PLOTKI

Dorota Gardias

Oferuje gościom zapach siana

Prezenterka stworzyła jakiś czas temu w Chlewiskach na Roztoczu „Gardiasówkę”, czyli gospodarstwo agroturystyczne, w którym można przenocować w otoczeniu natury. W głównym budynku na gości czeka wystrój w stylu boho, a jako udogodnienia wymienione są chociażby sauna, prywatny basen, wanna z hydromasażem czy taras z widokiem na park przyrody. Na miejscu są cztery miejsca do spania: trzy łóżka podwójne i rozkładana sofa. Najem dotyczy minimum dwóch nocy i pod koniec sierpnia chętni będą musieli zapłacić za tę przyjemność 2055 zł. „Przyjedź po zapach siana, szum lasu i bezstreskie chwile, które przypominają najpiękniejsze wakacje z dzieciństwa” – zachęca reklama. Sądząc po opiniach na jednym ze znanych serwisów do rezerwacji noclegów, goście są bardzo zadowoleni z pobytu w gospodarstwie.

Katarzyna Cichopek

W koreańskim pałacu

Celebrytka wybrała się wraz z Maciejem Kurzajewskim do Korei Południowej. Podróż rozpoczęła się w Seulu, gdzie para zwiedzała słynny pałac Gyeongbokgung. To tam turyści mają możliwość przymierzyć tradycyjny koreański strój zwany hanbok, z czego zakochani nie omieszkali skorzystać. „To było coś więcej niż przebranie. Każdy detal stroju, architektura pałacu i niezwykła atmosfera tego miejsca sprawiają, że historia dosłownie ożywa. Spacer po królewskich dziedzińcach w hanbokach pozwala spojrzeć na Koreę z zupełnie innej perspektywy, tej pełnej tradycji, elegancji i szacunku dla przeszłości” – napisała prezenterka na swoim Instagramie. Z kolei jej partner pochwalił się, że odwiedzili słynną dzielnicę handlową Myeong-dong, która jest miejscem pełnym szykownych sklepów i restauracji. wieczoru wsiedli do luksusowego BMW i odjechali w siną dal.

Gra terenowa „Żyrafa w podróży”



Motywy drugiej edycji były podróże międzynarodowe. Na liście znalazły się m.in. Japonia, Hiszpania i Turcja



Partnerzy akcji wspierali uczestników różnymi smakołykami

FOT. CK MOK

REKLAMA 0011564553

rudna
łączy ludzi

WÓJT GMINY RUDNA
59-305 Rudna, Plac Zwycięstwa 15,
woj. dolnośląskie

informuje
o wywieszeniu w siedzibie Urzędu Gminy
wykazów nieruchomości:

nr 147/2026 z dnia 3 sierpnia 2026 r.
w sprawie ogłoszenia wykazów nieruchomości
przeznaczonych do sprzedaży

Wykazy podlegają wywieszeniu do dnia 24 sierpnia 2026 r.

REKLAMA 0011563141

OBWIESZCZENIE
STAROSTY POLKOWICKIEGO
o wydaniu decyzji o zezwoleniu na realizację
inwestycji drogowej:
„Rozbudowa, przebudowa i remont
drogi powiatowej nr 1150D (ul. Bankowa
w Gaworzycach) na odcinku od km 6+414
do km 6+660 – szczegóły w kodzie QR.

REKLAMA 0011459123

ZŁOMOWANIE POJAZDÓW
tel. 600 609 606

Wszystkie formalności załatwiamy na miejscu
Płatność gotówką od ręki
Wydajemy zaświadczenie o demontażu
Odbieramy własnym transportem

Cenimy Twój czas!

Stacja demontażu pojazdów | Czarkowo 16 | 64-125 Poniec

HUMOR

Rozmowa dwóch koleżanek:
– Jeszcze tydzień temu kochałam go! Teraz nie mogę na niego patrzeć!
– Ech ci mężczyźni, tacy niestabilni!

Na bankiecie żona do męża:
– Jesteś pijany!

– Mówiłem ci, kochanie, że pięknie dziś wyglądasz...?
– Nie mówiłeś – uśmiecha się wdzięcznie żona.
– No, to jeszcze nie jestem pijany.

Kowalski pyta Nowaka:
– Dlaczego jesteś taki przygnę-

biony, Marian?
– A bo pokłóciłem się z teściową i przysięgła mi, że przez miesiąc się do mnie nie odezwie.
– No to co w tym złego? Powinieneś to uczcić i świętować!
– To było cztery tygodnie temu i dziś już jest ostatni dzień.

ZAGŁĘBIE MIEDZIOWE 70 LAT TEMU DOSZŁO DO NAJWIĘKSZEGO ODKRYCIA GEOLOGICZNEGO XX WIEKU

Legendarny odwiert Jana Wyżykowskiego odnaleziony w kopalni po 70 latach

Aneta Kolesińska, Ewa Chojna
Legnica

Był niewielki, a jego lokalizacja nie była pewna, mimo to udało się. Górnicy odnaleźli legendarny odwiert w kopalni miedzi, który zapisał się w historii Dolnego Śląska jako ten najważniejszy.

„Znaleźliśmy miejsce, od którego zaczęła się historia polskiej miedzi” – pochwalił się górniczy z ZG Polkowice-Sieroszowice w sieci.

Podczas prac pod ziemią górnicy KGHM natrafili na historyczny otwór badawczy S-1, wykonany w marcu 1957 roku przez zespół Jana Wyżykowskiego – geologa, którego upór doprowadził do jednego z najważniejszych odkryć gospodarczych w historii Polski.

To właśnie wtedy wykonano pierwszy odwiert, który potwierdził występowanie bogatych złóż miedzi i zapoczątkował rozwój Legnicko-Głogowskiego Okręgu Miedziowego oraz powstanie KGHM Polska Miedź S.A. Jan Wyżykowski, wbrew dominującemu 70 lat temu poglądom geologicznym, doprowadził do największego odkrycia geologicznego XX wieku, które nie tylko zmieniło gospodarcze oblicze Dolnego Śląska, ale uczyniło KGHM pierwszym producentem miedzi górniczej w Europie i drugim producentem srebra na świecie – tłumaczy spółka.

Jak przekonują górnicy, odnalezienie odwiertu graniczyło z cudem. Otwory poszukiwawcze, wykonane blisko 70 lat temu, miały niewielką średnicę, a ich rzeczywiste położenie pod ziemią mogło znacząco odbiegać od archiwalnych danych. Trafienie w to miejsce było prawdziwym strzałem w dziesiątkę. Wyrobisko wykonane przez górników przecięło historyczny odwiert, a ten zachował się w zaskakująco dobrym stanie.



Jak przekonują górnicy, odnalezienie odwiertu graniczyło z cudem

Dodatkowo, odkrycie nastąpiło tuż przed 70. rocznicą wykonania odwiertu S-1 oraz w roku jubileuszu 30-lecia połączenia kopalń Polkowice i Sieroszowice, co nadaje mu dodatkowy, symboliczny wymiar.

Jak dodają górnicy, historia odnalezionego odwiertu przypomina, że wielkie przemysłowe sukcesy Dolnego Śląska zaczęły się od odwagi i determinacji jednego człowieka.

Trudne początki poszukiwań

Początki poszukiwań złóż miedzi, surowca tak strategicznego do rozwoju polskiego przemysłu, nie były wcale łatwe. Wyżykowski musiał zmierzyć się z wieloma przeciwnościami losu i nieprzychylną władzą. Grożono mu, zarzucano działalność na szkodę państwa. Ale on się nie poddawał.

Pierwsze prace związane z poszukiwaniem złóż rud

miedzi datują się od końca XIX w. Początkowo uważano, że w tym rejonie kraju nie ma „wielkiej miedzi”. Sceptycy twierdzili, że gdyby była, dawno odkryliby ją Niemcy, którzy przed wojną prowadzili wydobywanie w tzw. Starym Zagłębiu (kopalnie Lena, Konrad i Lubichów).

Wspomnienia z tamtych lat

Byli jednak ludzie, którzy przeciwności i nieprzychylnie opinie mieli za nic. Jednym z nich był prof. Józef Zwierzycy z Uniwersytetu Wrocławskiego. Drugim – Jan Wyżykowski, który na podstawie koncepcji profesora opracował strategię prac poszukiwawczych. W 1957 r. jego upór i starania zostały nagrodzone. Swoją rolę w tym odkryciu miało wielu ludzi, od pracowników naukowych po wierniczych.

- Wszystko się zaczęło we wrześniu w roku 1956, kiedy

jako młody pracownik przedsiębiorstwa geologicznego w Pile przyjechałem do Sieroszowic. Może to była łaka, może jakieś ściernisko. Tam był kołek wbity w ziemię, a na nim napis Sieroszowice IG1. Nie trudno się było domyśleć, że to była lokalizacja otworu, który wyznaczył Wyżykowski. I on stał nad tym kołkiem, stał przed wielką niewiadomą – wspomina Mieczysław Bury, członek załogi wierniczej, która wierciła otwór Sieroszowice IG-1. - Ale udało się. Mile wspominał Sieroszowice i czas tam spędzony. Byliśmy tam prawie rok.

Równie ciepłe wspomnienia o odkrywcy polskiej miedzi ma jego najbliższy współpracownik Andrzej Rydzewski, wówczas początkujący specjalista petrografii (nauki o składzie i właściwościach skał).

- Byłem bardzo zestresowany, trzęsły mi się ręce, gdy wkładałem preparat pod mi-



Wyrobisko wykonane przez górników przecięło historyczny odwiert, który zachował się w dobrym stanie



Jan Wyżykowski razem ze współpracownikami świętował odkrycie rudy miedzi w Sobinie przy S-1

kroskop. To na podstawie mojej opinii miała zostać sporządzona pierwsza informacja o złożu, przekazana do władz Instytutu oraz Centralnego Urzędu Geologii i wspomina dzień 23 marca 1957 roku Andrzej Rydzewski, kiedy to Wyżykowski przywiózł na badania do sto-

licy cztery rdzenie wydobyte podczas wiercen poszukiwawczych z otworu S-1 na głębokości 655,9-658,7 metrów w okolicach Sieroszowic. - Ale kiedy pobiegłem do Jana z informacją o tym, że miał rację, że udało się, i że to wszystko ma wielki sens. byłem spełnionym facetem.

WROCŁAW

Proteza „z hurtowni” przywróciła sprawność pacjentowi z guzem kości

Zanim usłyszał diagnozę, 30-letni pan Mateusz długo borykał się z bólem w łokciu. Tabletki i kremy przeciwbólowe nie pomagały. Dopiero w Wojewódzkim Szpitalu Specjalistycznym przy ul. Kamieńskiego we Wrocławiu dowiedział się, że to nowotwór – guz na kości łokciowej, na dodatek złośliwy, o bardzo dużej agresywności

Monika Fajge

Takiej rekonstrukcji nie przeprowadził dotąd żaden szpital w Polsce ani w Europie. Chirurdzy z Wojewódzkiego Szpitala Specjalistycznego przy ul. Kamieńskiego we Wrocławiu połączyli dwa typy gotowych implantów, by uzupełnić ubytek w kości chorego na nowotwór 30-lata. Pacjent jest już w domu, szpital zaoszczędził czas i pieniądze.

Zanim usłyszał diagnozę, 30-letni pan Mateusz długo borykał się z bólem w nadgarstku. Tabletki i kremy przeciwbólowe nie pomagały. Dopiero w Wojewódzkim Szpitalu Specjalistycznym przy ul. Kamieńskiego we Wrocławiu, gdzie trafił, dowiedział się, że to nowotwór – guz na kości łokciowej, na dodatek złośliwy, o bardzo dużej agresywności.

– Zastanawialiśmy się, co zrobić. Mogliśmy zwrócić się do firmy, która wykonuje takie protezy na zamówienie. Proteza jest „szyta na miarę”, jak garnitur u krawca. To rozwiązanie stosowane powszechnie w onkologii narządu ruchu. Problemem jest jednak czas, bo na taki implant trzeba czekać, i pieniądze. Najtańsza proteza dedykowana to koszt rzędu 15-20 tys. euro. NFZ takie protezy refunduje, ale nie od razu. Szpital musi wyłożyć pieniądze (których zwykle brakuje) i cierpliwie czekać na refundację – tłumaczy dr Adam Domanasiewicz, szef zespołu operacyjnego. Razem z nim pacjenta operowali dr Jacek Martynkiewicz oraz dr Karolina Panasiuk. – Taka jest brutalna prawda. Dobro pacjenta jest najważniejsze, ale ograniczają nas pieniądze, którymi dysponuje szpital – dodaje specjalista.

Chirurdzy brali też pod uwagę wykonanie rekonstrukcji biologicznej kości. Rozważali pobranie fragmentu kości strzałkowej z nogi i „załatanie” nią ubytku w kości łokciowej.

– Kość strzałkowa jest dawcą dla wielu naszych rekonstrukcji. To skomplikowana, co najmniej 6-godzinna operacja. Mówimy o przeszczepie unaczynionym, bo strzałkę wycina się wraz z tętnicą i żyłą – tłumaczy dr Domanasiewicz. – Co więcej, taka rekonstrukcja mikrochirurgiczna jest często dla szpitala



– Włoski chirurg podczas zjazdu mikrochirurgów rzucił pomysł, żeby spróbować wykorzystać protezę komercyjną – mówi dr Domanasiewicz, który kierował zespołem operacyjnym (pierwszy z prawej)

za droga, bo kosztuje znacznie więcej niż szpital dostaje z Narodowego Funduszu Zdrowia – dodaje.

Zamiast implantu na miarę użyli protezy „z hurtowni”

Rozwiązanie przyszło niespodziewanie, podczas zjazdu mikrochirurgów w Pradze, w którym uczestniczył dr Domanasiewicz.

– Włoski chirurg, przyjaciel naszego Towarzystwa Chirurgii Rekonstrukcyjnej, rzucił pomysł, żeby spróbować wykorzystać protezę ko-

mercijną. Od razu zacząłem przeglądać katalogi i tak natrafiłem na firmę z Niemiec, która oferowała dwa typy protez: jedną dedykowaną do zmian zwyrodnieniowych, czyli zużycia stawów, i drugą wykorzystywaną do przypadków pourazowych, złamań – wyjaśnia chirurg.

– Niestety, żadna z tych protez nie pasowała do kości naszego pacjenta, ale okazało się, że pewne ich elementy są podmienialne. Wzięliśmy więc trzon z protezy urazowej,

głowę z protezy zwyrodnieniowej i, kolokwialnie mówiąc, „byliśmy w domu”. Mówiąc jeszcze bardziej obrazowo, to tak jakby wziąć marynarkę z innego zestawu, a spodnie z innego. Na tym polegała innowacyjność tego rozwiązania – dodaje dr Domanasiewicz.

Specjaliści ze szpitala przy ul. Kamieńskiego we Wrocławiu połączyli dwa typy gotowych implantów, by uzupełnić ubytek w kości pana Mateusza. Na protezy czekali kilka dni, szpital zapłacił za nie 10 tys. złotych,

czyli 10-krotnie mniej niż w przypadku protez dedykowanych.

– W Europie nikt dotąd nie użył protezy komercyjnej, tym bardziej kombinacji takich protez do „przypadku onkologicznego”. To pierwsza taka operacja – powiedział podczas konferencji prasowej Christian Leibinger, prezes KLS Martin, firmy produkującej protezy, których użyli chirurdzy z Wrocławia.

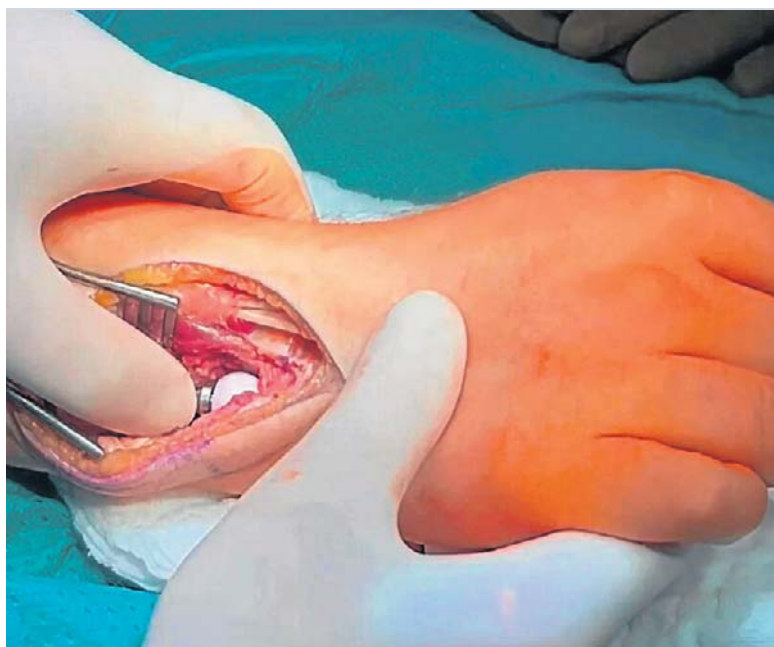
Specjaliści ze szpitala przy ul. Kamieńskiego zapewniają, że proteza komercyjna w niczym nie ustępuje tej „szytej na miarę”.

– Cena protezy komercyjnej wynika z tego, że ona jest robiona serijnie, a tamta, pod konkretnego pacjenta, w jednej sztuce. Obie są z tego samego materiału i nie różnią się niczym, jeśli chodzi o mechanizm działania – tłumaczy dr Domanasiewicz.

Specjalista zapewnia, że jeśli gdzieś potrzeba, szpital będzie korzystał z nowego rozwiązania. To dobra wiadomość dla pacjentów, bo na protezę kończyny nie będą musieli długo czekać.

Operacja pana Mateusza udała się i przebiegła bez problemów. Pacjent czuje się dobrze, może ruszać ręką, został wypisany do domu.

– Sprawność będziemy mogli ocenić za jakieś sześć tygodni, ale to samo dotyczyłoby protezy indywidualnej – kwituje dr Domanasiewicz.



Chirurdzy połączyli dwa typy gotowych implantów, by uzupełnić ubytek w kości chorego na nowotwór 30-lata



Zanim pan Mateusz usłyszał diagnozę, długo borykał się z bólem w łokciu. Tabletki i kremy przeciwbólowe nie pomagały

Jan Ołdakowski: Gdy odejdzie ostatni świadek Powstania Warszawskiego, świat nie będzie już taki sam

– Żyje 225 uczestników Powstania Warszawskiego. To już ostatni aktywni powstańcy. Jest ich coraz mniej, ale przybywa ludzi, którzy traktują kontynuowanie ich misji jako honor i zaszczyt – mówi Jan Ołdakowski, dyrektor Muzeum Powstania Warszawskiego

Anita Czupryń

W ostatni poniedziałek otworzył Pan wystawę o Powstaniu Warszawskim w berlińskim Czerwonym Ratuszu – w mieście, z którego zarządzano machiną niemieckiej okupacji. Jakie znaczenie ma to miejsce?

Dla nas ma znaczenie olbrzymie. Dzięki współpracy z Fundacją Konrada Adenauera i władzami Berlina już po raz trzeci w ciągu kilkunastu lat możemy pokazać w tym mieście wystawę o Powstaniu Warszawskim – wydarzeniu dla nas bardzo ważnym, a właściwie nieznanym Berlińczykom. Kierujemy ją zarówno do zwykłych mieszkańców i turystów, jak i do lokalnych elit. Opowiadamy o naszym dramatycznym losie, który został przesądzony właśnie w Berlinie.

To już ósma prezentacja wystawy w Niemczech. Co przeciętny Niemiec rzeczywiście wie o Powstaniu Warszawskim?

Niewiele. Oczywiście nie uważam, że jedna wystawa może to zmienić, dlatego współpracujemy z innymi instytucjami, między innymi z berlińskim oddziałem Instytutu Pileckiego i Fundacją Konrada Adenauera. Prowadzimy też program dla niemieckich nauczycieli historii – przygotowujemy dla nich wykłady i zajęcia. Wiemy, że wiedza Niemców o II wojnie światowej koncentruje się przede wszystkim na Holokauście.

Czy w takim razie mylą Powstanie Warszawskie z powstaniem w getcie warszawskim?

Oni często w ogóle nie wiedzą, że Powstanie Warszawskie miało miejsce. Dlatego tak ważna jest dla nas współpraca z berlińską Topografią Terroru – instytucją dokumentującą zbrodnie niemieckie podczas II wojny światowej, także te popełnione na Polakach. Są w Berlinie miejsca pamięci, które

opowiadają o wojnie przez estetyczno-filozoficzne doświadczenie i artystyczną metaforę. Topografia Terroru koncentruje się natomiast na dokumentach i faktach.

Niemcy zburzyli Warszawę, zamordowali dziesiątki tysięcy jej mieszkańców, a współczesne pokolenia prawie nic o tym nie wiedzą?

Niestety. Poruszyła mnie kiedyś historia opowiedziana przez profesora Andreasa Nachamę, wieloletniego dyrektora Topografii Terroru. Gdy jako licealista wracał z kolegami ze szkoły, zobaczył wyburzenie starych berlińskich kamienic. Zaciekało go, że robotnicy potrafili składać całe budynki za pomocą niewielkich ładunków wybuchowych. Zapytał jednego ze starszych majstrów, gdzie się tego nauczył. Usłyszał: „W Warszawie”. Wtedy po raz pierwszy pomyślał, że z niemiecką obecnością w Warszawie wiązało się coś, o czym nie wie. Minęły lata i mam wrażenie, że dzisiejsi Niemcy po prostu nie interesują się przeszłością. To w pewnym sensie wygodne, bo w tej historii nie znajdują wartości, które mogłyby ich inspirować – widzą w niej przede wszystkim winę. Naszą rolą jest jednak informować, edukować i przypominać, że ofiarami niemieckich zbrodni byli nie tylko polscy Żydzi, lecz także Polacy. Jedną z przyczyn wybuchu Powstania Warszawskiego był przecież codzienny niemiecki terror wobec mieszkańców miasta.

Co na wystawie może być dla niemieckiego odbiorcy najbardziej wstrząsające?

Obraz zniszczonej Warszawy, który jest powidokiem tego, co dzisiaj Rosja robi we wschodniej Ukrainie.

Czy przez lata zmieniły się reakcje Niemców oglądających tę wystawę?

Dzisiejsi Niemcy nie czują się bezpośrednimi spadkobiercami narodowego socjalizmu ani osobiście odpowiedzialni za tamte

zbrodnie. Ludzie, którzy mieli takie poczucie, byli przedstawicielami starszego pokolenia, spotykanymi przez nas wiele lat temu. Kiedyś oprowadzałem po Muzeum Powstania Warszawskiego Richarda von Weizsäckera. Miałem wrażenie, że ta wizyta ma dla niego wymiar moralny. Nie pominął żadnej informacji. Na końcu spojrzał mi w oczy i powiedział: „Byłem w Hitlerjugend”. W ten sposób dawał do zrozumienia, że bierze na siebie ciężar współodpowiedzialności. Dziś młodzi Niemcy są prawnukami ludzi, którzy dopuścili się tych zbrodni. Nie odczuwają więc bezpośredniej winy, raczej skrupowanie. Rozmawiamy z nimi o wartościach i o tym, co należy zrobić, aby podobna historia się nie powtórzyła. Na poziomie państw oznacza to dzisiaj wspieranie walczącej Ukrainy, ponieważ siłą planującą eksterminację grup społecznych w Europie jest Rosja.

Spotyka się Pan w Niemczech z zastępowaniem słowa „Niemcy” ogólnym określeniem „nazisci”?

Tak, to niestety naturalny mechanizm obronny. Niemieccy politycy zwiedzający muzeum pytają nas czasami, dlaczego na ścianie przedstawiającej rysunki małego sabotażu widnieje szubienica i napis „Deutschland kaput”. Pytają: Dlaczego „Deutschland”?

Co Pan odpowiada?

Że to kopia prawdziwego napisu wykonanego przez młodych chłopów w okupowanej Warszawie, za który można było trafić na Pawiak albo do obozu koncentracyjnego. Oni walczyli wtedy z Niemcami. Nie wiedzieli, że powinni mówić o jakichś „nazistach”. Upływ czasu nie umniejszył potworności tych zbrodni. II wojna światowa pozostaje najstraszniejszym doświadczeniem, jakie nas spotkało. My, Polacy, widzimy w historii także źródło własnej siły i wartości, które nas spajają. Nasz stosunek do totalitaryzmów XX wieku definiuje nas również w XXI

wieku. Poza indywidualnymi przypadkami Polacy jako wspólnota polityczna stali po właściwej stronie. Nie mieliśmy kolaboracyjnego rządu, a instytucje Polskiego Państwa Podziemnego sprzeciwiały się polityce III Rzeszy i Zagładzie w takim zakresie, w jakim było to możliwe w warunkach okupacji i konspiracji. Nie twierdzę, że nie było ludzi wydających Żydów za pieniądze czy donoszących na współobywateli. Na tym także polegała potworność totalitaryzmu, że łamał jednostki i zmuszał je do haniebnych czynów. Jako wspólnota polityczna walczyliśmy jednak przeciwko III Rzeszy.

Wystawę w Berlinie otworzył burmistrz Berlina Kai Wegner, a jej prezentacja zbiega się z 35-leciem partnerstwa Berlina i Warszawy. Czy pamięć o zbrodniach może być fundamentem tego partnerstwa, czy wciąż pozostaje czymś, czego do końca nie przepracowaliśmy?

Życzliwość władz Berlina i ich współpraca z Polską przy przypomnieniu tej trudnej historii pokazują, że przeszłość nie musi być przeszkodą w relacjach, lecz może je dopełniać. Mówimy: to, co Niemcy zrobili podczas II wojny światowej, było straszne. Później jednak Berlin odbudował się ze zniszczeń, odbudowała się także Warszawa i dziś możemy ze sobą rozmawiać. Oba miasta doświadczyły realnego socjalizmu i rozwijały się w bardzo różny sposób. Dzisiaj w ich interesie leży współpraca gospodarcza i ekonomiczna. Partnerstwo Berlina i Warszawy staje się jednym z ważniejszych partnerstw europejskich. Możemy krytykować politykę Niemiec wobec Polski czy wcześniejsze wspieranie putinowskiej Rosji przez handel gazem i ropą, a jednocześnie pozostawać coraz ważniejszymi partnerami gospodarczymi.

W debacie dotyczącej wojny w Ukrainie zestawia się nie-

kiedy Armię Krajową z UPA jako dwie podobne formacje narodowowyzwoleńcze. Dlaczego takie porównanie jest fałszywe?

Jest fałszywe i niesprawiedliwe. UPA miała program czystki etnicznej Ukrainy bez przedstawicieli innych narodowości. Armia Krajowa była natomiast armią Polskiego Państwa Podziemnego, które intelektualnie należało do Zachodu, wspierało demokrację i samoorganizację. Wizją powojennej Polski była przynależność do zachodniej wspólnoty demokratycznej, uwolnienie kraju zarówno od widma internacjonalistycznego komunizmu wymierzonego w polską państwowość, jak i od pozostałości sanacji oraz jej autorytarnych skłonności. Stąd tak duży nacisk na demokrację i procedury. Nie można porównywać armii państwa, którego celem był rozwój demokracji, z formacją, której przyświecało hasło „Ukraina dla Ukraińców”. To absurdalne zestawienie.

Jak rozmawiać z Ukraincami o tych różnicach, żeby nie dostarczać Rosji paliwa do skłócania Polaków i Ukraińców?

Świetny jest pomysł budowy Muru Pamięci z nazwiskami Polaków zamordowanych przez UPA, zgłoszony przez premiera Donalda Tuska. Sam wielokrotnie proponowałem podobne rozwiązanie. Mniej publicystyki, więcej wiedzy. Pokazanie nazwisk ofiar może rozpocząć uczciwą rozmowę o tym, co się wydarzyło. Jeżeli przeprowadzimy projekt badawczy, zweryfikujemy te nazwiska, a następnie wykujemy je w kamieniu, stworzymy miejsce ważne dla tysięcy rodzin. Nigdy nie poznamy nazwisk wszystkich cywilów zamordowanych przez Niemców podczas rzezi Woli i Ochoty, podobnie jak wszystkich ofiar rzezi wołyńskiej. Możemy jednak upamiętnić dziesiątki tysięcy osób, których tożsamość jesteśmy w stanie potwierdzić. Dla wielu rodzin będzie to jedyne miejsce, w którym nazwiska

ich bliskich zostaną zapisane w kamieniu i gdzie będzie można oddać im hołd.

Historie Armii Krajowej i UPA bywają wykorzystywane w doraźnej walce politycznej. Do czego może to doprowadzić?

Chciałbym, aby powstał ten mur – wtedy przestalibyśmy dyskutować wyłącznie za pomocą symboli. Rozumiem, że ambasador Ukrainy może mieć problem z oddaniem hołdu przy pomniku przedstawiającym noworodki nabite na widły. Choć nawiązuje on do faktów historycznych, jest także formą publicystyki. Nie wyobrażam sobie natomiast, aby poważny polityk czy ambasador odwiedzający Polskę nie oddał hołdu przed murem z nazwiskami ofiar rzezi wołyńskiej. To część naszej martyrologii i mamy prawo opowiadać o niej światu. Aż dziwne, że przez tyle lat w tej sprawie wydarzyło się tak niewiele.

Wróćmy do Powstania Warszawskiego. Według najnowszych danych żyje 226 jego uczestników. Czy powstańcy mieszkający za granicą przyjeżdżają na obchody?

Tak. Ze Stanów Zjednoczonych przyjechał profesor Zbigniew Anthony Kruszewski. Jest też w Polsce mieszkający na co dzień w Izraelu 101-letni Stanisław Aronson. Jest chory, ale mamy nadzieję, że się z nim spotkamy. To już ostatni aktywni powstańcy. W obchodach weźmie udział kilkudziesięciu z nich – będzie można do nich podejść i ich posłuchać.

Kiedy spotyka się Pan z powstańcami, o co ich Pan pyta? O co my powinniśmy ich jeszcze zapytać?

O to, co jest w życiu ważne. Oni bardzo wiele doświadczyli, dlatego mówią rzeczy istotne. Są przy tym niezwykle optymistyczni i mają pozytywny przekaz. Warto ich słuchać i spotykać, bo mimo wieku i chorób pozostają ludźmi pełnymi ciepła.

Przez lata byli moralnym kompasem i przewodnikami po własnej historii. Kto przejmie od nich tę rolę?

Na organizowanym w muzeum spotkaniu powstańców z prezydentem Polski i prezydentem Warszawy będą również weterani misji zagranicznych – żołnierze, którzy w wolnej Polsce służyli w Afganistanie czy Iraku, ryzykując życie dla kraju. Przyjedzie ich kilkuset, razem z rodzinami. Będą też harcerze z Polski i zagranicy, kilkuset członków rodzin uczestniczących w programie „Korzenie Pamięci” oraz wolontariusze. Potomkowie



Jan Ołdakowski: My, Polacy, widzimy w historii także źródło własnej siły i wartości, które nas spajają

powstańców deklarują, że udział ich przodków w Powstaniu jest dla nich ważny i w pewien sposób ich definiuje. Wolontariusze z kolei pokazują, że warto bezinteresownie angażować się w istotne inicjatywy. Park Wolności nadal jest więc pełen ludzi. Powstańców jest coraz mniej, ale przybywa ich naśladowców. Emocje nie gasną. Wciąż są osoby, które traktują kontynuowanie misji powstańców jako honor i zaszczyt. Przyjadą między innymi weterani jednostki wojskowej GROM, noszący na mundurach nazwę „Cichociemni”, oraz żołnierze z Lublińca,

odwołujący się do tradycji Batalionu „Zośka”. Świadomie nawiązują do Powstania i jego symboli, czasem noszą na mundurach znak Polski Walczącej. Dzięki współpracy z Centrum Weterana i jego dyrektorką, podpułkownik Katarzyną Rzadkowską, mogą znaleźć tu swoje miejsce. Weterani będą naszymi szczególnymi gośćmi. Harcerze i wolontariusze podejść do nich i podziękują im za służbę. To buduje wspólnotę. Nie pozostawia tych ludzi samych z ich przeżyciami, lecz pokazuje im, że wspólnota jest z nich dumna i pamięta iż wzięli na siebie ciężar wyjazdu

za granicę oraz ryzykowania życia. Niektórzy z ich kolegów i przyjaciół z tych misji nie wrócili.

Jak muzeum przygotowuje się na moment, w którym odejdzie ostatni świadek sierpnia 1944 roku?

Świat nie będzie już dla nas taki sam. Przygotowujemy się jednak, uświadamiając ich kontynuatorom ciężar odpowiedzialności. Temu służy prowadzony od lat program „Korzenie Pamięci” oraz współpraca z Centrum Weterana. Większość weteranów nosiła na mundurach znak Polski Walczącej albo nazwę któregoś z powstańczych oddziałów, dlatego nieprzypadkowo stają się kontynuatorami tej tradycji. Podobnie jest z harcerzami. Wiele drużyn odwołuje się do Szarych Szeregów, bohaterów Powstania i okupacji czy „Kamieni na szaniec”. Powstańcy przekazują pałeczkę pamięci następnym pokoleniom, a my będziemy pilnować, żeby te pokolenia przekazywały ją dalej.

Muzeum zgromadziło ogromne Archiwum Historii Mówionej. Co zrobić, aby te świadectwa nie tylko przechowywać, lecz także nadal ich słuchać?

Naszym zadaniem jest co roku na różne sposoby pokazywać wartość powstańców jako nauczycieli. Tyle mówi się o zagrożeniu wojną i potrzebie odporności społecznej. Powstańcy są jej świetnymi nauczycielami, ponieważ odporność społeczna zależy, najprościej mówiąc, od dwóch rzeczy: stosunku do państwa i jego agend oraz stosunku do sąsiada. Powstańcy uczyli nas szacunku do drugiego człowieka, przyjaźni, relacji, samoorganizacji i wspólnoty. Mówili, że nawet klęska nie jest najstraszniejsza, jeżeli nie damy się podzielić. Najgorsze, co może nas spotkać, to sytuacja, w której wewnętrznego przeciwnika uznajemy za groźniejszego od zewnętrznego wroga. Jeżeli chcemy wzmacniać odporność społeczną, słuchajmy powstańców. Uczą optymistycznego patrzenia w przyszłość, wiary w instytucje państwa oraz przekonania, że zaufanie i przyjaźń pomagają pokonywać przeszkody. Jeśli Polska jest zagrożona wojną hybrydową, której elementem może być na przykład przerwa w dostawie energii, kluczowe okaże się zaufanie do sąsiada – człowieka, od którego możemy pożyczyć sól, z którym możemy wspólnie coś ugotować albo sobie pomóc. W dużym mieście, gdzie mieszka wielu przyjezdnych, a ludzie często się nie znają, powstańcza spuścizna jest potrzebna nawiązywania i zacieśniania relacji. To także sposób naśladowania powstańców.

Hasło tegorocznego Złotu Harcerskiego brzmi „Pamięć zaczyna się w Tobie”. Co się za nim kryje?

Obowiązek przekazywania pamięci. Program rodzin powstańczych nazywa się „Korzenie Pamięci”, ponieważ już starożytni widzieli w drzewie jej symbol: drzewo i pamięć żyją dłużej niż pojedynczy człowiek. Pamięć jest wezwaniem, aby przekazać ją następnym pokoleniom. Jeżeli coś jest dla nas ważne, musimy zadbać, żeby dowiedziały się o tym kolejne generacje rodzin, wychowawców i odwiedzających muzeum. Każde pokolenie ma inną estetykę, wrażliwość i język komunikacji, dlatego stale badamy młodych ludzi. Powstańcy nauczili nas, że najważniejszą grupą są ich rówieśnicy z czasu Powstania: nastolatki i dwudziestolatki. To właśnie z nimi powinniśmy prowadzić dialog i przekazywać im pamięć. Później może być już znacznie trudniej do nich dotrzeć.

Co Pan sam chciałby przede wszystkim ocalić od zapomnienia?

Po pierwsze, rodzinną historię, bo mam w niej kilka powstańczych opowieści. Moja babcia była powstanką, walczył także mój kuzyn. Po drugie, chciałbym ocalić wartości, które są dziś tak potrzebne, choć mogą uchodzić za staromodne: umiejętność współpracy, szacunek, honor, odwagę i tolerancję. Powstańcy przekazali nam kiedyś spis dziesięciu takich wartości. Warto zachować tę receptę na nowoczesnego człowieka: kogoś, kto potrafi rozpoznać ważne sprawy, które należy wspierać, dostrzec zło, któremu trzeba się przeciwstawić, i budować jak najwięcej przyjaźni.

„Warszawiacy śpiewają (nie)zakazane piosenki”, teatr rocznicowy i Masa Powstańcza odbywają się już po raz dwudziesty. Który z tych projektów najbardziej zmienił sposób, w jaki Warszawiacy przeżywają 1 sierpnia?

Wspólne śpiewanie piosenek. Wcześniej tego nie było. Ten projekt zupełnie zmienił obchody, przyciągając nie tylko Warszawiaków – jedną trzecią lub jedną czwartą uczestników stanowią ludzie, którzy specjalnie na to wydarzenie przyjeżdżają do stolicy. To kłamra zamykająca powstańczy dzień. Zaczynamy śpiewać, gdy świeci słońce, pełni wiary, która towarzyszyła powstańcom przekonanym, że zwyciężą. Kończymy po zmroku, w całkowitej ciemności, piosenkami, w których wyrzmiwają rozpacz, smutek i rozczarowanie.

Z takim życiorysem... Wszystkie wojny i powstania doktora Michała Grobelskiego

Był z pokolenia tych, którym życie reżyserowała Wielka Historia. Urodzony w niewoli, doczekał odrodzenia Polski w 1918 roku. Walka o granice sprawiła, że poszedł ratować życie i zdrowie wielkopolskim insurgentom, uczestnikom III Powstania Śląskiego i żołnierzom walczącym z „czerwoną zarazą”. Potem był wrzesień 1939 roku, deportacja z Poznania do GG i Powstanie Warszawskie

Hanka Sowińska

„(...) Gdy ogłoszono kapitulację, postanowiliśmy, że pojedziemy ze szpitalem do obozu jenieckiego. Zgłosiliśmy się do najbliższego punktu opatrunkowego przy ul. Kruczej 12, gdzie komendantem był major dr Michał Grobelski, przed wojną kierownik kliniki ortopedycznej w Poznaniu, po kądzieli ostatni Piastowicz kujawski, pan na Kaczkowie i rodowym Gniewkowie, o czym dowiedziałem się od niego już w obozie” – tak w portalu Towarzystwa Lekarskiego Warszawskiego wspominał pierwsze spotkanie ze znakomitym poznańsko-bydgoskim ortopedą prof. Stanisław Iwankiewicz, ps. Jacek, powstaniec warszawski, specjalista otolaryngolog, rektor Akademii Medycznej we Wrocławiu (lata 70. XX wieku). Obaj w październiku 1944 roku, wraz z setkami chorych i rannych powstańców, trafili do Polskiego Szpitala Wojskowego w Zeithain w Saksonii.

W powstaniach wielkopolskim, śląskim i na froncie bolszewickim

Mjr dr Michał Grobelski urodził się 31 sierpnia 1889 r. w niewielkiej wsi Batkowo na Kujawach; był synem Antoniny z Wieczorków i Antoniego Grobelskich. Nauki pobierał w gimnazjum klasycznym w Inowrocławiu. Podczas szkolnej edukacji należał do Towarzystwa Tomasza Zana; podobno był jego prezesem. Od 1910 roku studiował medycynę we Wrocławiu, Monachium, Lipsku, Wiedniu, Strasburgu i Gryfii. Dyplom lekarski otrzymał w kwietniu 1916 roku.

W armii niemieckiej znalazł się we wrześniu 1914 r. (I wojna światowa wybuchła 28 lipca). Jako poddany pruski podzielił los tysięcy Polaków z trzech zaborów, którzy musieli służyć w armiach nieprzyjacielskich i uczestniczyć w bratobójczych walkach. Do 1918 r. był lekarzem w szpitalu w Inowrocławiu.

W styczniu 1919 r. w stolicy Kujaw Zachodnich włączył się do powstania wielkopolskiego, organizując stację pomocy medycznej w hotelu „Pod Lwem”.



Powstańcza fotografia dr. Michała Grobelskiego



Oddział sanitarny w ogarniętej powstaniem Warszawie

Nie wiadomo, kiedy po raz pierwszy zeszły się drogi dr. Grobelskiego i dr. Ireneusza Wierzejskiego, guru polskiej ortopedii, późniejszego profesora Uniwersytetu Poznańskiego, senatora II RP. Kiedy wybuchło powstanie wielkopolskie, Wierzejski był dyrektorem Zakładu Ortopedycznego im. Bronisława Saturnina Gąsiorowskiego w Poznaniu. W grudniu 1918 r. wstąpił jako ochotnik do wojsk powstańczych i został naczelnym chirurgiem w Głównym Szpitalu Fortecznym przy ul. Libelta. Od stycznia 1919 r. był naczelnym lekarzem powstania

i organizował służbę medyczną w całej Wielkopolsce. Grobelski został jego zastępcą w marcu 1919 r.

Gdy już się wydawało, że pokój w odrodzonej RP zapanował, ruszyli bolszewicy. Latem 1920 r. do walki zmobilizowano tysiące ochotników. Potrzebni byli nie tylko bitni żołnierze, ale także lekarze, pielęgniarki – słowem, ogromna służba medyczno-sanitarna. W jej szeregach znalazł się dr Grobelski. Od lipca 1920 r. był zastępcą szefa służby sanitarnej 1. Armii Wojska Polskiego, we wrześniu znalazł się w 4. Armii na froncie bolszewickim.

Walki z oddziałami Tuchaczewskiego, Budionnego czy Jegorowa i zwycięstwo nad bolszewikami nie zamknęły etapu walki o granice: w nocy z 2 na 3 maja 1921 r. wybuchło III Powstanie Śląskie. Początkowo dr Grobelski pozostawał w dyspozycji departamentu sanitarnego Ministerstwa Spraw Wojskowych. W stopniu kapitana był oficerem łącznikowym z Naczelną Komendą Wojsk Powstańczych w Szopienicach oraz szefem Etapu Sanitarnego Górnego Śląska. Biografowie podkreślają, że „odegrał wybitną rolę w sanitariacie powstańczym, kierował ewakuacją rannych i chorych na teren państwa polskiego”.

W 1922 r. został przeniesiony do rezerwy (awansował do stopnia majora). Zamieszkał w Poznaniu (ostatni adres to ul. Gąsiorowskich 7). Od 1 sierpnia 1921 r. był asystentem w Zakładzie Ortopedii im. Gąsiorowskiego, od 1930 r. jego dyrektorem i lekarzem naczelnym (po przedwczesnej śmierci prof. Wierzejskiego). W 1923 r. został adiunktem pierwszej w kraju Kliniki Ortopedii w Poznaniu.

Dwa lata wcześniej (10 listopada 1928 r.) w Poznaniu powstało Polskie Towarzystwo Ortopedyczne, przemianowane wkrótce na Polskie Towarzystwo Ortopedyczne i Traumatologiczne. Pod aktem podpisy złożyli: Ireneusz Wierzejski, Michał Grobelski, Henryk Cetkowski, Franciszek Raszeja i Wiktor Dega. Tuż po polskiej ortopedii!

Był też Grobelski członkiem redakcji kilku pism naukowych, w tym „Chirurgii Narządów Ruchu i Ortopedii Polskiej” oraz „Polskiego Przeglądu Chirurgicznego”, członkiem zarządu Związku Lekarzy w Poznaniu.

Powstaniec warszawski

Dzień przed agresją Niemiec na Polskę obchodził 50. urodziny. Nadal czynny zawodowo, został zmobilizowany jako komendant szpitala polowego nr 703.

– Wujek mógł być także jedną z tysięcy ofiar zbrodni katyńskiej, gdyby nie posłuchał rady rosyjskiego lekarza – mówiła w 2025 r. Anna Gil, krewna dr. Grobelskiego.

Po zakończeniu walk we wrześniu 1939 r. powrócił do Poznania. Nie na długo. Wszechwładny Arthur Greiser, namiestnik III Rzeszy w Kraju Warty i „wzorcowy nazista”, nadgorliwie realizował politykę wysiedleńczą (ponad 320 tysięcy osób). Jej ofiarą padł również dr Grobelski. Uciekając z Wielko-

polski, trafił do Warszawy, wstąpił do Armii Krajowej, został „Doktorem Zygmunt” i ordynatorem w Szpitalu Ujazdowskim. Niezwyczajna to była placówka. Podczas okupacji niemieckiej personel ratował życie rannym i chorym poszukiwanym przez gestapo. To w tej lecznicy ukrywano osoby pochodzenia żydowskiego, prowadzono również tajne nauczanie studentów medycyny, szkolono kadry sanitarne AK. Szpital Ujazdowski częstokroć nazywany był „Rzeczpospolitą Ujazdowską”.

Po wybuchu powstania (1 sierpnia 1944 r.) Grobelski był w oddziale „Bakcyła” – Sanitariat Okręgu Warszawskiego AK. Pracował też w Szpitalu Polowym na ul. Wspólnej 27, następnie w Szpitalu Polowym na Śniadeckich 17. Był również komendantem punktu opatrunkowego przy ul. Kruczej 12.

Po upadku powstania, jak tysiące bojowników AK, poszedł do niewoli niemieckiej – trafił do Szpitala Jeńców AK Zeithain. Do Polski wrócił latem 1945 r. Jak tłumaczył, dopiero wtedy nadawali się do transportu chorzy i ranni koledzy powstańcy, których leczył w obozowym szpitalu. Zamiast Poznania wybrał Bydgoszcz, gdzie w 1937 r. oddział ortopedii w szpitalu na Bielawkach zakładał słynny dr Wiktor Dega.

Dr n. med. Aleksander Świtoński w artykule „Zanim powstała klinika” („Primum non nocere” nr 9/2002) napisał: „W ciężkich warunkach powojennych w zniszczonym wnętrzu budynku Szpitala Miejskiego zaczął dr med. Michał Grobelski od nowa i z wielkim wysiłkiem organizować oddział ortopedyczny. W 1945 r. oddział dysponował 55 łózkami. Jako jedyny wówczas w naszym regionie chirurg ortopeda spotkał się tutaj z dużą liczbą chorych z pourazowym, ropnym zapaleniem kości i szpiku kostnego, z gruźlicą kostno-stawową, z wadami wrodzonymi niedostatecznie lub w ogóle nieleczonymi. Dzięki wielkiemu autorytetowi, umiejętności współpracy z ludźmi i niespożytej energii przezwycięzał piętrzące się trudności (...)”.

Ortopedią w dzisiejszym „Juraszu” kierował nieprzerwanie do 1959 r. W latach 1951-1967 pracował także w Wojewódzkiej Przychodni Przeciwegruźliczej.

Mjr dr Michał Grobelski zmarł 6 stycznia 1971 roku w Bydgoszczy (dlaczego w wielu internetowych publikacjach podawany jest 26 stycznia jako dzień jego śmierci?).

©

WATYKAN

– W losach Odyseusza odnajduję pytania o sens istnienia, odwagę wyruszenia w nieznane oraz drogę człowieka ku Bogu
– mówił papież Franciszek podczas podróży apostolskiej do Grecji w 2021 roku

Papież i „Odyseja”: podróż w poszukiwaniu sensu

Homerycka „Odyseja”, która zainspirowała nowy film Christophera Nolana, jest dla papieża przede wszystkim metaforą ludzkiego życia – pisze watykańska agencja Vatican News

Karol Darmoros, Amedeo Lomonaco
Vatican News

W encyklice „Fides et ratio” Jan Paweł II wskazywał, że już w poematach Homera pojawiają się fundamentalne pytania: kim jestem, skąd przychodzę i dokąd zmierzam? „Wspólnym źródłem tych pytań jest potrzeba sensu, którą człowiek od początku bardzo mocno odczuwa w swoim sercu: od odpowiedzi na te pytania zależy bowiem, jaki kierunek winien nadać własnemu życiu” – pisał.

Benedykt XVI w 2012 roku przypomniał z kolei, że słowo „ewangelia” ma długą historię i pojawia się już w „Odysei”. Oznacza tam „zapowiedź zwycięstwa, a zatem zapowiedź dobra, radości i szczęścia”. Później występuje również u Deutero-Izajasza jako głos oznajmujący, że Bóg nie zapomniał o swoim ludzie.

Nie zatrzymywać poszukiwań

Do Odyseusza nawiązał także Paweł VI. Podczas audiencji generalnej 7 grudnia 1966 r. przestrzegał, że pewność wiary nie może prowadzić do duchowej bierności.

„Czy Odyseusz, pragnący – jak pisał Dante – poznać świat, ludzkie wady i cnoty, nie jest większy od spokojnej Penelopy?” – pytał. Podkreślał, że wiara powinna pobudzać człowieka do dalszego poszukiwania i zgłębiania prawdy.

Odwaga wyruszenia w drogę

Do homeryckiego poematu nawiązał Franciszek podczas podróży apostolskiej do Grecji w 2021 roku. – Podróż przez wzburzone morze, jak uczy nas wielka opowieść Homera, jest często jedyną drogą

– podkreślił. – W losach Odyseusza i Telemacha odnajduję pytania o sens istnienia, odwagę wyruszenia w nieznane oraz drogę człowieka ku Bogu. Ocalenie znajduje się na otwartym morzu mówił papież Franciszek podczas podróży apostolskiej do Grecji w 2021 roku.

Papież przypomniał też postać Telemacha, który zachęcony do odwagi wyruszył na poszukiwanie ojca. Jego decyzję odniósł do młodych poszukujących przyszłości oraz migrantów, którzy mimo lęku podążają za marzeniami.

– Sensem życia nie jest siedzenie na plaży i czekanie na wiatr, który przyniesie coś nowego. Ocalenie znajduje się na otwartym morzu, w energii, w poszukiwaniu, w pogoni za marzeniami, tymi prawdziwymi, marzeniami otwartych oczu, oznaczającymi ciężką pracę, walkę, przeciwne wiatry, nieprzewidziane sztormy – tłumaczył Franciszek.

Dwa obrazy podróży: Wszyscy jesteśmy migrantami

Do metafory drogi nawiązuje również Leon XIV. Podczas audiencji generalnej 31 grudnia 2025 r. mówił: Całe nasze życie jest pielgrzymowaniem, którego ostateczny cel wykracza poza przestrzeń i czas, aby wypełnić się w spotkaniu z Bogiem oraz w pełnej i wiecznej komunii z Nim.

Kilka miesięcy później, podczas czerwcowego spotkania z migrantami na Teneryfie, papież podkreślił: Wszyscy w pewien sposób jesteśmy migrantami, wszyscy jesteśmy pielgrzymami w drodze do niebieskiej ojczyzny.

Leon XIV wezwał, aby wspólnie czynić tę podróż „bardziej ludzką dla wszystkich”, wnosząc to, co każdy z nas może ofiarować.



Pogryzienie i co dalej? Ekspertka: W Polsce często nie dzieje się nic

Pogryzienie 2,5-letniego chłopczyka w Łomży ponownie uruchomiło dyskusję o bezpieczeństwie i odpowiedzialności właścicieli psów. Dlaczego – zdaniem Justyny Oleś-Bernackiej z akcji Stop Agresji Psów – polskie przepisy bardziej chronią agresywne zwierzęta niż ich ofiary? Rozmawiamy o lukach w prawie, odpowiedzialności właścicieli, predyspozycjach ras i rozwiązaniach, które od lat funkcjonują w innych krajach Europy

Martyna Jurkowska

Po dramatycznym pogryzieniu 2,5-letniego chłopca w Łomży wiele osób mówi, że takich tragedii nie da się uniknąć. Pani uważa inaczej.

Uważam, że można im w dużej mierze zapobiegać. Oczywiście nie wyeliminujemy wszystkich przypadków, bo zawsze mogą zdarzyć się sytuacje nieprzewidywalne. Ale między całkowitą bezradnością a skuteczną prewencją jest ogromna przestrzeń, której w Polsce po prostu nie wykorzystujemy. W wielu krajach Europy Zachodniej czy w Niemczech funkcjonują rozwiązania, które sprawiają, że właściciel psa bierze znacznie większą odpowiedzialność za swoje zwierzę. To nie jest kwestia jednego przepisu, ale całego systemu.

Jakiego rodzaju rozwiązania ma pani na myśli?

Choćby obowiązkowe ubezpieczenie od szkód wyrządzonych przez psa. W Polsce właściwie się o tym nie mówi, a to byłoby jedno z najbardziej skutecznych narzędzi. Sam obowiązek wykupienia polisy sprawia, że część osób dwa razy zastanowi się nad wyborem psa, zwłaszcza jeśli składka dla niektórych ras byłaby znacznie wyższa. Drugim elementem są realne sankcje finansowe. Dzisiaj właściciel psa, który dopuści do pogryzienia człowieka, często kończy z mandatem wynoszącym kilkaset złotych. Trudno uznać to za karę, która kogokolwiek odstrasza. Za granicą mówimy o karach liczonych w tysiącach euro. To już zupełnie inna skala odpowiedzialności.

W przypadku pogryzienia w Łomży zwracano uwagę, że pies był na smyczy i miał kaganiec.

Tak i to od razu zwróciło moją uwagę. Oczywiście nie wiemy, dlaczego miał kaganiec. Być może nie dlatego, że wcześniej przejawiał agresję, tylko dlatego, że miał zwyyczaj zjadania różnych rzeczy podczas spacerów. Nie chciała-

bym tu niczego przesądzać. Natomiast sam fakt, że pies był na smyczy i w kagańcu, pokazuje jedno – nawet zastosowanie podstawowych środków ostrożności nie zawsze zapobiega tragedii. Dlatego potrzebny jest system, który działa także wtedy, gdy do takiego zdarzenia już dojdzie.

No właśnie. Co dzieje się w Polsce po poważnym pogryzieniu człowieka przez psa?

I tu dochodzimy do sedna problemu. Bardzo często nie dzieje się praktycznie nic. To zdanie szokuje ludzi najbardziej, ale niestety odpowiada rzeczywistości.

Naprawdę nic?

Nie ma jasnych procedur, które nakazywałyby automatyczne działanie. Nie ma przepisu mówiącego, że po każdym poważnym pogryzieniu pies musi zostać odebrany właścicielowi albo choćby skierowany na obowiązkową obserwację. Mam oficjalne stanowisko Inspekcji Weterynaryjnej, z którego wynika, że po pogryzieniu pies powinien zostać poddany obserwacji. Problem polega na tym, że przepisy nie określają tego w sposób jednoznaczny. W praktyce raz pies trafia na obserwację, a innym razem nie. To zależy od decyzji konkretnych służb.

Od czego zależy taka decyzja?

Trudno powiedzieć, bo nie ma jasnych kryteriów. Zdarza się, że policja kontaktuje się z sanepidem i zapada decyzja o skierowaniu psa na obserwację. Innym razem uznaje się, że nie ma takiej potrzeby. Nie ma przepisu, który mówiłby wprost: każde pogryzienie oznacza obowiązkową obserwację weterynaryjną. To powoduje, że podobne sprawy są traktowane różnie.

A co właściwie sprawdza się podczas takiej obserwacji?

I tu pojawia się kolejny problem. Wiele osób jest przekonanych, że obserwacja ma ocenić, czy pies jest agresywny. Tymcza-



Justyna Oleś-Bernacka z akcji Stop Agresji Psów od lat zabiega o zmiany w przepisach dotyczących odpowiedzialności właścicieli niebezpiecznych psów

sem ona służy wyłącznie wykluczeniu wścieklizny. Lekarz weterynarii nie ocenia zachowania psa. Nie bada, czy zwierzę stanowi zagrożenie. Nie wydaje opinii, czy pies powinien zostać właścicielowi odebrany. Nawet gdyby pies zachowywał się podczas obserwacji bardzo agresywnie, nie miałoby to znaczenia dla samej procedury. Co więcej, taka obserwacja może odbywać się... w domu właściciela. I to dla wielu osób jest kompletnie niezrozumiałe. Weterynarz po prostu odwiedza psa w określonych terminach i sprawdza, czy nie pojawiły się objawy wścieklizny. Pies nie musi być odizolowany. Nie trafia automatycznie do żadnej specjalistycznej placówki. Nie jest oceniany przez behawiorystę. Cała procedura dotyczy wyłącznie choroby zakaźnej, a nie bezpieczeństwa ludzi.

Czyli problemem nie jest to, że przepisy są źle stosowane, tylko że ich po prostu nie ma?

Dokładnie. Często słyszę, że służby zareagowały niewłaściwie. Ja patrzę na to inaczej. One bardzo często nie mają narzędzi, żeby zareagować. Nie istnieje przepis pozwalający odebrać właścicielowi psa tylko dlatego, że to zwierzę ciężko pogryzło człowieka. Nie ma podstawy prawnej do takiego działania. Dlatego mówię, że w Polsce problem nie polega na nieskutecznym reagowaniu. Problem polega na tym, że państwo stworzyło system, który w wielu przypadkach w ogóle nie pozwala skutecznie zareagować.

To oznacza, że nawet po bardzo poważnym pogryzieniu właściciel może wrócić z psem do domu?

Tak. I właśnie dlatego od lat apelujemy o zmianę przepisów. Bo pierwszym krokiem powinno być stworzenie możliwości czasowego odebrania psa właścicielowi już po poważnym pogryzieniu człowieka. Dzisiaj takich narzędzi po prostu nie ma.

Po każdej tragedii wraca dyskusja o rasach psów. Jedni twierdzą, że problemem jest wyłącznie właściciel, inni wskazują na konkretne rasy. Gdzie leży prawda?

Z prawnego punktu widzenia odpowiedzialność zawsze ponosi właściciel. To jego zwierzę i to on odpowiada za skutki jego zachowania. Nie ma co do tego żadnych wątpliwości. Natomiast nie można udawać, że rasa nie ma żadnego znaczenia. To drugi skrajny pogląd, który również nie ma oparcia w faktach. Chcę wyraźnie podkreślić: nie istnieje coś takiego jak „rasa agresywna”. To określenie jest błędne. Natomiast istnieją predyspozycje rasowe i tego nie da się podważyć.

Co to oznacza w praktyce?

Psy przez dziesiątki, a często setki lat były hodowane do wykonywania określonych zadań. Jedne miały pilnować, inne polować, jeszcze inne walczyć z innymi zwierzętami. To pozostawiło ślad w ich zachowaniu. To nie znaczy,

że pies danej rasy musi być agresywny. Absolutnie nie. Ale oznacza, że może mieć określone predyspozycje, które odpowiedzialny właściciel powinien znać i brać pod uwagę. Nie możemy udawać, że wszystkie rasy różnią się wyłącznie wyglądem.

Mówi pani, że potwierdzają to statystyki.

Tak. I właśnie dlatego od lat apeluję, żeby dyskutować na podstawie danych, a nie emocji. Jeżeli przeanalizujemy przypadki śmiertelnych lub najcięższych pogryzień w Polsce, Europie czy Stanach Zjednoczonych, zobaczymy, że zdecydowana większość dotyczy stosunkowo niewielkiej grupy ras oraz psów w ich typie. W ramach akcji Stop Agresji Psów monitorujemy wszystkie medialne informacje o pogryzieniach. Oczywiście pojawiają się tam różne rasy, ale trend pozostaje bardzo podobny. Statystyki dostępne w Europie o śmiertelnych pogryzieniach wskazują jasno, że psy w typie ras niebezpiecznych oraz psy w typie ras obronnych takie jak owczarki niemieckie, belgijskie, cane corso odpowiadają za zdecydowaną większość wszystkich zdarzeń. W Polsce zaś w przypadkach najpoważniejszych pogryzień za sporą ilość odpowiadają owczarki niemieckie oraz coraz częściej owczarki belgijskie, są to rasy obronne, popularne w Polsce, często używane do pilnowania posesji. Niestety ze względu na brak zaspokojenia potrzeb socjalizacyjnych, nudę i frustrację oraz silny instynkt terytorialny tego typu psy po opuszczeniu niezabezpieczonej posesji mogą stanowić śmiertelne zagrożenie dla przypadkowych osób, o tym fakcie ostrzegają biegli sądowi ds. zwierząt. Dodam jeszcze, że bulterier nie jest rasą uznaną za niebezpieczną w Polsce, wiele krajów posiadających listę ras niebezpiecznych uwzględniło tę rasę na niej. W Polsce w 2024 roku bulterier zagryzł domownika, 7-tygodniową dziewczynkę, z którą był oswojony, atak był nagły i niesprowokowany. To są fakty, o których trudno rozmawiać, ale nie można ich ignorować.

Wiele osób odpowiada wtedy: „To kwestia wychowania”.

Wychowanie ma ogromne znaczenie, ale nie zastąpi biologii. Chart będzie miał instynkt pogoni niezależnie od tego, jak dobrze zostanie wychowany. Terier nadal będzie wykazywał zachowania charakterystyczne dla swojej grupy ras. Owczarek nadal będzie miał silne cechy psa użytkowego. To nie jest nic złego. Problem zaczyna się wtedy, kiedy próbujemy wmówić sobie, że wychowanie całkowicie eliminuje naturalne predyspozycje psa. Takie podejście prowadzi do lekceważenia zagrożeń.

Mówi pani, że największym problemem są jednak przepisy.

Zdecydowanie. Najbardziej szokujący jest dla mnie paradoks obowiązującego prawa. Jeżeli istnieje podejrzenie, że właściciel znęca się nad psem, organizacja prozwierzęca może – przy udziale policji – szybko odebrać mu zwierzę. Natomiast jeśli ten sam pies ciężko pogryzie człowieka, przepisy nie przewidują podobnego rozwiązania. To pokazuje ogromną lukę w systemie.

Czyli człowieka chronimy słabiej niż zwierzę?

W praktyce właśnie tak to wygląda. Nie mówię tego po to, żeby przeciwstawiać ludzi zwierzętom. Uważam, że zwierzęta powinny być chronione. Ale nie rozumiem sytuacji, w której państwo stworzyło bardzo skuteczne mechanizmy ochrony psa przed człowiekiem, a jednocześnie praktycznie nie stworzyło mechanizmów chroniących człowieka przed niebezpiecznym psem. To jest paradoks, który wymaga pilnej zmiany.

Zaskakujące jest to, co powiedziała pani o możliwości uśpienia psa.

To rzeczywiście jedna z najmniej znanych kwestii. W 2005 roku z ustawy o ochronie zwierząt usunięto przepis pozwalający na uśmiercenie psa wyłącznie z powodu jego niebezpiecznej agresji. Dzisiaj psa można pozbawić życia tylko wtedy, kiedy trwa bezpośredni atak i trzeba ratować życie człowieka. Jeżeli atak już się zakończył, nawet jeśli wcześniej doszło do śmiertelnego pogryzienia, przepisy nie przewidują takiej możliwości.

Nawet jeśli behawiorysta uzna, że zwierzę nadal stanowi zagrożenie?

Nawet wtedy. To właśnie budzi największe emocje. Może się zdarzyć, że biegły oceni psa jako bardzo niebezpiecznego, ale z punktu widzenia prawa nie będzie to



Nie istnieje coś takiego jak „rasa agresywna”. Natomiast istnieją predyspozycje rasowe i tego nie da się podważyć. Psy przez dziesiątki, a często setki lat były hodowane do wykonywania określonych zadań. Jedne miały pilnować, inne polować, jeszcze inne walczyć z innymi zwierzętami. To pozostawiło ślad w ich zachowaniu – wskazuje Justyna Oleś-Bernacka

miało znaczenia. W efekcie takie psy trafiają do fundacji, schronisk, a czasami pozostają u właścicieli. Nie istnieje również żaden ogólnopolski rejestr psów odpowiedzialnych za najcięższe pogryzienia.

Jakie rozwiązania powinny zostać wprowadzone jako pierwsze?

Nie zaczynałabym od wielkiej reformy. Najpierw wprowadziłabym kilka podstawowych zmian. Po pierwsze – znacząco podniosłabym kary finansowe za dopuszczenie do pogryzienia człowieka. Dzisiaj właściciel często ryzykuje mandat, który nie robi na nikim większego wrażenia. Po drugie – umożliwiłabym czasowe odebranie psa już po pierwszym poważnym pogryzieniu. Jeżeli okaże się, że zwierzę rzeczywiście stanowi zagrożenie, powinno istnieć narzędzie pozwalające odebrać je właścicielowi na stałe. To nie jest rewolucja. To naprawdę można wprowadzić stosunkowo szybko, dopisując kilka przepisów do obowiązujących ustaw.

Rozmawia pani o tym z politykami?

Tak. Rozmawiałam zarówno z przedstawicielami Prawa i Sprawiedliwości, jak i Koalicji Obywatelskiej. Powstały projekty zmian. Jeden z nich miał możliwość opiniować. Cieszę się, że temat w ogóle pojawił się w debacie publicznej. Jednocześnie trudno mi zrozumieć, dlaczego kolejne miesiące mijają, dochodzi do następnych tragedii, a przepisy nadal się nie zmieniają. Mam wrażenie, że wszyscy zgadzają się, iż problem istnieje, ale brakuje determinacji,

by doprowadzić sprawę do końca. Dlatego uważam, że potrzebna jest presja społeczna i medialna. Bez niej kolejne projekty mogą przez długi czas pozostawać tylko na papierze.

Mówi pani, że Polska jest pod tym względem wyjątkiem. Jak wyglądają przepisy w innych państwach?

Nie twierdzę, że gdziekolwiek stworzono system idealny, ale wiele krajów od dawna stosuje rozwiązania, których u nas po prostu nie ma. Przykładem są Niemcy czy Austria. Tam po pogryzieniu człowieka lub innego zwierzęcia pies może zostać skierowany na obowiązkowe testy behawioralne. Specjaliści oceniają, czy zwierzę stanowi zagrożenie i jakie środki bezpieczeństwa należy zastosować. Jeżeli właściciel nie przestrzega nałożonych obowiązków, może stracić psa. To sprawia, że nie traktuje takich decyzji jak pustego zalecenia.

Wspominała pani także o obowiązkowym ubezpieczeniu.

Tak. Uważam, że to jedno z najlepszych rozwiązań. W Niemczech właściciele psów mają obowiązek posiadania ubezpieczenia od szkód wyrządzonych przez zwierzę. Wysokość składki zależy między innymi od miejsca zamieszkania czy poziomu ryzyka. W dużych miastach, takich jak Berlin, jest ona wyższa, bo większe jest zagrożenie ludzi. To rozwiązanie ma dwie zalety. Po pierwsze, zwiększa odpowiedzialność właściciela. Po drugie, daje realną pomoc ofierze. Jeżeli ktoś zostanie

poważnie pogryziony i wymaga kosztownego leczenia czy operacji plastycznych, pieniądze są dostępne od razu z polisy. Nie trzeba przez wiele lat prowadzić procesu cywilnego i zastanawiać się, czy sprawca w ogóle będzie w stanie wypłacić odszkodowanie.

Po takich zdarzeniach, jak to z Łomży, wielu rodziców zaczyna bać się o bezpieczeństwo swoich dzieci. Co chciałaby im pani powiedzieć?

Przede wszystkim, żeby nie bagatelizowali zagrożenia. Nie chodzi o to, żeby bać się każdego psa, ale żeby nie zakładać z góry, że właściciel zawsze panuje nad swoim zwierzęciem. Rzeczywistość pokazuje, że niestety nie zawsze tak jest. Jeżeli widzimy dużego psa, warto zachować ostrożność, nawet jeśli wygląda spokojnie. To nie jest panika, tylko zdrowy rozsądek.

Dużo kontrowersji budzi również obecność psów na placach zabaw...

To kolejny przykład luki w prawie. W Polsce nie istnieje ustawowy zakaz wprowadzania psów na place zabaw. Co więcej, sądy kwestionowały już uchwały gmin, które próbowały takie zakazy wprowadzać. Uznawano, że samorządy nie mają odpowiednich kompetencji. Efekt jest taki, że nawet miejsca przeznaczone wyłącznie dla dzieci nie zawsze są wolne od zwierząt. A przecież małe dzieci biegają, krzyczą, gwałtownie się poruszają. To może pobudzać u psa naturalne instynkty, których nie da się całkowicie wyeliminować.

wać. Dlatego uważam, że ustawodawca powinien jednoznacznie dać samorządom możliwość wprowadzania takich ograniczeń.

Czy w ogóle wiadomo, jak duży jest problem pogryzień w Polsce?

Właśnie nie. I to też jest częścią problemu. Nie każde pogryzienie jest zgłaszane. Nie wszystkie przypadki trafiają do sanepidu. Nie istnieje jeden kompletny system zbierania danych. Dlatego tak naprawdę nie wiemy, jaka jest rzeczywista skala zjawiska. Mam przekonanie, że jest znacznie większa, niż wynika z oficjalnych statystyk. Coraz więcej takich historii pojawia się natomiast w mediach społecznościowych. Ludzie opisują pogryzienia swoje albo swoich zwierząt. Często okazuje się, że właściciel psa po prostu odchodzi z miejsca zdarzenia i praktycznie nie ponosi żadnych konsekwencji. To również wymaga zmian.

Od początku naszej rozmowy wraca jeden motyw – odpowiedzialność. Ma pani wrażenie, że dziś za mało o niej rozmawiamy?

Zdecydowanie. Mam wrażenie, że cała dyskusja została przesunięta w stronę tego, jak powinien zachować się człowiek, kiedy atakuje go pies. Słyszymy o „pozycji żółwia”, o tym, jak chronić twarz, jak nie prowokować zwierzęcia. To oczywiście może być potrzebna wiedza. Ale dlaczego niemal nie mówi się o obowiązkach właścicieli? Dlaczego nie prowadzi się kampanii pokazujących, że duży, silny pies powinien być prowadzony przez osobę, która jest w stanie nad nim fizycznie zapanować? Dlaczego nie przypomina się, że właściciel odpowiada za bezpieczeństwo innych ludzi? Mam wrażenie, że zbyt łatwo zaakceptowaliśmy pogryzienia jako coś, co po prostu się zdarza.

Na koniec – gdyby mogła pani wprowadzić tylko jedną zmianę w prawie, od czego by pani zaczęła?

Od stworzenia możliwości natychmiastowego, tymczasowego odebrania psa po poważnym pogryzieniu człowieka. To powinno być podstawowe narzędzie państwa. To nie oznacza automatycznego odbierania zwierzęcia na zawsze. Chodzi o to, żeby państwo miało możliwość zareagowania. Dziś bardzo często jej po prostu nie ma. A dopóki tego nie zmienimy, będziemy wracać do tych samych dramatycznych historii po każdym kolejnym pogryzieniu. I za każdym razem zadawać sobie to samo pytanie: czy naprawdę musiało do tego dojść?

Patricia Kazadi: Nie mam łatwej drogi, ale jestem za nią wdzięczna

Wraz z premierą piosenki „Na wietrze” otwiera nowy rozdział swojej wokalne kariery. Nam Patricia Kazadi wyjaśnia, czy bycie uznaną prezenterką pomaga w świecie muzyki. A przy okazji zdradza, jak można zdobyć jej serce

Paweł Gzyl

„Na wietrze” ukazuje się w środku wakacji i kandyduje do miana przeboju lata. Piosenka ma przyjemną melodię, ale tekst jest zaskakująco poważny. Skąd pomysł na takie zestawienie?

Lubię takie połączenia, kiedy wszystko nie jest oczywiste. Naturalnie wynika to z potrzeby serca. Ten utwór przyszedł do mnie w takim momencie, kiedy go bardzo potrzebowałam. Był dla mnie swego rodzaju formą terapii.

Co to oznacza?

Chyba wszyscy zmierzamy do tego, żeby żyło nam się lepiej i żebyśmy byli bardziej spokojni i poukładani. Piosenka z tak unoszącą melodią sprzyja temu. Wstajesz rano, masz gorszy czas, włączasz sobie „Na wietrze” i masz siłę, żeby zrobić poranny bieg, pojechać do pracy czy nastawić się pozytywnie na nowy dzień. Gdyby był tutaj ciężki temat i depresyjna aranżacja, to nie byłby do końca mój przekaz. Co nie znaczy, że na moim nowym albumie nie pojawią się ballady o pokładach emocjonalnych, które nie służą uniesieniu. „Na wietrze” miał jednak być pokrzepiającym utworem. Często jesteśmy dla siebie największymi krytykami. Dla rodziny czy przyjaciół potrafimy być empatyczni, ale dla siebie niekoniecznie. A czasem powinniśmy sobie odpuścić i o tym też jest ta piosenka.

Utwór ten opowiada o utracie bliskiej osoby. Kiedy jej już z nami nie ma, niespodziewanie okazuje się, że pamiętamy tylko dobre chwile, a te złe ulatują „na wietrze”. Doświadczyłaś tego?

Taki jest mój przekaz. Na początku w żałobie skupiamy się na negatywnych emocjach. Cierpimy i zadajemy sobie pytania w rodzaju: „Dlaczego to się stało?” albo: „Dlaczego dotknęło to akurat mnie?”. Pojawia się dużo żalu i niezrozumienia. To naturalny etap. Ale potem przychodzi czas na odpuszczenie i pocieszenie. I właśnie „Na wietrze” opowiada o tym okresie: kiedy próbujemy sobie nasze życie



Patricia Kazadi: Moje teksty wchodzą w serducho, bo mówię o rzeczach prawdziwych

poukładać na nowo. Tak było u mnie: w maju zmarł niespodziewanie mój dziadek. Początkowo nie mogłam się pogodzić z tym, że to stało się już teraz i tak nagle. Ale później przyszły dobre wspomnienia, choćby jak dziadek po raz pierwszy w życiu zobaczył śnieg. Postanowiłam skupić się na nich i je w sobie pielęgnować. To pomogło mi znaleźć pocieszenie.

Napisanie tego utworu pomogło Ci pogodzić się z losem. Czy to znaczy, że tworzenie i wykonywanie muzyki ma dla Ciebie terapeutyczną moc?

Absolutnie! Granie na fortepianie i śpiewanie było dla mnie

od dziecka najczystsza i najpełniejszą formą wyrażania emocji. Dużo łatwiej jest mi przelać coś na papier czy przełożyć na nuty niż wyzalić się komuś czy pogadać z kimś szczerze. Szczególnie często działa się tak, kiedy byłam młodsza. Teraz mam zaufane grono bliskich i sprawdzonych ludzi, co do których wiem, że o każdej porze mogę do nich zadzwonić, ale nadal nie jest to mój pierwotny instynkt. „Nie chcę kogoś obarczać moimi problemami. Poradzę sobie sama” – myślę najczęściej. A pianino od zawsze było i jest moim ukochanym powiernikiem, który odpowiada mi muzyką.

Jesteś też wydawcą tego utworu pod szyldem Kazadi

Music Ent. Co sprawia, że stawiasz teraz na pełną niezależność?

Przede wszystkim wsparcie moich słuchaczy. To, ile otrzymałam od nich motywacji i miłości, kiedy wrzucałam do internetu covery, sprawiło, że uświadomiłam sobie, iż ci ludzie tam naprawdę są. Zaskoczyło mnie to bardzo pozytywnie, bo nie spodziewałam się aż tak ciepłego odbioru. Jestem zań bardzo wdzięczna. Teraz komentarze pod teledyskiem też mówią same za siebie. Dlatego na tym etapie kariery postanowiłam sama być swoim wydawcą. Na ten moment to najlepsze rozwiązanie. A w przyszłości? Zobaczymy.

Co przez to uzyskujesz?

Niezależność, pełną swobodę i... dużo siwych włosów (śmiech).

Źle wspominasz współpracę z dużym koncertem?

Nie. Przez ponad dekadę byłam związana z Warnerem i jego wkład w moje dotychczas największe hity był nieoceniony – nigdy o tym nie zapomnę. Większość z ludzi tam pracujących jest mi ogromnie bliska. Niemniej wypełniłam swój kontrakt i poczułam, że to idealny moment na zmianę i odświeżenie mojego mindsetu.

Powszechnie jesteś postrzegana przede wszystkim jako telewizyjna osobowość. Dlaczego nie odpuszczasz jednak i ciągle tworzysz nowe piosenki?

Powiem ci szczerze: był taki moment, że myślałam, iż już nie wrócę do muzyki. To program „Must Be The Music” sprawił, że muzyka wróciła u mnie na tapet. W social mediach pojawiła się fala komentarzy w stylu: „Gdzie jest twoja muzyka?” czy: „A kiedy ty?”. To był początek. To sprawiło, że zaczęłam nagrywać i wrzucać covery do internetu. Również z uczestnikami tego programu. To wszystko dzieje się absolutnie naturalnie i pozwalam na taki bieg wydarzeń. Nie walczę z materia, podążam za nią. Czuję, że opublikowałam „Na wietrze” we właściwym czasie. Robię to na spokojnie, nie wywieram na sobie presji, nie narzucam żadnych oczekiwań. Po prostu robię to, co kocham, z ludźmi, których kocham, i którzy są mi też bardzo życzliwi. I to کمکuje. Mój nauczyciel powiedział mi kiedyś, że potrzebuję, aby ktoś popodlegał mi korzenie i oczyścił z kurzu liście, bo wtedy będę pięknie kwitła. I wydaje mi się, że to jest właśnie ten etap.

Co sprawiło, że myślałaś, iż nie wrócisz już do śpiewania?

No wiesz, to nie jest łatwy zawód, szczególnie gdy ci bardzo zależy. A ja wkładałam w to dużo serca. Kiedy nie ma się właściwej grupy wsparcia i jesteś w tym wszystkim sam, to łatwo się podłamać, bo nie wszystko idzie tak jakbyś sobie wy-

marzył. Ja nie mam łatwej drogi, ale jestem za nią wdzięczna, bo tak po prostu miało być. Już nie roztrząsam tego. Kiedyś, gdybyśmy o tym rozmawiali, to mówiłabym z pozycji rozgoryczenia, a teraz patrzę na to inaczej. Wierzę, że miałam taką drogę przejść, aby mieć teraz więcej do przekazania. Dziś moje teksty wchodzą w serducho, bo mówię o rzeczach prawdziwych. I mam nadzieję, że to słychać i czuć.

Zaczynałaś śpiewać jako nastolatka pod pseudonimem Trish, występując ze stołecznymi raperami i jazzmanami. To były ważne doświadczenia?

Oczywiście! To był świetny czas totalnej bez troski i zająwki. Wszystko wychodziło z czystej pasji do muzyki, nie było żadnych kalkulacji, wyników, wyświetleń, kliknięć. Byłam nikomu nieznaną dziewczuszką, która miała duży głos i chciała się realizować na muzycznym polu bez jakichkolwiek oczekiwań i presji. I ta bez troska była najfajniejsza. Teraz jestem już na innym etapie, który jednak też jest fascynujący i ekscytujący. Kiedy wrzuciłam „Na wietrze” do internetu, dedykując go wszystkim osobom, które mierzą się ze stratą, otrzymałam mnóstwo wiadomości pełnych wdzięczności. „Ta piosenka idealnie opisuje to, co czuję po śmierci moich rodziców. Ten utwór pomaga mi wstać z łóżka” – napisał ktoś. Takie słowa sprawiają, że czuję, iż to, co robię, ma sens.

Zadebiutowałaś w 2013 roku płytą „Trip”, którą zainspirowała Twoja podróż do Indonezji. Byłaś z tego albumu zadowolona?

Bardzo. To było spełnienie moich marzeń. Bardzo konsekwentnie dążyłam do tego kontraktu płytowego z dużą wytwórnią i wydawnictwem, które mogłam trzymać w dłoni. Pracowałam na to bardzo ciężko przez wiele lat. Ponad dekadę odbijałam się od ściany i słyszałam „nie”. Wyzaczyłam jednak azymut osiągnęłam cel, który sobie zamierzyłam, byłam więc z tego bardzo dumna. Uważam, że ta płyta jest rewelacyjna i często do niej wracam.

Nagrywałaś ten album w Warszawie, Poznaniu, Los Angeles, Paryżu i Zurychu. Czułaś się jak prawdziwa gwiazda?

(Śmiech) Gwiazda? Każdy kto mnie zna wie, że to nie są moje klimaty. Czułam oczywiście, że spełniam swoje marzenia, bo wszystkie nagrania były na wysokim poziomie. Pracowałam we wspaniałych studiach z najlepszymi producentami na świecie. Było to bardzo

onieśmielające, ale na pewno nie myślałam, że jestem gwiazdą. Nie po to wchodziłam do tego biznesu.

Za sprawą piosenek „Wanna Feel You Now” i „Live A Little” odniosłaś sukces w ojczyźnie Twego taty – w Kongo. Byłaś z tego dumna?

Bardzo. Za wideo do tego drugiego utworu dostałam nagrodę za najlepszy teledysk w Kongo. Lubię na nią patrzeć. Podczas ceremonii wręczania wystąpiłam z Papa Wembą – wielką gwiazdą muzyki etno. Było to dla mnie ogromne przeżycie.

Cieszyłaś się tymi sukcesami?

Teraz się nimi cieszę. Wtedy czułam niedosyt. Zamiast cieszyć się tym, co osiągnęłam, to myślałam o tym, czego nie mam. To mi nie służyło i postanowiłam się z tego wyleczyć. O tym jest trochę też „Na wietrze”: że trzeba się odciąć od negatywnych myśli, które ciągle do nas przychodzą z każdej strony. Jest ciepły wieczór, stoję na przystanku, czekam na taksówkę, a przede mną billboard z moim zdjęciem. Cała Polska jest nimi obwieszona. To dla mnie ogromny zaszczyt. I chcę siebie za to docenić, a nie zastanawiać się nad tym, co mi nie wyszło, lub nad tym, czego nie zdążyłam zrobić. „Na wietrze” pięknie się niesie. O tym muszę nauczyć się myśleć, a nie ciągle więcej, więcej i więcej. Bo to więcej będzie zawsze w naszej głowie. A kiedy się zatrzymamy i będziemy po prostu szczęśliwi?

Czasem miałaś też realne problemy – choćby z drugą płytą „Dark Pop” z 2015 roku. Nie mogłaś jej wydać i ostatecznie wrzuciłaś ją za darmo do internetu. To podcięło Ci skrzydła?

Tak. To był właśnie jeden z tych momentów, kiedy myślałam, żeby się poddać i już tego nie robić. To był poważny strzał w twarz. Bardzo zawiódł mnie wtedy drugi człowiek. Przyjaciel, z którym robiłam tę płytę, w pewnym momencie pokazał, że pieniądze są dla niego ważniejsze niż nasza praca i pasja do muzyki. Po prostu zablokował mi dwa utwory, a ja nie chciałam wydać płyty bez nich, bo uważałam, że tworzą z resztą spójną całość. W efekcie „Dark Pop” nie ukazał się oficjalnie, a uważam, że to jak na razie moje najlepsze dzieło.

No właśnie: ta płyta była bardziej odważna od debiutu. Co Ci dało odwagę do melodycznych i produkcyjnych eksperymentów?

To był kolejny etap mojego dojrzewania. Chciałam pokazać się

z bardziej zadziornej strony. Wyrósłam przecież na muzyce rockowej, choć kocham pop i odnajduję się na komercyjnym rynku. Moja druga płyta była skretem w undergroundową, mrocznie brzmiącą stronę. Co ciekawe, wyprzedzała trochę ówczesne trendy. Dopiero potem wyszły albumy Rihanny, Demi Lovato czy Billie Eilish z produkcją w podobnym klimacie. Szkoda, że tak się stało, ale widocznie taka miała być moja droga. Dziś wracam do tych rockowych korzeni w stylu lat 90. I myślę, że słuchaczom też to sładzie.

Potej aferze z „Dark Popem” wycofałaś się z muzyki na cztery lata: nie występowałaś, nie śpiewałaś, nie komponowałaś. Jak sobie bez tego wszystkiego radziłaś?

Co ci mogę powiedzieć: byłam bardzo nieszczęśliwa, zagubiona i smutna. Zastanawiałam się, jaki jest sens tego wszystkiego, co robię. Dlatego dzisiaj mam dla wszystkich jedno przesłanie: róbcie to, co kochacie! Jeśli ktoś kocha ogrodnictwo, to powinien zrezygnować z lukratywnej pracy prawnika. Wiadomo – zarobki będą inne, ale poczucie szczęścia nieporównywalne. Życie jest bardzo krótkie i żyjemy w trudnych czasach. Lepiej więc spędzić dzień, jedząc chleb z masłem i nie stołując się w drogiej restauracji, a robiąc to, co się kocha.

Co dało Ci siłę, aby przełamać ten impas?

Ludzie. Ci, którzy pytali się, gdzie jestem. Ci, którzy pisali, że tęsknią za mną w muzyce. To mnie zmotywowało: że jest dla kogo to wszystko robić.

Piosenki, które stworzyłaś po tej przerwie, jak „Ganesh”, „Natural” czy „Ona”, spotkały się z ciepłym przyjęciem i wiele młodych kobiet odnalazło w nich siebie. To dlatego, że nie boisz się poruszać trudnych tematów?

Myślę, że tak. Jestem w swoich piosenkach zawsze bardzo prawdziwa, bo śpiewam o tym, co przeżyłam i doświadczyłam. Wydawało mi się początkowo, że jestem w stanie stłamsić w sobie tę pasję i miłość do muzyki. Ale kiedy szłam na jakiś koncert, byłam na jakimś festiwalu czy widziałam na scenie muzyków, to tak straszliwie płakałam, że aż pękało mi serce. Że też tak chcę. To było moje największe marzenie, nie miałam żadnego ważniejszego. Jeśli miałabym wybrać, czy chcę do końca życia śpiewać w małym klubie jazzowym, czy być gwiazdą telewizji, to oczywiście zdecydowałabym się na to pierwsze. Ten wybór dziś byłby dla mnie bardzo prosty.

Ostatnio oglądamy Cię jako współprowadzącą „Must Be The Music”. Praca na planie tego programu wzmogła Twój apetyt na śpiewanie?

Nie praca na planie, ale to, że ludzie upomnieli się o moją muzykę. Bo dziś oddzielam grubą kreską swoją pracę w telewizji od śpiewania. Oczywiście bardzo się cieszę, że widzowie tak dobrze przyjęli powrót „Must Be The Music”, że mamy tak dobrą oglądalność i kolejną edycję przed nami. Ale muzyka to moje życie prywatne: moja pasja, moje serce, moje wszystko. Dlatego szłam do „Must Be The Music” bez myśli o śpiewaniu, tylko z zamiarem współprowadzenia programu muzycznego, który bardzo lubię. Dlatego pytania widzów o moje śpiewanie bardzo mnie zaskoczyły. Początkowo myślałam tylko: „O, to bardzo miłe”, ale potem uznałam, że skoro ktoś na to czeka, to może warto ponownie spróbować. Stało się to więc bardzo naturalnie.

To, że jesteś znana z telewizji, pomaga Ci funkcjonować na scenie muzycznej?

Absolutnie nie – wręcz odwrotnie. I tak to zostawmy. Nie chciałabym wchodzić w szczegóły, bo o pewnych rzeczach po prostu się nie mówi. Ale mnie to nie zraża. Cierpliwością, pokorą i ciężką pracą dojdę do miejsca, w którym jest mi pisane być.

Twoim zadaniem w „Must Be The Music” jest wspieranie uczestników programu. I świetnie sobie z tym radzisz. Masz w sobie naturalną empatię?

Dziękuję ci szczerze za ten komplement. Doceniam to bardzo. Czy naturalną? No raczej, bo jaką? (Śmiech) Nie udaję tam niczego, taka po prostu jestem. To chyba widać – nie zmuszam się przecież do płaczu na wizji. Jestem wrażliwa i empatyczna. Wyniosłam to z domu, moja mama też taka jest. Tak zostałam wychowana, żeby być dobrym człowiekiem dla innych, i staram się każdego dnia być najlepszą wersją siebie. Bardzo mnie cieszy, że mogę komuś pomóc zarówno w moich działaniach społecznych, jak i we wspieraniu początkujących artystów. W naszym programie nie ma żadnych ograniczeń wiekowych, każdy może przyjść i cieszyć się muzyką. To jest w nim najpiękniejsze.

W ostatnich latach mówiłaś dużo o trudnych chwilach w swoim życiu. Tymczasem teraz świetnie wyglądasz i tryskasz pozytywną energią. Co sprawiło tę odmianę?

Na pewno ta przerwa, którą sobie zrobiłam. To był czas, który wykorzystałam na poukładanie sobie życia i priorytetów. Dziś pracuję na higienicznych zasadach, staram się, żeby było więcej odpoczynku. Kiedy czuję się zajęta i rozdrażniona, mówię wtedy głośno: „Hej, zaczyna być źle, dajmy sobie dwa dni resetu”. I wtedy mam czas, żeby się wyspać, iść do kina czy spotkać się z przyjaciółmi. Niech ten mózg odpocznie, bo to, co robimy, to duża presja i odpowiedzialność. Jestem bardzo wrażliwa. Może gdybym miała inny charakter, to też inaczej by to szło, a tak musiałam się sobie po prostu nauczyć. Poza tym dojrzałam, jestem już prawie 30 lat w branży, wypada więc ogarniać swoje plusy i minusy.

A jak dbasz o zdrowie fizyczne?

Jestem na diecie przeciwzapalnej. Staram się nie jeść po godzinie 18, co się u mnie bardzo sprawdza. Chociaż ostatnio czytałam, że nie jest to dla kobiet do końca zdrowe. Jestem aktywna, zazwyczaj chodzę 10 tysięcy kroków dziennie. I u mnie to działa: kiedy nie robię tego przez kilka dni, spada mi energia, nic mi się nie chce, mam słabszy nastrój. Ruch jest więc potrzebny i polecam go każdemu.

W jednym z ostatnich wywiadów powiedziałaś: „Jestem sama cztery lata i nigdy nie byłam szczęśliwsza”.

Ten stan nadal trwa? (Śmiech) Tak. Nadal jestem bardzo spokojna i szczęśliwa.

Jak można zdobyć Twoje serce?

Poczuciem humoru. Pewnością siebie, ale nie mylić tego z byciem bucem. Chodzi o to, by ktoś cię nie blokował czy nie próbował zgasić twego światła, bo sam nie jest pogodzony ze sobą. Fajnie by było, gdy taki facet miał też dobrą relację ze swymi bliskimi – żeby szanował swoje otoczenie, bo ta energia zawsze do nas wraca. Czyli generalnie, żeby był życzliwym i dobrym człowiekiem.

Ponoć dwa razy byłaś bliska ślubu. Co się nie udało?

Właśnie wszystko się udało i dlatego nie stanęłam na ślubnym kobiercu. Gdyby to się wydarzyło, byłabym dzisiaj bardzo nieszczęśliwą osobą.

A chciałabyś kiedyś powiedzieć sakramentalne „tak” odpowiedniej osobie?

Według pewnej wróżby podobno poznam w tym roku swego przyszłego męża.

To trzymamy kciuki!

(Śmiech) Nie dziękuję!

Nowe życie kościołów. Od dyskoteki przez sklepy i muzea po spa

Dawny kościół w Wielkądzu kiedyś znany był w całym kraju za sprawą legendarnej dyskoteki „Rink Weis”. Potem stał pusty. W lipcu zabytek sprzedano i ma powstać w nim spa. Czy dziś kogoś to jeszcze oburza? W Polsce i Europie przybywa zdesakralizowanych kościołów, które zyskują nowe życie

Małgorzata Oberlan

399 tysięcy złotych – za taką ceną wystawiony był na sprzedaż zabytkowy budynek dawnego kościoła ewangelickiego w Wielkądzu. To mała wieś w gminie Płużnica, w powiecie wąbrzeskim (Kujawsko-Pomorskie). W latach 90. i na początku XXI wieku była na ustach połowy Polski właśnie za sprawą tej świątyni. Działała tu budząca kontrowersje dyskoteka „Rink Weis”, znana z zapasów w kisieli i szaleństw do białego rana.

– Wielkądź to legenda, moje dziecko, kilkanaście lat mojego życia. Do dziś ludzie wspominają nasze imprezy; słyszę to regularnie. Życzę temu miejscu wszystkiego najlepszego, bo czemu miałbym żyć źle? Mam swój sukces biznesowy w Kwidzynie, jestem szczęśliwym człowiekiem, ale jak usłyszałem, że teraz ten kościół pod spa sprzedano, to za bardzo mi się to nie podoba. Chyba z wiekiem człowiekowi myślenie się zmienia – mówi nam dziś Sławomir Weisner, który ćwierć wieku temu sam szokował, prowadząc wspomnianą dyskotekę w dawnym kościele.

Prawda, że historia bywa przewrotna?

Odnowa biologiczna w kościele. Entuzjazm czy „spa na kościach”?

Na początku lipca toruńskie biuro Sowa Nieruchomości pochwaliło się, że kościół sprzedano. Personaliów nowego właściciela na razie nie ujawnia. Zapowiada jednak, że ten stworzy w dawnej świątyni kameralne spa, co „z pewnością spotka się z entuzjazmem lokalnej społeczności”, jak wierzy pośrednik Nikodem Woźniak.

– Nie wiem, czy z entuzjazmem, ale jestem przekonany, że wizja stworzenia takiego spa w pustym i zaniedbanym od lat dawnym kościele nie wzbudzi już żadnych kontrowersji. Ani wśród lokalnej społeczności Wielkądza, ani w gminie. Na pewno sytuacji nie można porównywać do lat 90. i działania w tym kościele dyskoteki „Rink Weis”. Inne czasy, inna rzeczywistość, inny profil biznesu. Jako gmina stawiająca teraz także na roz-



W 1889 r. urządzono w Wielkądzu nową parafię ewangelicką: poświęcono fundamenty, wzniesiono kościół. Po wojnie opuszczona świątynia wykorzystywana była m.in. jako magazyn zbożowy



Przez lata trwały starania, by kościół sprzedać. Teraz się udało – pochwaliło się w lipcu toruńskie biuro Sowa Nieruchomości. Nowy właściciel planuje otworzyć tutaj spa

wój turystyki możemy tylko zyskać – uważa Leszek Kawski, zastępca wójta Płużnicy.

Tak idealnie z tą społeczną akceptacją chyba jednak nie jest. „Lokalne media z niespotykanym entuzjazmem donoszą o sprzedaży dawnego kościoła ewangelickiego w Wielkądzu (gm. Płużnica, pow. wąbrzeski). O dyskotekach i zapasach w kisieli wspominają z wypiekami na twarzy, ale o tym, że przynależny do sprzedanej działki zadrzewiony teren zielony to dawny ewangelicki cmentarz parafialny za-

łożony w 1901 roku to już nie warto wspominać. Jeśli nowemu właścicielowi uda się zrealizować swoje zamierzenia, to będzie tam spa na kościach” – komentuje na swoim fanpage’u Stowarzyszenie Lapidaria, zajmujące się zapomnianymi cmentarzami Kujaw i Pomorza.

Kościół gmina sprzedała w latach 90. XX wieku. „Zapłatą był używany radiowóz z Niemiec”

Historia kościoła w Wielkądzu to z jednej strony historia wsi i gminy,

ale też barwna historii kapitalizmu lat 90. Oczywiście to także historia ludzi związanych z tym miejscem – prowadzącego przez lata dyskotekę biznesmena Sławomira Weisnera, ale i Leszka Kawskiego także.

– Tak się składa, że na początku lat 90., gdy gmina kościół sprzedawała, byłem wójtem Płużnicy. Do dziś pamiętam niektóre okoliczności, które po latach mogą wydawać się dość niewiarygodne – wspomina Kawski.

Historia samej wsi sięga przynajmniej 1222 roku – wtedy w przywi-

leju łowickim Konrad Mazowiecki nadał Wielkądź biskupowi Chryścianowi. Rok później papież Honoriusz III potwierdził to nadanie. Przez wieki wieś przechodziła najróżniejsze koleje losu. W 1889 r. urządzono w Wielkądzu nową parafię ewangelicką: poświęcono fundamenty, wzniesiono kościół. W roku 1900 natomiast poświęcono ewangelicki cmentarz. Tu warto wspomnieć, że w 1921 roku wieś liczyła 499 mieszkańców – 169 Polaków i 330 Niemców. Parafia ewangelicka obejmowała wsie: Wielkądź, Błędowo, Dąbrówka, Goryń, Józefkowo, Płachawy.

Po wojnie opuszczona świątynia wykorzystywana była m.in. jako magazyn zbożowy. A sprzedana została pewnemu biznesmenowi z Niemiec na początku lat 90. Dyskoteka „Rink Weis” otwarta została w roku 1993.

– Kościół jako gmina najpierw skomunalizowaliśmy, wcześniej pytając ewangelików i inne wyznania, czy nie roszczą sobie do niego praw. Opcja sprzedaży budynku biznesmenowi z Niemiec rozpałała we wsi apetyty na zysk. Decyzji o sprzedaży nie podejmowałem samodzielnie – zarząd gminy był pięcioosobowy. Pamiętam, że niektórzy z zarządu liczyli na jakieś milionowe czy wielotysięczne zyski. Tymczasem zainteresowany kupiec sprawę postawił tak: on inwestuje w remont i adaptację, stworzy tu „coś ładnego” i płaci symbolicznie. Inaczej gotów był się wycofać – wspomina Leszek Kawski.

Ostatecznie stanęło na tym, że gotów już zrezygnować biznesmen dał się przekonać do „położenia na stół kilku tysięcy złotych”, ale i obiecał załatwić... niemiecki, używany samochód dla policji w Płużnicy.

– To był początek lat 90. Samjechałem do Kolonii odebrać ten pojazd. Samochód był używany, ale nieporównywalny z innymi wówczas radiowozami w naszym kraju. Policja w Płużnicy była chyba pierwszą w kraju z zachodnim autem na stanie – śmieje się obecny zastępca wójta gminy.

Sławomir Weisner natomiast zdradza dziś jeszcze więcej. – To nie był tak naprawdę żaden wielki biz-

nesmen. Pan Rink był w Kolonii kościelnym. W kupionym kościele wcale nie planował założyć dyskoteki. Pierwotny plan jednak mu nie wypalił i wtedy pojawiłem się ja, z pomysłem na rozrywkę. Tak właśnie powstał lokal „Rink Weis”, stąd ta nazwa – mówi.

Dyskoteka. Ksiądz poświęcił, VIP-y przyszły, a rolnicy zarabiali na parkingu

Nowy właściciel kościoła w dużej mierze własnymi rękoma remontował kościół. Miejscowi pamiętają choćby, jak „siedział na dachu i robił”. Leszek Kawski zapewnia natomiast, że władze gminy nie wiedziały na początku, że planuje w dawnej świątyni otworzyć dyskotekę. Sądziły, że zapowiadane „coś ładnego” będzie siedzibą firmy lub czymś podobnym.

No, a potem bomba wybuchła. We wspomnianym 1993 roku otwarta została dyskoteka „Rink Weis”. Jej prowadzenie powierzono Sławomirowi Weisnerowi – wówczas młodemu przedsiębiorcy z raczkującej branży rozrywkowej. Dziś – człowiekowi, który z sukcesem prowadzi Centrum Konferencyjno-Bankietowe w Kwidzynie (wcześniej miał tutaj dyskotekę, podobnie jak w Wielkądzu).

– Na początku aż tak wielkich kontrowersji nie było. Ksiądz z Płużnicy nawet poświęcił lokal przed otwarciem. Tak się złożyło, że był wtedy u nas postępowy kapłan, po misjach w Norwegii. Mówił, że Pismo święte każe się ludziom także radować i bawić – wspomina Leszek Kawski.

Na otwarcie dyskoteki przybyły zaproszone lokalne VIP-y. Kawski także: – Nie za bardzo wiedzieliśmy, jak się w takiej sytuacji i miejscu zachować. Zabawnie nieco było.

Potem lokal zyskiwał na popularności. Imprez i gości – także z coraz odleglejszych stron – przybywało do Wielkądza coraz więcej. Biznes się kręcił.

– Zarabiali także miejscowi i byli zadowoleni. Tak więc z tym oburzeniem i kontrowersjami w tamtych czasach wśród lokalnej społeczności nie było do końca tak, jak dziś niektórzy opowiadają. Rolnicy



FOT. ALICJA PIOTROWSKA/ARCHIWUM POLSKA PRESS

Kościół w Wielkądzu zyskał rozgłos w całym kraju w latach 90. za sprawą legendarnej dyskoteki „Rink Weis”. Były ty zapasy w kisielu i tańce do białego rana, a goście zjeżdżali się tu bawić nawet z dalekich stron

na przykład szybko zorientowali się, że mogą zarobić na miejscach parkingowych dla gości dyskoteki, na polu – zauważa Leszek Kawski.

Disco, zapasy w kisielu, wybory mistera mokrych majteczek... I wycieczki dziennikarzy

Dyskoteka „Rink Weis” przyciągała gości z okolicy, ale i Grudziądza, Torunia, Bydgoszczy, a także znacznie dalszych regionów. Zapewniała szaleństwa przy muzyce do białego rana, a także atrakcje specjalne. Te legendarne, które przeszły już do historii, to przede wszystkim słynne zapasy w kisielu (także kobiet).

Miejsce chętnie odwiedzali też dziennikarze, by relacjonować od środka, co to się w Wielkądzu wyprawia. Nasza gazeta opisywała w 2005 roku, jak na specjalnych podestach „wyginały się zgrabne blondynki, a panowie brali udział w wyborach mistera mokrych majteczek”.

– Na koniec chłopaki ściągają galoty. Wprawdzie są odwrócenie do publiczności tyłem, ale w lustrach i tak wszystko widać. Laski aż piszczą z radości – mówił naszemu reporterowi Adamowi Lukowski ówczesny szef dyskoteki (28.07.2005 rok, Adam Luks „Na koniec chłopaki ściągają galoty”).

Krytyków tego rozrywkowego interesu w dawnym kościele zaczęło przybywać. Starsze pokolenie mieszkańców Wielkądza także do nich należało.

– Co jakiś czas ludzie podnoszą lament, że profanuje się tutaj świętości – mówił wówczas naszemu reporterowi Sławek Weisner. – Młodzież z okolicy zakrada się do nas potajemnie. Żeby tylko rodzice się, broń Boże, nie dowiedzieli. A przecież gdyby nie my, budynek już dawno zamieniłby się w ruinę.

Interesy właścicielowi dyskoteki w Wielkądzu (a miał też inne) nie do końca się jednak udały. „Rink Weis” zamknięto w 2006 r. Poprzedziły to różne wydarzenia, wokół których do dziś krążą legendy: o strzelaniu, porachunkach, długach, a w dyskotecce Sławomira Weisnera w Kwidzynie – włamaniu do sejfu i kradzieży (rok 2003, sprawa opisywana w prasie).

Sławomir Weisner: „Wielkądza nigdy nie zapomnę”

Do szczegółów zamknięcia dyskoteki w Wielkądzu jej były szef, a i potem właściciel wracać dziś za bardzo nie chce. Jego życie kreci się od lat już wokół innego biznesu – Centrum Konferen-

cyjno-Bankietowego „Weis”, które działa w zabytkowych murach.

– Mam sukces w Kwidzynie, jestem szczęśliwym człowiekiem. Ale Wielkądza nigdy nie zapomnę – mówi dziś Weisner. – Zamiłowanie do zabytków też mi zostało. Do dzisiaj śpię w zabytkowej wieży.

Jak piszemy na wstępie, o sprzedaży wielkądzkiego kościoła i planie nowego właściciela przedsiębiorca wie. Co ciekawe, sam szokując ćwierć wieku temu prowadzeniem w nim głośnej dyskoteki, dziś wizji spa w dawnej świątyni nie przyklaskuje.

Desakralizowane kościoły w Polsce i Europie. Co budzi kontrowersje?

Historie desakralizowanych kościołów ewangelickich, ale i katolickich od lat budzą zainteresowanie. Stały się też przedmiotem całkiem licznych już badań i opracowań naukowych, o publicystyce nie wspominając.

Wiosną br. głośno było o pewnej świątyni w Holandii, w której powstanie... pływalnia! Mowa o kościele św. Franciszka z Asyżu w Herlen na południu Niderlandów, który zakończył działalność liturgiczną w 2023 roku. Miasto, mając do dyspozycji pusty, ale ikoniczny budynek w centrum, postanowiło nadać mu nową funkcję.

„W konkursie na transformację kościoła zwyciężyły pracownice MVRDV i Zecc Architecten. Projekt, nazwany przewrotnie „Holy Water”, ma za zadanie połączyć szacunek dla dziedzictwa z odważną wizją przyszłości. Dzięki ruchomej niecce możliwe będzie organizowanie w dawnej nawie nie tylko zajęć pływackich, ale też wydarzeń społecznych i kulturalnych. W specjalnym trybie podłoga będzie w stanie unieść się i zalać całą przestrzeń cienką warstwą wody, tworząc w ten sposób efekt lustra. Odbijające się w tafli sklepienia dadzą wrażenie, jakby użytkownicy chodzili po wodzie” – opisuje Karolina Krasny (Murator.plus, 3 kwietnia 2026 r.).

Ta dziennikarka bliżej przyjrzała się także przypadkom polskich desakralizacji., podkreślając, że w krajach takich jak Holandia, Francja czy Niemcy przekształcanie dawnych świątyni i nadawanie im nowych funkcji stało się już normą. Otwieranie w nich muzeów, centrów kulturalnych, ale i sklepów czy innych przedsięwzięć biznesowych nie szokuje. W Polsce jest inaczej – takich przypadków jest zdecydowanie mniej, a wiele budzi skrajne emocje.

Przykładem może być choćby medialna burza, która wybuchła po wystawieniu na sprzedaż dawnego kościoła św. Michała Archanioła w Okrzeszynie w 2023 roku. Pojawiły się wtedy głosy mówiące o „polskiej paranoi” i „chorym systemie”, który zezwala na handel kościołami.

Oczywiście mniej emocji zawsze jest w przypadku tych świątyni czy kaplic, które od lat już nie służą wiernym i lokalnej społeczności. Tak jest choćby w przypadku (okrzykniętego najdroższym w Krakowie) „Apartamentu Królewskiego” w dawnej kaplicy. Udana architektonicznie adaptacja, jak zauważa Krasna, przeszła prawie bez echa – bo społecznych emocji nie budziła.

Przez wielu znawców tematu natomiast chwalona jest w Polsce adaptacja w Sierakowie, gdzie w 2023 roku dawny kościół ewangelicki stał się Muzeum Rybołówstwa Śródlądowego. Wcześniej podobnie Muzeum Rybołówstwa zlokalizowano w Helu – także w zabytkowym, dawnym kościele ewangelickim. ©

Kościół w Wielkądzu – mrzonki i twarda rzeczywistość

Toruńskie biuro Sowa Nieruchomości w lipcu br. doniosło, że po ponad dwóch latach poszukiwań odpowiedniego inwestora sfinalizowało właśnie sprzedaż dawnego budynku kościoła w Wielkądzu.

– Atrakcyjna cena ofertowa na po-

ziomie 399 tysięcy złotych sprawiła, że obiekt przyciągał uwagę inwestorów z całej Polski. Pomysł na zagospodarowanie tej unikalnej przestrzeni były wręcz filmowe. Odbieraliśmy telefony od osób planujących stworzenie tam galerii sztuki, ekskluzywnego garażu dla zabytkowych aut, sali weselnej, klubu czy pensjonatu. Pojawiły się również zapytania o możliwość zaadaptowania budynku na prywatny kościół, a na-

wet arenę do organizacji gal bokserskich i walk w klatce – relacjonował Nikodem Woźniak, koordynator ds. sprzedaży w biurze Sowa Nieruchomości. Ostatecznie jednak, jak zdradził pośrednik, większość entuzjastów zderzyła się z twardą rzeczywistością finansową. Bariery nie była cena zakupu, lecz ogromna kubatura obiektu i potężny budżet niezbędny do przeprowadzenia adaptacji, w tym przede wszystkim

kosztownego remontu dachu. – Finalnie nieruchomość trafiła w dobre ręce. Zamiast ringu czy klubu nocnego nowy inwestor planuje stworzyć w historycznych murach kameralne spa – przekazał Nikodem Woźniak. Natomiast Bartosz Suprun, właściciel biura Sowa Nieruchomości, nie krył, że sprzedaż dawnego kościoła była dla niego niecodziennym momentem w zawodowej karierze. – Zrealizowałem

w swojej karierze ponad 700 transakcji, ale sprzedaż tak wyjątkowego obiektu to zupełnie inna kategoria i niesamowita frajda. Największą satysfakcję daje mi znalezienie odpowiedniego nabywcy z twardym doświadczeniem biznesowym i zapleczem finansowym potrzebnym do realizacji tak złożonej inwestycji. Cieszę się, że ten piękny budynek czeka nowa, świetna przyszłość – podkreślił.

Mateusz: Jestem wdzięczny sądowi, że umieścił mnie w ośrodku wychowawczym, bo tam przejrzałem na oczy

Kiedy po trzech latach wrócił z ośrodka wychowawczego, niegdyś zwanego poprawczakiem, doszedł do wniosku, że te trzy lata to był najszczęśliwszy okres w jego życiu. I ocenić, że przez 15 lat w domu rodzinnym żył w patologii. Poszedł na komendę policji, żeby złożyć zawiadomienie o psychicznym i fizycznym znęcaniu się nad nim i rodzeństwem. Wygarnął straszne rzeczy i wtedy się zaczęło...

Andrzej Płes

Od urodzenia mieszkałem w patologii – przyznaje wprost Nowinom. A matce to wygarnął w doniesieniu – dodaje. Bo ojciec nie trzeźwiał, łął potomstwo (żonę zresztą też) „popijaku”, może nawet nie zdając sobie sprawy z tego, co robi, więc trochę mu wybacza. Ale matka tolerowała to na trzeźwo, świadomie, z premedytacją i tego jej wybaczyć nie może. A że ośmiorgu dzieciom groziła głódka, ubliżała im strasznymi słowami, odbierała zarobione przez nieletnich pieniądze. Przylać też potrafiła i że – zapewnia – dzieci kompletnie jej nie obchodziły – tego Mateusz mamusi wybaczyć nie może. Toteż, kiedy jako 16-latek trafił z wyroku sądu rodzinnego do poprawczaka za handel substancjami niedozwolonymi – przyznaje otwarcie – to jakby trafił do raju.

– Miałem z kim pogadać, wychowawców interesowało, co mówię, tam czułem, że kogoś obchodzę, że komuś jakoś na mnie zależy – opowiada po powrocie, już pełnoletni. – Trafiłem pod opiekę psychologów, pedagogów. Inny świat, w domu była patologia: ojciec pił, znęcał się nad nami i matką, a matka często z tym nic nie robiła, broniła go, zakazała nam komukolwiek o tym mówić. Czasami była gorsza od niego.

Byliśmy poniżani przez matkę

Pokazuje prawie 10 stron notatek, jakie zrobił przed wizytą w komendzie policji: „Chciałem złożyć zawiadomienie o popełnieniu przestępstwa w formie znęcania się na mnie i moim rodzeństwem” – zaczyna się często krwawa historia jego życia.

– Byliśmy poniżani przez matkę słownie, że jesteśmy nieudacznikami, że sobie w życiu nie poradzimy, wyzywała nas od sk...synów, k...rw, bękartów, bachorów – wylicza w „ściągawce” dla policji. – Gdy byliśmy nastoletni i mogliśmy dorabiać, wszystkie pieniądze były nam zabierane, kiedy próbowaliśmy się sprzeciwić, byliśmy wyzywani

od niewdzięcznych sk...synów, które powinny już dawno wyzdychać i najlepiej, żebyśmy się w ogóle nie urodzili.

Mateuszowi lat 19, do dziś na wspomnienie tego, czego doświadczył w dzieciństwie, zdarza się uronić łzę. Co tam łzę, otwarcie przyznaje, że niedawno siadł na ławce, zalała go fala wspomnień i się rozplakał.

Mówi, że on i brat dorabiali najczęściej na budowach i nie na smartfona, ale na jedzenie i z głodu. Za prochy też chwycił się z głodu i dla rodzeństwa.

– Jestem wdzięczny sądowi, że umieścił mnie w ośrodku wychowawczym, bo tam przejrzałem na oczy i zrozumiałem, że chronienie matki i zatajanie prawdy przed wszystkimi... – ciągnie zwierzenia na piśmie.

Z chronieniem było tak – opowiada – że kiedy przychodziła pani z Miejsko-Gminnego Ośrodka Pomocy Społecznej w Strzyżowie (dzisiaj – Centrum Usług Społecznych) z kontrolną wizytą, to matka zamykała dzieci w jednym pokoju, instruując wcześniej, że „morda w kubel” i wszystko w domu jest cacy, bo jak nie, to zreć nie dostaną. I „morda w kubel” była przez lata. Bo rodzina od ponad dekady była pod opieką socjalną, od zawsze w mieszkaniu komunalnym albo socjalnym, za każdym razem dwupokojowym, w jednym matka i ojciec, jeśli właśnie nie „siedział” za znęcanie się nad rodziną albo co innego, ósemka dzieci w drugim pokoju. Dziś Mateusz jest przekonany, że byłoby lepiej, gdyby cała ósemka trafiła od razu do domu dziecka, bo przynajmniej nie byłoby głodni.

Brat „urwał się z domu” i wracać nie chce

Mateusz do czegoś takiego nie chciał wracać, ale też nie musiał. Od niedawna jest pełnoletni, zamieszkał u małżeństwa w Strzyżowie, które udostępniło mu pokój, zaczął szukać roboty. Przygarnął dwa lata młodszego brata Kacpra, ten nie miał dokąd uciec przed życiem rodzinnym, dopóki Mateusz nie za-

proponował mu schronienia. Kacper sporo może dorzucić do opowieści brata o ich dzieciństwie.

– Miałem pięć lat, kiedy zostałem pobity przez ojca. To było tak, że siostra dorzuciła mi na talerz resztkę swojego jedzenia, ja tego zjeść nie chciałem, więc pijany ojciec mnie pobił, zresztą nie pierwszy i nie ostatni raz – opowiada. – Matka nie zareagowała, dopiero ciotka z babcią zadzwoniły na policję, ojciec poszedł do więzienia na dwa i pół roku. Jak mnie zbadano po tym pobiciu, to okazało się, że na jedno oko nie widzę.

On też pamięta, od kiedy w ogóle cokolwiek pamięta, że przed wizytą pani z CUS „matka uczyła każde z dzieci, co mają mówić, ani jednego słowa na jej temat, jak chciałem się wtrącić do rozmowy, to wyganiała do pokoju”. Za nieposłuszeństwo straszenie głodem, wyzwiska, była groźba wyrzucenia do szopy na noc. Kacprowi zdarzyło się, że został wygnany do szopy na działkach, żeby na takiej banicji nabrał rozumu i posłuszeństwa. A jak chce zreć, to niech sobie radzi sam.

Święta wielkanocne albo bożonarodzeniowe w dzieciństwie? Wyjazd do babci, prezentów po choinkę nie było, na pewno nie od rodziców. Urodziny, imieniny? Dwa może trzy razy w życiu, to wszystko – przytacza Mateusz. Żadnych zwierzeń: czego chcą od życia, czego się boją, jak było w szkole, o czym marzą, jakie mają zainteresowania. Mateusz zapewnia, że takich rozmów w domu nie było, nie byli nauczeni, że z rodzicami można tak rozmawiać. A z ich strony żadnych pytań o to, co w duszy dzieciaków siedzi i w ogóle żadnego tym zainteresowania.

Za nieposłuszeństwo straszenie głodem, wyzwiska, była groźba wyrzucenia do szopy na noc. Kacprowi zdarzyło się, że został wygnany do szopy na działkach, żeby na takiej banicji nabrał rozumu i posłuszeństwa.

Kacprowi brakowało półtora roku do pełnoletności, kiedy niedawno Mateusz go przygarnął i Kacper nie chce słyszeć o powrocie do domu, choć matka na swój sposób o to zabiega. Strzyżów to małe miasteczko, tu wszyscy wszystko o sobie wiedzą, ale nikt głośno o tym nie mówi. Toteż, jak Kacper zwał z domu, to zrobiło się piekło, matka zaczęła zabiegać, żeby prawie siedemnastolatek wrócił do domu, bo przecież taka ucieczka, że ludzie wezmą na języki i może być z tego problem.

– Wolałbym trafić do domu dziecka niż tam wracać – mówi stanowczo. – Dzwoniła do mnie pani z opieki społecznej z poleceniem, że mam wracać do domu, odpowiedziałem, że nie ma mowy, że tam jest przemoc. Usłyszałem, że jej to nie obchodzi, mam wracać do domu.

Plan braci jest taki: brat formalnie dorosły, znajdzie pracę, a zarabując będzie mógł wystąpić do sądu o przyznanie mu praw opieki nad Kacprem. Chyba że jakieś siły będą chciały Kacpra na siłę przywrócić na łono rodziny.

– Już o tym myślałem – mówi po dłuższej chwili wahania. – Jak będą chcieli mnie zmusić, to pomyślałem, że coś sobie zrobię.

Trzecie dno

Pan Kamil musi dorzucić swoje. Przygarnął tę dwójkę, mieszkają u niego, czuje się za nich odpowiedzialny. Jego żona też nie wyobraża sobie, by chłopcy mieli wrócić do koszmarnego, jak opisują swoje dzieciństwo.

– Było tak, że to matka dla starszego z synów wynajęła u mnie mieszkanie, zgodziłem się, bo jeszcze nie wiedziałem po co – opowiada. – Kiedy Kacper zamieszkał z Mateuszem, matka zdradziła prawdziwe motywy: chce, żeby Kacper wrócił do domu, a na jego miejsce miał przyjść jej mąż, który opuszczał zakład karny za znęcanie się nad rodziną. Sąd zdecydował, że przez długi czas ma zakaz kontaktu z dziećmi, więc do domu nie mógł wrócić. Wymyśliła, że zamieszka

z Mateuszem, pewnie stąd pomysł na wynajęcie mieszkania. Ani Mateusz, ani Kacper, ani ja nie chcieliśmy o tym słyszeć, więc pani wypowiedziała umowę najmu.

Razem z żoną na ile mogą, starają się chłopcom pomóc i chronić.

– Miałem nadzieję na instytucjonalne wsparcie, trafiłem na ścianę nie do przebicia – opowiada Kamil. – Rozmawiałem o chłopcach z panią wicedyrektorką Centrum Usług Społecznych, twierdzi, że rozmawiać o tym ze mną nie będzie, bo ich ograniczają przepisy. Ja mam wrażenie, że to tylko, albo może aż, brak zrozumienia i empatii. A z tego co wiem, to panie z CUS nigdy nie były informowane o tym, co naprawdę dzieje się w tym domu. Co nie znaczy, że nie wiedziały, ale przecież „w papierach” musi im grać, bo przecież w tym domu były, kontrolowały. Wizyty były zapowiadane, na miejscu wszystko cacy, dzieci poinstruowane przez matkę, chwila rozmowy, lekcje odrobione – tak to zwykle wygląda. Spodziewałem się, że po tym, co się wydarzyło, któraś z tych pań przyjdzie tu do nas porozmawiać z chłopcami i dowie się, jak wygląda prawda. Nikt się nie pojawił, nawet po to, by przekonać się, czy chłopaki mają co jeść. Zresztą mamusia też się nie pojawiała.

Będzie zwrot akcji?

Niepewni swojej przyszłości chłopcy powoli przestawali wierzyć, że los się odmieni. Jednak okazało się, że wizyta Mateusza w KPP Strzyżów ma swoje skutki. Potencjalnie pozytywne dla chłopców. Przynajmniej tak myśleli.

– Do Komendy Powiatowej Policji w Strzyżowie wpłynęło zawiadomienie dotyczące możliwości popełnienia przestępstwa z artykułu 207 Kodeksu Karnego – potwierdza mł. asp. Daniel Czapczyński, oficer prasowy Komendanta Powiatowego Policji w Strzyżowie. – W chwili obecnej w tej sprawie prowadzone są czynności sprawdzające. Ich celem jest szczegółowe ustalenie wszelkich okoliczności oraz zweryfikowanie, czy doszło



FOT. BARBARA GALAS

do zaistnienia czynu zabronionego. W ramach tych czynności policjanci współpracują m.in. z Centrum Usług Społecznych w Strzyżowie w zakresie rzetelnej oceny ogólnej sytuacji panującej w tej rodzinie. Niezależnie od prowadzonych czynności sprawdzających, została wdrożona procedura „Niebieskiej Karty”. Wszystkie działania w tym zakresie realizowane są zgodnie z obowiązującymi przepisami, a ich priorytetem jest ochrona osób, które mogą być dotknięte przemocą domową. O powyższej sytuacji poinformowano również Wydział Rodzinny i Nieletnich Sądu Rejonowego w Strzyżowie.

„Poinformowano”, ale nie zrobił tego CUS, o czym zapewnia dyrekcja instytucji.

– CUS w Strzyżowie nie zwracał się do Sądu Rejonowego w Strzyżowie III Wydział Rodzinny i Nieletnich z wnioskiem o wydanie i zmianę zarządzeń opiekuńczych wobec K. – potwierdza Katarzyna Ziobro, dyrektor CUS w Strzyżowie.

Na pytanie Nowin wyjaśnia też, jak to się stało, że wieloletni monitoring rodziny Mateusza i Kacpra ze strony CUS nie przyniósł żadnych negatywnych informacji, nie wzbudził żadnych podejrzeń, że w tym domu może dziać się źle.

– Rodzina pozostaje pod nadzorem pracowników socjalnych oraz asystenta rodziny – tłumaczy pani dyrektor. – Właściwe instytucje i służby podejmowały działania mające na celu diagnozę sytuacji rodziny, udzielania jej niezbędnego wsparcia, pomocy w przezwyciężaniu trudnej sytuacji życiowej oraz zapewnienia bezpieczeństwa jej członkom. Z przeprowadzonego monitoringu, a także dokumentacji dotychczasowych działań oraz współpracy międzyinstytucjonalnej nie wynika, by dochodziło do incydentów o niepokojącym charakterze ze strony pani J. – przytacza imię matki.

Zastrzega, że dla dobra podopiecznych CUS nie wolno jej ujawnić szczegółów dotyczących podopiecznych instytucji.

W chłopców wstąpił nowy duch, Mateusz zaczął pracować i liczy, że sąd weźmie to pod uwagę, decydu-

Trochę za daleko się posuwają, bo ja im w życiu krzywdy nie zrobiłam. Moim zdaniem chcą wyciągnąć alimenty ode mnie i od męża, bo nie mają za co żyć.

MATKA MATEUSZA I KACPRA

jąc – kto zostanie opiekunem prawnym Kacpra. Na razie otrzymał wezwanie do stawienia się w sądzie, który tę kwestię będzie rozstrzygał za kilka tygodni. Kacper pełen nadziei, że los się odmieni.

– To wezwanie brata do sądu przyjąłem no... bardzo dobrze – oświadcza ostrożnie, ale w głosie czuć niemal euforię. On i Mateusz świadomi są tego, że sąd „przemagluje” ich dokładnie, toteż przed tą wizytą zamierzają zrobić szczegółowe notatki, taki „rachunek sumienia” przeszłości. Tak jak zrobił to Mateusz przed wizytą w komendzie policji.

To jest stek bzdur, a w ogóle nie o to sprawa się toczy

Tak o relacjach synów z domu rodzinnego mówi ich matka. Przecież – wylicza – ma asystenta rodziny z CUS, ma kuratora zawodowego, kuratora rodzinnego, jest „dzielnicowy” z policji, więc gdyby było coś nie w porządku, to na pewno by to zauważyli.

A ta sprawa rodzinna, która ma się odbyć z końcem sierpnia, to nie tak, jak synowie mówią. To sprawa o prawa opiekuńcze męża pani J. nad dziećmi, bo on na razie ma je odebrane wobec czwórki dzieci,

wobec pozostałych ograniczone. Wobec tego plany chłopców, że w sierpniu starszy zyska prawa opiekuńcze nad młodszym, chyba się rozwiewają, a nadciągają chmury burzowe:

– To ja złożyłam zawiadomienie do sądu, że niepełnoletni syn nie powrócił do domu pomimo moich próśb i opieki społecznej, i bez mojej zgody mieszka u starszego syna – twierdzi pani J. – Sąd zdecyduje, że ma wrócić do domu albo skieruje go do domu dziecka albo placówki opiekuńczej. On wulgarnie odzywa się do pani asystent rodziny. Trochę za daleko się posuwają, bo ja im w życiu krzywdy nie zrobiłam. Moim zdaniem chcą wyciągnąć alimenty ode mnie i od męża, bo nie mają za co żyć. A ta pani, u której mieszkają, im w tym pomaga.

Oczywiście wie, że taki mają plan, żeby starszy dostał od sądu zgodę na objęcie opieki nad młodszym, ale nie ma mowy, żeby dostał, bo przecież przesiedział trochę czasu w zakładzie opiekuńczym z wyroku sądu. I – dodaje – wcale nie za jakieś tam narkotyki, za coś o wiele gorszego.

– W ogóle nie miałam problemów, dopóki starszy nie wyszedł z ośrodka opiekuńczego.

Od dawna mi zapowiadał, że mi dzieci odbierze – tłumaczy J. – Wszystko zaczęło się od tego, że wypowiedziałam umowę najmu tego mieszkania dla starszego, w którym teraz są. Bo on oświadczył, że mam za mieszkanie płacić i w ogóle go utrzymywać. Ja mam w domu jeszcze szóstkę dzieci, nie stać mnie, żeby utrzymywać dwudziestoletniego chłopaka. I to jest cała prawda. A teraz obaj synowie przychodzą pod drzwi mojego mieszkania, nasłuchują i jeszcze sąsiadów wypytują, czy jest spokój czy nie. To cios poniżej pasa. Piszę do młodszego syna i nic, bo mnie zablokował, napisał na mnie, że jestem alkoholiką, no – tragedia.

I jak widzi przyszłość wobec takich relacji z dwoma starszymi synami?

– Chcę, żeby młodszego normalnie wrócił do domu, chcę mieć kontrolę nad tym, co on robi – stawia warunki matka. – Bo jak coś się stanie, to ja będę za to odpowiadać.

Kacper o powrocie słyszeć nie chce.

Imiona bohaterów na ich prośbę i dla ich dobra zostały zmienione.

©P

Nie tylko dostarczam listy. Czasem jestem jedynym gościem seniora

Listów jest dziś mniej, paczek coraz więcej, ale jedno pozostaje niezmiennie – mieszkańcy wciąż czekają na swojego listonosza. Dawid Ziomek od ponad 20 lat każdego dnia, niezależnie od pogody, przemierza swój rejon, dostarczając nie tylko przesyłki i papierowe wydanie „Nowin”, ale przede wszystkim dobre słowo, uśmiech oraz chwilę rozmowy

Urszula Sobol

Ponad 20 lat pracy jako listonosz to imponujący staż. Co sprawia, że ten zawód wciąż daje panu tyle satysfakcji?

Lubię to, co robię. Każdy dzień jest inny. Spotykam różnych ludzi, rozmawiam z nimi, widzę, jak zmienia się otoczenie, a także osiedla i całe społeczności. Listonosz to nie tylko osoba, która dostarcza listy czy przesyłki. Często jestem dla mieszkańców bardzo dobrym znajomym, z którym można zamienić kilka słów. Dla niektórych, zwłaszcza osób starszych, czasem jedynym gościem, którego widzą w ciągu dnia. Motywację daje mi również poczucie, że moja praca ma sens i jest potrzebna. Mimo rozwoju technologii wciąż są rzeczy, których nie da się zastąpić: to ważna przesyłka, urzędowy list czy zwykła życzliwość i uśmiech przy doręczeniu korespondencji. Największą satysfakcję sprawia mi zaufanie ludzi. Kiedy słyszę zwykle „Dzień dobry” albo widzę, że ktoś cieszy się na mój widok, wiem, że przez te wszystkie lata udało mi się zbudować wspaniałe relacje. To właśnie one sprawiają, że każdego dnia z przyjemnością i radością wychodzę w swój rejon.

Jak przez lata zmienił się zawód listonosza?

Zmieniło się naprawdę bardzo dużo. Kiedy zaczynałem pracę w 2004 roku, torba listonosza była wypełniona przede wszystkim tradycyjnymi listami: prywatną korespondencją, kartkami czy rachunkami. Dziś takich listów jest jakby mniej, bo wiele spraw załatwiamy przez internet czy różnego rodzaju aplikacje. Za to znacznie wzrosła liczba paczek. Rozwój zakupów internetowych sprawił, że stały się one codziennością w pracy listonosza. Coraz częściej dostarczamy przesyłki zamówione przez internet, a okresy przed świętami czy innymi okazjami potrafią być naprawdę intensywne. Zmieniły się także oczekiwania klientów.

Czyli...

Dzisiaj liczy się nie tylko terminowość, ale również dobra komunikacja i wysoka jakość usług. Listonosz musi być elastyczny, dobrze



Dawid Ziomek od ponad 20 lat pracuje jako listonosz. Każdego dnia przemierza w Rzeszowie kilkanaście kilometrów, by dostarczyć mieszkańcom listy, paczki i prasę

zorganizowany i gotowy na różne sytuacje. Mimo tych wszystkich zmian jedno pozostało niezmiennie: najważniejszy w tej pracy jest kontakt z ludźmi. To właśnie on sprawia, że ten zawód wciąż ma swój wyjątkowy charakter i daje dużo satysfakcji.

Co jest największym wyzwaniem w pracy listonosza?

Mój dzień zaczyna się wcześniej rano w Urzędzie Pocztowym Rzeszów 6. Najpierw należy przygotować korespondencję i przesyłki, ułożyć je według trasy oraz sprawdzić, czy wszystko się zgadza. Dopiero wtedy mogę wyruszyć w swój rejon. Każdego dnia pokonuję około 15 do 20 kilometrów pieszo, niezależnie od pogody. Latem towarzyszy mi upał, zimą mróz i śnieg, a jesienią czy wiosną często deszcz. Pogoda nie wybiera, a listonosz musi dotrzeć do każdego adresata. Ta praca wymaga dobrej organizacji, odpowiedzialności i kondycji. Trzeba pamiętać o terminowym doręczeniu przesyłek, zadbać o bezpieczeństwo powierzonych dokumentów i jednocześnie znaleźć czas na rozmowę z mieszkańcami. Każdy dzień przynosi coś nowego. Czasem jest to konieczność wniesienia ciężkiej paczki, innym razem odnalezienie adresu, który nie jest łatwy do zlokalizowania, albo zmierzenie się z niesprzysięgającą pogodą czy bardzo ruchliwą ulicą.

Największym wyzwaniem jest jednak pogodzić tempo pracy z uważnością na drugiego człowieka. Staram się, żeby każdy mieszkaniak czuł, że nie jest tylko kolejnym adresem na liście. Czasem wystarczy krótka rozmowa, życzliwe „Dzień dobry” czy zwykły uśmiech, żeby komuś poprawić dzień. To właśnie takie chwile przypominają mi, że praca listonosza to nie tylko doręczanie przesyłek, ale także budowanie codziennych, wspaniałych relacji z ludźmi.

Mówi pan, że w tej pracy najważniejsze są relacje z ludźmi. Czy jakieś spotkanie szczególnie zapadło Ci w pamięć?

Przez ponad 20 lat takich historii łączyło się naprawdę wiele. Najbardziej zapadają mi jednak w pamięć nie wielkie wydarzenia, ale zwykłe, codzienne spotkania. W moim rejonie są osoby, które znam od lat. Widziałem, jak dorastały dzieci, jak zmieniały się całe rodziny i sąsiedztwa. Dzisiaj często witamy się po imieniu. Zamieniamy kilka słów na przeróżne tematy czy o codziennych sprawach. Jako listonosze jesteśmy też w pewnym sensie świadkami najważniejszych momentów ludzkiego życia. Widzimy chwile radości, kiedy dostarczamy wyczekiwane przesyłki, ale bywamy też blisko tych najtrudniejszych momentów. Nigdy nie za-

pomnę spotkania z pewnym starszym panem, którego znałem od wielu lat. Wiedziałem, że ciężko choruje, że zbliża się kres jego życia. Kiedy pewnego dnia przyszedłem do niego, choć było to bardzo trudne, znalazł w sobie siłę, aby pożegnać się ze mną. Przytuliliśmy się, zostały wypowiedziane ostatnie słowa pełne wdzięczności za wszystko i obaj mieliśmy świadomość, że widzimy się po raz ostatni. Kilka dni później dotarła do mnie wiadomość o jego odejściu. To było jedno z tych spotkań, które na zawsze pozostają w pamięci i przypominają, jak wielką wartość mają zwykła obecność, życzliwość i relacje z drugim człowiekiem.

Czy w dobie technologii i szybkich wiadomości papierowy list wciąż ma dla pana wyjątkową wartość?

Odręcznie napisany list ma swoją duszę, bo niesie nie tylko słowa, ale także obecność drugiego człowieka. Widać w nim charakter pisma, sposób stawiania liter, czasem ślad pośpiechu czy wzruszenia. Tego nie da się skopiować ani wysłać jednym kliknięciem. Nie jestem przeciwnikiem nowych technologii. Telefon, e-mail czy komunikatory bardzo ułatwiają życie i sprawdzają się, gdy liczy się szybkość. Jednak list ma zupełnie inną wartość. Pisząc go, poświęcamy komuś swój czas, zatrzymujemy się na chwilę i zastanawiamy nad każdym słowem. Wiadomości w telefonie szybko giną wśród setek innych, a list można schować do szuflady, wrócić do niego po latach i ponownie przeżyć emocje. Wiele osób przechowuje listy od rodziców, dziadków czy bliskich, których już z nami nie ma. Taki list staje się bezcenną pamiątką i częścią rodzinnej historii, dlatego warto czasem wziąć kartkę, pióro lub długopis i napisać kilka szczerych zdań do kogoś bliskiego. To prosty gest, który może sprawić ogromną radość, a po latach stać się jedną z najcenniejszych pamiątek.

Dostarcza pan również papierowe wydanie gazet?

Oczywiście. Od początku mojej pracy doręczanie prężności było częścią codziennych obowiązków. Gdy wracam myślami do 2004 roku, pamiętam zapach świeżo wy-

drukowanej gazety, który towarzyszył nam podczas przygotowywania przesyłek i ruszania w rejon. Przez lata miałem wrażenie, że Poczta i „Nowiny” są sobie bardzo bliskie. My dostarczaliśmy gazetę, a mieszkańcy czekali na nią przy porannej kawie. Wielu czytelników od lat korzysta z prenumeraty i z uśmiechem odbiera kolejne wydania. To pokazuje, że papierowa gazeta wciąż ma swoje miejsce w codziennym życiu. Lubię żartobliwie mówić, że jeśli ktoś chce codziennej wizyty listonosza, wystarczy zamówić prenumeratę „Nowin”. To także okazja do bliższych relacji z czytelnikami: znamy się od lat, zamieniamy kilka słów, a gazeta staje się pretekstem do tych codziennych spotkań. Papierowe wydanie to nie tylko informacja, ale też element porannego rytuału, chwila spokoju z filiżanką kawy i możliwość przeczytania wiadomości. Cieszę się, że jako listonosz mogę być częścią tej codzienności.

Został pan nominowany do ogólnopolskiego plebiscytu „Listonosz Roku 2026”. Co oznacza to wyróżnienie?

Odbieram to nie tylko jako docenienie mojej pracy, ale także wszystkich listonoszy, z którymi miałem zaszczyt pracować przez ponad 20 lat. Jeśli dziś reprezentuję Podkarpacie, to czuję, że reprezentuję również wszystkich listonoszy naszego regionu. To osoby, które każdego dnia, niezależnie od pogody i liczby kilometrów, wykonują swoją pracę z zaangażowaniem, odpowiedzialnością i życzliwością wobec mieszkańców. Nie proszę o głosy wyłącznie dla siebie. Jeśli ktoś zdecyduje się mnie poprzeć, będzie to dla mnie znak uznania dla całej naszej grupy zawodowej. Bo siłą pracy listonosza nie są tylko listy i paczki, ale przede wszystkim relacje z ludźmi, rozmowy i zaufanie budowane przez lata. Wiem, że człowiek nie pamięta wszystkich doręczonych przesyłek, ale pamięta ludzi spotkanych na swojej drodze. Jeśli udało mi się dostarczyć mieszkańcom nie tylko przesyłki, ale także trochę uśmiechu i życzliwości, to będzie dla mnie największa nagroda. Głosy mieszkańców będą dla mnie radością i zobowiązaniem, aby godnie reprezentować listonoszy Podkarpacia. ©©

HISTORIA

90 lat gorących sporów o kolejkę na Kasprowy Wierch

Budowa kolejki linowej na Kasprowy Wierch była przedsięwzięciem nie tylko ekonomicznym, ale też prestiżowym i symbolicznym. Ale co ciekawe – od początku wywoływała fale protestów

Mariusz Grabowski

Budowa kolejki pociągnęła za sobą kolejne tatrzańskie inwestycje: wybudowane w 1936 r. Wysokogórskie Obserwatorium na Kasprowym Wierchu, tzw. ceprostradę nad Morskiego Oka na Szpiglasową Przełęcz z 1937 r., a także m.in. o rok późniejszy hotel na Kalatówkach.

Pomysł z góry

Studia terenowe i pomiary, mające ustalić przebieg trasy kolei, rozpoczęło – na zlecenie Ministerstwa Komunikacji – Centralne Biuro Studiów i Projektów PKP już wiosną 1934 r. Decyzja budowy zapadła w lipcu 1935 r. Inwestorem była specjalnie powołana spółka z o.o. pod nazwą „Towarzystwo Budowy i Eksploatacji Kolei Linowej Zakopane (Kuźnice) – Kasprowy Wierch” z siedzibą w Warszawie.

Główną rolę w powstaniu projektu odegrał inż. Aleksander Bobkowski (1886-1966), absolwent Politechniki Lwowskiej i Wiedeńskiej stryj pisarza emigracyjnego Andrzeja Bobkowskiego, autora dziennika „Szkice piórkiem”). Kierownikiem budowy został inż. Medard Stadnicki, zastępcą inż. Borysław Lange. Harmonogram prac przewidywał rekordowo krótki czas budowy: siedem miesięcy.

Ponieważ żadne przedsiębiorstwo nie było w stanie przyjąć takich warunków postanowiono prowadzić budowę systemem gospodarczym. Stan załogi, który wynosił początkowo ok. 600 osób, w dwóch ostatnich miesiącach zwiększono do tysiąca. Robotników werbowano nie tylko z Podhala, ale i Sądecczyzny, Krakowa, Tarnowa, a nawet z Wileńszczyzny. Zatrudniono wykwalifikowanych kamieniarzy z Brasławia oraz traczy i cieśli z Polesia.

Oblicza się, że koszt budowy kolei wyniósł przeszło 3,5 mln zł i zwrócił się jeszcze przed wybuchem wojny. Na górnej stacji umieszczono w 1936 r. zachowane do dzisiaj polskie godło w stylu art déco.

„Nie” prof. Szafera

Aż trudno uwierzyć, ale budowa kolei wywołała społeczną burzę i awantury. Od chwili ujawnienia projektów w marcu 1934 r. protestowali przeciwko niej przede wszystkim ówcześni działacze ochrony przyrody. Prócz Państwowej Rady

Ochrony Przyrody przeciwnie budowie były również aż 94 towarzystwa i instytucje naukowe i turystyczne.

W odpowiedzi na rozpoczęcie budowy kolei – jak argumentowano – łamanie obowiązującego wtedy prawa (rozporządzenia Prezydenta Rzeczypospolitej o ochronie lasów, o prawie budowlanym, ustawie o ochronie przyrody, ustawie o koncesjach na koleje i inne) do dymisji podała się cała ówczesna Państwowa Rada Ochrony Przyrody wraz z przewodniczącym Komitetu Ochrony Przyrody w Krakowie – prof. Władysławem Szaferem. Dymisja nie została jednak przyjęta.

Stanowisko prof. Szafera, botanika, dyrektor krakowskiego Ogrodu Botanicznego, można próbować usprawiedliwić. W tle sporów o budowę kolei linowej obecna była, sięgająca XIX w., walka o ochronę Tatr, w szczególności o utworzenie w Tatrach parku narodowego. Formalnie Tatrzański Park Narodowy został utworzony dopiero na mocy rozporządzenia Rady Ministrów z 30 października 1954 r.

Dwa obozy, dwie racje

Jak pisze Janusz Stochlak w tekście „Kolej linowa na Kasprowy Wierch jako źródło podziałów i perspektywa przyszłego rozwoju turystyki” już

sama zapowiedź budowy kolei linowej na Kasprowy wywołała „(...) skandal, który podzielił wówczas kraj na dwa wrogie obozy i przybierał chwilami podobieństwo do »Sprawy Dreyfusa« we Francji. Stały racje dwóch wrogich obozów. Pierwszy obóz nazwać można »ochroniarzami«, a drugi »bobkociagowcami«, który nawiązuje do popularnej wśród najstarszych górali przedwojennej nazwy kolei »bobkociąg«.

Na VII Zjeździe Delegatów Ligi Ochrony Przyrody, który odbył się 15 grudnia 1935 r. w Warszawie, prof. Szafer wygłosił referat: „Tatrzański Park Narodowy a kolej linowa”, w którym zwrócił uwagę, że „w sporze o kolej nie chodzi jedynie o tę inwestycję, ale także o inne sprawy, o początek wdzierania się w głąb nieskalanej dotychczas przyrody, zbędnych udoskonaleń cywilizacji oraz o samowoli czynników administracyjnych, które pogwałciły brutalnie dotychczasowe zwyczaje rozpatrywania i rozstrzygania w Polsce spraw dotyczących kultury i dóbr ogólnonarodowych”.

Z kolei dla »bobkociagowców«, w tym głównie czynników oficjalnych, budowa kolejki linowej na Kasprowy była „logicznym członem w łańcuchu dokonań, które zmie-

rzały do rozszerzenia turystyki wśród mas”. „U nas Tatry, pod wpływem starych pawianów z Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego, stały się przenajświętszym sakramentem, góskim chramem, wawelem, do którego przed wejściem trzeba było umoczyć palce w święconej wodzie PTT, przykleknąć, przeżegnać się w imię św. Walerego i innych kameleonów, po czym oniemiać w obliczu majestatu Rysów” – kpił Andrzej Bobkowski w jednym z listów do stryja.

Idee Andrzeja Biernata

Na początku XXI w. dawny spór o sens kolei odżył przy okazji modernizacji polegającej m.in. na dwukrotnym zwiększeniu jej przepustowości. W 2007 r. zamontowano nowe wagoniki, co – podobnie jak w 1934 r. – wywołało liczne protesty naukowców, w tym przyrodników, ekologów, i sprzeciw części społeczeństwa.

W latach 2011-2012 nastąpiło kolejne zamieszanie wokół kolejki, tym razem głównie polityczne. Polskie Koleje Linowe w związku z długami PKP SA postanowiły dokonać jej prywatyzacji. Wywołało to protesty parlamentarzystów z różnych opcji politycznych, prezydenta RP i społeczności lokalnych. Minister Jan Szyszko, wówczas były minister śro-

dowiska w rządzie Jarosława Kaczyńskiego, zwrócił się do prezydenta Bronisława Komorowskiego o przeprowadzenie zbiórki na rzecz wykupienia od PKP SA kolejki linowej na Kasprowy Wierch, by później przekazać ją Tatrzańskiemu Parkowi Narodowemu.

Warto też odnotować jeden z najdziwniejszych pomysłów inwestycyjnych związanych z rejonem Kasprowego Wierchu, a poniekąd z kolejką. Należał on w 2013 r. do Andrzeja Biernata, ministra Sportu i Turystyki w rządzie Ewy Kopacz, a poległ na budowie sztucznego zbiornika w tym rejonie. Pochodząca zeń woda miałaby być wykorzystywana do sztucznego naśnieżania tras w Tatrach. Idea wywołała on ostrą krytykę i protesty m.in. dyrekcji TPN i ekologów, i w głównej mierze dzięki nim pomysł ten nie został zrealizowany.

Turystyczna wizytówka

Przedwojenne i współczesne spory o sens kolejki wydają się po prostu anachroniczne. Wbrew dawnym i dzisiejszym „ochroniarzom” kolejka jest trwałym elementem turystycznym polskich Tatr. Jak można przeczytać na stronie Tatrzańskiego Parku Narodowego (tpn.gov.pl), długość trasy pokonywanej przez kolejkę wynosi 4291,59 m, a różnica poziomów to 936 m przy średnim nachyleniu 22 proc. Wagonik jedzie z prędkością 8 m/s (zwalniając do 6 m/s na podporach, których jest 6), przewożąc jednorazowo maksymalnie 60 osób.

W zależności od pory roku dziennie może wywieźć ponad 3 tys. osób, rocznie – ponad 600 tys. Co roku okresowe przeglądy wyłączają kolej z eksploatacji w maju i listopadzie, nie kursuje ona także podczas silnego wiatru (powyżej 20 m/s), oblodzenia i temperatury spadającej poniżej –28°C.

Na Myślenickich Turniach następuje przesiadka do drugiego wagonika. Następny odcinek trasy jest bardziej stromy – największe przewyższenie wagonika nad terenem wynosi 180 metrów. Z prawej strony widać Goryczkowy Kocioł – zimną użytkowany jako stok narciarski. Wagonik jedzie nad Doliną Suchą Kasprową i dobija do górnej stacji kolejki, znajdującej się na wysokości 1959 m n.p.m., 26 metrów poniżej wierzchołka Kasprowego Wierchu.



Oblicza się, że koszt budowy kolejki wyniósł przeszło 3,5 mln zł i zwrócił się jeszcze przed wybuchem wojny

FOT. NAC

Tam, gdzie car piechotą chadzał. W Skansenie Rzeki Pilicy zachowała się toaleta rosyjskiego imperatora

Spałę upodobał sobie nie tylko prezydenci Polski oraz sportowcy. Mało kto wie, że Mikołaj II, ostatni car Rosji też tam bywał. Pamiątki po jego wizytach można zobaczyć w Tomaszowie Mazowieckim. Odwiedzając tamtejszy Skansen Rzeki Pilicy można obejrzeć toaletę cara. Ale nie tylko dlatego warto się tam zatrzymać na nieco dłużej

Anna Gronczewska

Trzeba przypomnieć, że Spała przez wiele lat była rezydencją carów Rosji, którzy upodobał sobie to miejsce. W 1880 roku do spalskich lasów na polowanie przyjechał car Aleksander III. Zwrócił uwagę na piękny zakątek nad Pilicą, w pobliżu spalskiego młyna. Tak mu się spodobały te okolice, że kazał tu wybudować swą rezydencję myśliwską. Pałac myśliwski zaprojektował krakowski architekt Leon Mikucki.

Pałac był drewniany. Obok postawiono między innymi koszarę dla kozaków, kasyno oficerskie, domy dla gości. Wtedy też zbudowano spalską wieżę ciśnień. Potem jeszcze powstały dwa hotele dla carskich gości. Po latach ulokowano w nich domy wczasowe „Dzik” i „Rogacz”. Walerianowi Kronenbergowi, znanemu wówczas ogrodnikowi, powierzono zadanie urządzenia w Spale parku.

- W rezultacie w Spale powstał okazały i oryginalny w tej części Polski zespół rezydencjalny - czytamy

w książce Marcina Gąsiora „Spała: dzieje jednego kurortu”.

Rezydencja carską zarządzał najpierw Zygmunt Wielopolski, a potem Ignacy Bończa-Modzelewski. Ten ostatni został łowczym polowań carskich w Księstwie Łowickim z siedzibą w Spale. Jak czytamy w książce „Spała: dzieje jednego kurortu”, łowczemu podlegali jęgrzy, pełniący funkcję służby leśnej. Do ich zadań należało dokarmianie, ochrona zwierzyny. Odpowiadali też za odstrzał drapieżników i mieli dostarczać upolowaną zwierzynę na stół.

Rezydencja carska była ogrodzona, chronili ją kozacy. Z czasów carskich pozostał kamień upamiętniający miejsce w którym car Aleksander III upolował swego pierwszego jelenia.

Na jakim „tronie” siadali carowie Aleksander i Mikołaj?

W lesie ustawiono także kilka toalet z których podczas polowań korzystali władcy Rosji. Jedną z nich udało

się odrestaurować i stoi dziś przy wejściu do Skansenu Rzeki Pilicy.

- To autentyczny budynek dawnej toalety, stojącej pierwotnie w lasach spalskich - wyjaśnia Zbigniew Cichawa, przewodnik po Skansenie Rzeki Pilicy. - Ten drewniany domek, w którym można się dopatrzeć elementów tzw. stylu uzdrowskiego, został wybudowany w spalskich lasach na przełomie XIX i XX wieku, by służyć carowi Mikołajowi II i jego świcie podczas polowań oraz spacerów w Puszczy Pilickiej. Przed kilku laty mocno zniszczona dawna toaleta została w całości przewieziona do tomaszowskiego Skansenu i tutaj pieczołowicie odrestaurowana. Jej wnętrze zdobią unikatowe fotografie z lat carskiej świetności Spały.

W toalecie można zobaczyć też gramofon, stylową umywalkę czy też bałajki. Przed toaletą stoją oryginalne słupki.

- Pochodzą z jednej z pięciu bram wjazdowych do Spały - mówi Zbigniew Cichawa. - Po II wojnie świa-

towej trafiły one do bramy w ogrodzeniu jednej z posesji w Tomaszowie i stały tam przez wiele lat. Następnie zostały przekazane do Skansenu. Przy drodze prowadzącej do skansenowego młyna znajduje się fragment parkanu pochodzącego ze spalskiej rezydencji. Pomiędzy słupkami znajduje się ciekawy rodzaj stosowanej dawniej siatki, tzw. cięto-ciagnionej. Nieco dalej, przed mostkiem przerzuconym nad kanałem przy młynie, można oglądać nie tak ozdobne jak słupki z bramy wjazdowej, ale również pięknie wykonane słupki z parkanu otaczającego rezydencję.

Obok carskiej toalety stoi wartownia pochodząca z czasów, gdy Spała była już rezydencją prezydentów II RP.

- Szczególnie upodobał sobie Spałę prezydent Ignacy Mościcki - dodaje Zbigniew Cichawa. - Wówczas nadpilicka miejscowość nazywana była „drugim Belwederem”. Wartownia pierwotnie znajdowała się przy jednej z bram wjazdowych do rezydencji prezydenckiej.

Chory carewicz

Ale wróćmy do carskich czasów Spały. Po śmierci Aleksandra III Spałę upodobał sobie jego syn Mikołaj II, ostatni władca Rosji. Choć dosyć często tu przyjeżdżał, to jednak nie wspominał miło tej miejscowości. We wrześniu 1912 roku doszło tu dramatycznych wydarzeń. Do Spały przyjechał jedyny syn Mikołaja II, carewicz Aleksiej, który cierpiał na hemofilię. Tuż przed wyjazdem, jeszcze w Petersburgu, uderzył się w nogę. W Spale dostał bardzo wysokiej gorączki. Myślano, że nie da się go uratować. Na szczęście do tragedii nie doszło. Ponoć dzięki słynnemu mnichowi Grigorijowi Rasputinowi. Powiadomiony o zdarzeniu, wysłał do carycy Marii Fiodorowny telegram. Napisał w nim: „Bóg zobaczył Twoje lzy i wysłuchał Twoich modlitw. Nie martw się. Mały nie umrze. Nie pozwól doktorom przeszkadzać mu zbyt.”

Carewicz wyzdrowiał i od tego czasu na carskim dworze miała wzrosnąć pozycja Rasputina.



Wnętrze zdobią liczne zdjęcia i grafiki przypominające czasy świetności carskiej rezydencji



Budynek toalety stał pierwotnie w lasach spalskich

Ale od tej pory rodzinie carskiej Spała źle się kojarzyła. Caryca Maria Fiodorowna nie chciała tu przyjeżdżać. Car ostatni raz przyjechał do Spały w 1912 roku.

Podczas I wojny światowej Spałę zajęli Niemcy. Urządzili w niej szpital wojskowy. Zaczęto też wycinać drzewa ze spalskich lasów. Wywózono je oddaną do użytku w 1916 roku linią kolejową Spała – Tomaszów Mazowiecki. Kiedy w 1918 roku Niemcy uciekali ze Spały zabrali wyposażenie carskiego pałacyku, pozostawili zniszczonych wiele budynków.

Rezydencja prezydentów RP

Kiedy Polska odzyskała niepodległość w Spale zamierzano utworzyć rezydencję marszałka Józefa Piłsudskiego, ale marszałek do Spały przyjechał tylko kilka razy na święta, między 1921 a 1922 rokiem. W 1922 roku podjęto decyzję, że Spała stanie się letnią rezydencją prezydentów RP.

Dzięki staraniom prezydenta Stanisława Wojciechowskiego zbudowano w Spale kaplicę. Zaprojektował ją Kazimierz Skórewicz. Zbudowany w stylu zakopiańskim kościółek stał się Kaplicą Prezydentów RP pod wezwaniem Królowej Korony Polskiej.

Ale największe zasługi dla rozwoju Spały miał następca Stanisława Wojciechowskiego, prezydent Ignacy Mościcki.

Prezydent Mościcki bardzo lubił tu przyjeżdżać. Między innymi dlatego, że był zapalonym myśliwym. Polował zwykle w dwunastoosobowej grupie. W jej skład wchodził adiutant, szefowie i zastępcy szefa Gabinetu Wojskowego i Gabinetu Cywilnego, zarządca Spały, ksiądz Kowalski z Inowłodza oraz łowczy. Ale w Spale Mościcki nie tylko polował. Tu przyjmował oficjalnych gości. Rezydencję odrestaurowano.

Bizony ze Spały

Dzięki staraniom Ignacego Mościckiego kanadyjska Polonia przekazała Polsce cztery bizona. Umieszczono je w miejscowości Książ, położonej kilkanaście kilometrów od Spały, w Nadleśnictwie Smardzewice. Po latach powstał tam Ośrodek Hodowli Żubrów. Jedną z największych atrakcji Spały stała się też wykonana ze spiżu, naturalnej wielkości rzeźba żubra. W 1864 roku na pamiątkę udanego polowania car ustawił go w Zwierzynie, w połowie drogi między Białowieżą a Hajnówką. W 1915 roku wycofujące się wojska carskie zabrały żubra w głąb Rosji. Po odzyskaniu niepodległości Polska zażądała zwrotu odlanego z brązu pomnika. Żubr wrócił do Polski. Jego posąg ustawiono najpierw na dziedzińcu Zamku Królewskiego w Warszawie. Do Spały przywieziono go w 1935 roku, na odbywający się tu zlot harcerski.



W budynku niegdyśszej toalety można zobaczyć też bałałajki oraz podróżny kufer z epoki

Ignacy Mościcki lubił organizować w Spale wystawne bankiety, rauty. Pojawiali się na nich dostojni goście. Wielu zaproszenie na taką imprezę do Spały traktowało jako wyjątkową nobilitację. Niekiedy na takich bankietach bawiło się ponad 200 gości. Bywali tu między innymi Edward Rydz – Śmigły, Waleri Sławek czy Eugeniusz Kwiatkowski.

Prezydenckie dożynki i zlot harcerzy

To prezydent Ignacy Mościcki wymyślił, by w Spale zorganizować prezydenckie dożynki. Było to w 1927 roku. Podobno do tej wielkiej miejscowości zjechało wtedy ponad 10 tysięcy ludzi. 700 reprezentantów środowisk chłopskich, siedmiu ministrów i innych gości zaproszono na uroczysty obiad. Mimo że spalskie dożynki spotkały się z krytyką niektórych środowisk, bo stanowiły między innymi konkurencję dla jasnogórskich dożynek, dalej je organizowano. W kolejnych latach przybywało na nie nawet 40 tysięcy ludzi! Dla potrzeb dożynek w Spale zbudowano stadion oraz halę mającą 4 tysiące metrów kwadratowych powierzchni. Miała chronić dożynkowych gości przed deszczem.

Dzięki prezydentowi Mościckiemu w 1935 roku w Spale odbył

się jubileuszowy Zlot Harcerstwa Polskiego Jamboree z okazji 25-lecia ZHP. Wzięło w nim udział 25 tysięcy harcerzy, w tym skauci z zagranicy. Przygotowania do organizacji tego jubileuszowego zlotu trwały kilka tygodni. Zbudowano specjalne miasteczko. Miało ono swój własny hotel, pocztę, służbę porządkową.

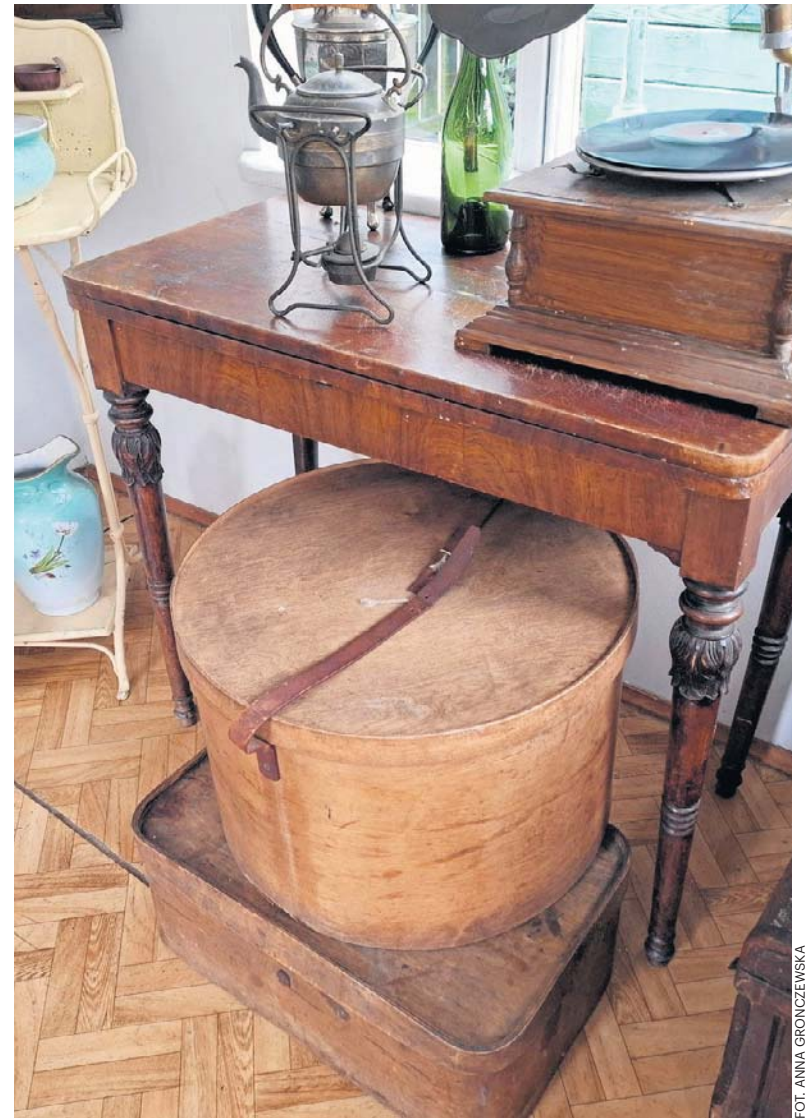
Do Spały przyjeżdżano na manewry i spotkania sportowe przysposobienia wojskowego Okręgu Korpusu w Łodzi. Odbywały się tu wakacyjne obozy i kursy Związku Strzeleckiego. Nad brzegiem Pilicy organizowano „Sobótki dla młodzieży”. W przedwojennej Spale odbywały się zloty gwiazdźskie samochodów i motocykli. Organizowano je też dzięki prezydentowi Mościckiemu, który sam był wielkim fanem motoryzacji. Lubi sam prowadzić auto w drodze z Warszawy do Spały.

Co u ciebie, Pajączku?

Nieżyjąca już mieszkanka Spały, Zofia Pajak, zapewniała nas przed laty, że pamiętała Ignacego Mościckiego. Mówiła, że ładny był z niego mężczyzna.

- Taki z wąsikiem, tyle że już siwawy - wspominała.

Mąż pani Zofii pracował u Mościckiego. Był listonoszem w kancelarii prezydenckiej. Codziennie



W klimatycznym wnętrzu znalazło się też miejsce na gramofon oraz samowar do parzenia herbaty

wsiadał na rower i jeździł na pocztę w Tomaszowie. Stamtąd przywoził prezydentowi przesyłki. Raz nawet nie było kancelisty i go zastąpił. Osobiście wręczył listy prezydentowi.

- Co tam u ciebie słychać, Pajączku? - zapytał go wtedy Ignacy Mościcki. Zofia Pajak mówiła nam, że Mościcki dobry był dla służby. Jego żona Michalina wybudowała dla niej nawet domek po drugiej stronie Pilicy.

Przed wojną Spała była miejscowością zamkniętą. Można było do niej wjechać tylko za okazaniem specjalnej przepustki. Nieżyjący już Władysław Mielczarek mówił nam, że w samej miejscowości było tylko kilku stałych mieszkańców. On sam mieszkał w Teofilowie. Do Spały przeprowadził się w czasie wojny.

- Przed wojną były cztery bramy wjazdowe do Spały - wspominał - Stali przy nich żołnierze i nikt bez zezwolenia nie dostał się do środka.

Wojenne losy

Sam prezydent Mościcki był wysportowanym człowiekiem. Mimo że nie należał do najmłodszych, gdy wybuchła wojna miał 72 lata, był bardzo wysportowany. Jeździł konno, pływał kajakiem po Pilicy, grał w tenisa, bilard.

Ignacy Mościcki opuścił Spałę 1 września 1939 roku. Już do niej

nie wrócił. Zajęli ją Niemcy. Stała się siedzibą Naczelnego Dowództwa Wojskowego „Wschód”. Jego dowódcą był gen. płk Johannes Blaskowitz. Od lipca 1940 mieściła się tu siedziba niemieckiego dowództwa wojskowego w Generalnej Guberni. W okolicach Spały, w Konewce i Jeleniu, Niemcy wybudowali bunkry. Miały chronić pociągi sztabowe. Stacjonowało tu też dowództwo i część sztabu Grupy Armii „Środek”, która brała udział w operacji Barbarossa. W czasie wojny Spała była też ośrodkiem rekonwalescencji niemieckich lotników. Podobno kilka razy przyjechał tu Adolf Hitler. Zofia Pajak opowiadała nam, że nikt go jednak nie widział, bo były to potajemne wizyty. Częstym gościem w Spale był za to Hermann Goering. Uważał, że trudno znaleźć lepsze miejsce do polowań, niż spalskie lasy. Zresztą na polowania był zapraszany tu jeszcze przed wojną przez prezydenta Mościckiego.

Pałacyk prezydencki dotrwał do wyzwolenia. Spalili go jednak żołnierze radzieccy, którzy wkroczyli do Spały.

- Gdy pod koniec lutego wróciłam do Spały z robót w Niemczech, to drewnianej części pałacu nie było, a z tej murowanej unosił się dym - wspominała Zofia Pajak.

To nie jest tęsknota za komuną, to tęsknota za młodością. Największe w Polsce muzeum PRL

Budowlaniec spod Kościana, wraz ze swoją rodziną, prowadzi prawdopodobnie największe w Polsce Muzeum PRL Frania. Godzinę drogi od Poznania można poczuć klimat, jak u babci w kuchni, czy u mamy w salonie. Są także zaaranżowane sale lekcyjne z epoki. Z pełnym wyposażeniem i pomocami naukowymi

Paweł Antuchowski

– Najbardziej nie wiemy, jak się zachować, kiedy ktoś wchodzi do któregoś z pokoi i łyż napływają mu do oczu. Bo czuje się tak, jakby wszedł, jak przed laty, do pokoju u mamy, u babci, czy u siebie w domu. To bardzo wzruszające chwile – opowiada Beata Garbacz, żona pomysłodawcy i współtwórczyni Muzeum PRL Frania, która na co dzień angażuje się w jego prowadzenie.

Pamiętki były od zawsze

Pośród podkościańskich pól i łąk wyrasta niewielka wieś Kokorzyn. To właśnie tu przed rokiem powstało prawdopodobnie największe muzeum PRL w Polsce. Niepozorny z zewnątrz obiekt wewnątrz skrywa potężną wystawę zajmującą kilkaset metrów kwadratowych i jeszcze więcej eksponatów z poprzedniej epoki, a także z szalonych lat 90.

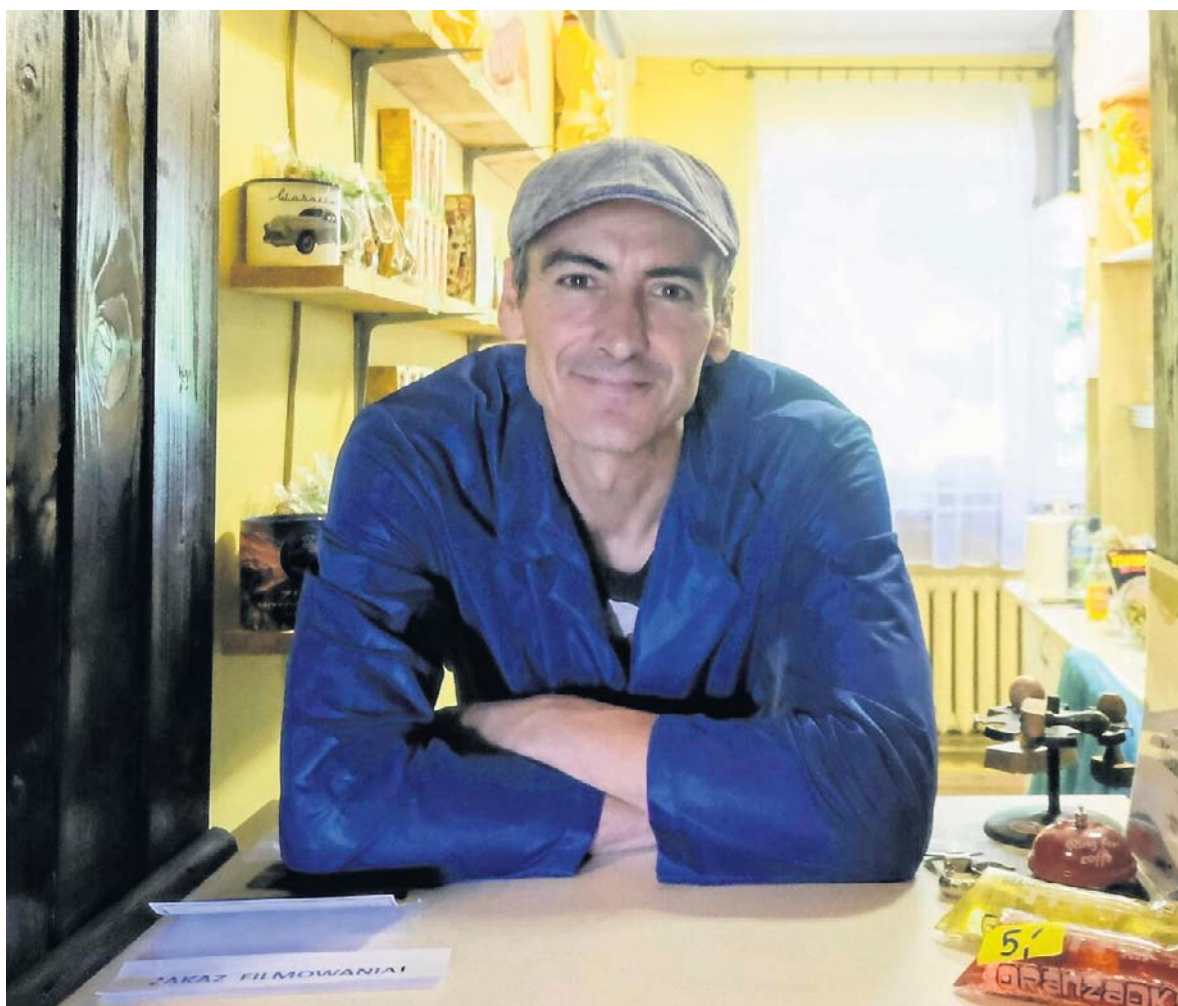
– Eksponaty do tego muzeum zbierałem ponad 20 lat, a w pewnym sensie gromadziłem je niemal od zawsze. Tak jak inni grają w piłkę, czy chodzą na mecze, ja od zawsze zbierałem wszystko to, co związane z PRL – stwierdza Krzysztof Garbacz, pomysłodawca i właściciel Muzeum PRL Frania.

W całej Polsce funkcjonuje 9 muzeów PRL. Kilka z nich właściciel muzeum w Kokorzynie odwiedził osobiście. Żadne z nich nie dorównywało jego zebranej przez lata kolekcji pamiątek.

– Już wtedy mówiłem żonie, że ja tych eksponatów mam zdecydowanie więcej – śmieje się Krzysztof. – One były poutykane w domu, po komórkach i garażach. W pewnym momencie wynajmowałem nawet od znajomego, w tajemnicy przed żoną, stodołę i tam zacząłem gromadzić te pamiątki. Kiedy jej pokazałem tę stodołę i ona zobaczyła ile tych pamiątek jest, powiedziała: musimy otworzyć to muzeum i pokazać to innym – wspomina.

Muzeum 100 m od domu

Przez pewien czas trwało poszukiwanie miejsca, gdzie muzeum mo-



Krzysztof Garbacz mówi o sobie, że murarkę ma we krwi. Większość prac na terenie muzeum robi sam

głoby powstać. Pierwotnie miało ono znaleźć się w centrum Kościana, niedaleko dworca kolejowego. Potencjalny budynek był jednak w kiepskim stanie, a jego remont byłby bardzo kosztowny. Ostatecznie padło na rozległy teren po byłej spółdzielni rolniczej, która swoją siedzibę miała we wsi będącej domem państwa Garbaczów.

Tutaj nikt nie narzeka i można poczuć się jak jedna wielka rodzina. Mimo, że to były ciężkie czasy, to żyło się inaczej. Ludzie byli życzliwi

BEATA GARBACZ

żona pomysłodawcy i współtwórczyni Muzeum PRL Frania

Zabudowania leżą 100 m od ich domu.

– Kiedy mówiliśmy ludziom, że zamierzamy otworzyć muzeum PRL, to nie dowierzali i dopytywali „co zamierzacie otworzyć?”. Te reakcje nas często bawiły. Bardzo podobnie w pierwszej chwili zareagowali właściciele tego terenu, ale potem uznali, że to bardzo dobry pomysł – wspomina Krzysztof.

Na początku Beata i Krzysztof nie byli przekonani do miejsca, w którym muzeum powstało. Wieś, mimo że znajduje się niedaleko ruchliwej trasy S5, nie ma innych atrakcji turystycznych. To sprawia, że samo muzeum jako takie musi być na tyle rozbudowaną atrakcją, aby potencjalnym odwiedzającym „opłacało się” przyjechać do Kokorzyna tylko dla niego.

– Gdy pierwszy raz weszliśmy do budynku i zobaczyliśmy, jak on wygląda, stwierdziliśmy, że miejsce jest idealne. Tych stodoł i z zewnątrz, i w środku nie remontowaliśmy. Stare parapety, stare podłogi. To był istny PRL. Więc miejsce było po prostu idealne – opowiada Beata.

Proces otwarcia muzeum zajął około trzech miesięcy ciągłej pracy. Dzień i noc. Krzysztof z żoną Beatą, teściową Urszulą i pomocnymi znajomymi ustawiał ekspozycję muzeum. Trzeba było wyczyścić przedmioty, które często przez lata stały zakurzone.

– Wyszliśmy stąd 13 czerwca o 7 rano, po dwóch nieprzespanych dobach, żeby iść do domu i się wykąpać, a o 10 rano otwieraliśmy muzeum – wspomina Beata.

Zacząło się od budynku biurowego, który znajduje się przy wjeździe na teren muzeum. Tam urządzili główną ekspozycję. Poszczególne pokoje mają wystrój jak z epoki. I tak znajdziemy kuchnię z PRL, pokoje dzienne z legendarnymi meblówkami, pokój dziecięcy z zabawkami i makietami, stół łówek, łazienkę, a nawet warsztat i ciemnię fotograficzną.

Eksponatów coraz więcej

Muzeum zajmowało kolejne części ponad hektarowego terenu. W końcu twórcy muzeum przejęli teren na własność. Od samego początku zaczęły odwiedzać je tłumy turystów. Bliskość ekspresówki będącej głównym szlakiem nad morze i w góry sprawia, że muzeum latem często jest odwiedzane przez podróżujących turystów. Wraz z kolejnymi odwiedzającymi kolekcja pamiątek z epoki zaczęła się rozrastać.

– Nikogo o eksponaty nie prosimy i ich nie skupujemy. Jak tylko zaczęliśmy działalność, to wiele osób, które miało ciekawe przedmioty, a szkoda było im wyrzucić czy wydać, zaczęło dzwonić, pytać, czy coś chcemy i przywozić – zauważa Beata.

Znakomita większość eksponatów została uratowana przed wyrzuceniem, znaleziona na śmietniku. Wiele przedmiotów Krzysztof kupował za niewielkie kwoty.

– Dużo ludzi nam przelicza, że tu są ogromne kwoty i ogromne kwoty te przedmioty są warte. Tak może jest, jednak tego nikt nie kupił w jeden dzień. To było kolekcjonowane ponad 22 lata, a jestem pewien, że nawet jeszcze dłużej. Wtedy wiele z tych rzeczy było kupowane za bezcen, bo nikt nie myślał o nich w takich kategoriach – zauważa Krzysztof. – Muzeum cieszy się u nas ogromną popularnością, więc ludzie sami chcą przekazywać to, czego nie używają, co im gdzieś tam zalega. Chcą przekazać, żebyśmy to doczyścili, naprawili, wyeksponowali, a inni mogli to oglądać. Duża część musi jednak czekać na swój czas w magazynie, bo na wystawie po prostu nie ma już miejsca.

FOT. ROBERT WOZNIAK

Jednym z ciekawszych artefaktów są dawne składane krzesła kinowe. Pojedyncze sztuki były przez właścicieli znajdowane na portalu ogłoszeniowym, jednak ich ceny były zaporowe. W trakcie poszukiwań pojawiły się oferty sprzedaży projektorów. Udało się je odkupić w Białymstoku.

Niestety nie było do nich obiektów, ale jak się okazało części do tego typu sprzętu jeszcze można znaleźć w Ukrainie, gdzie pozostałości tego typu projektorów są dostępne na rynku wtórnym. W Polsce sprzęt tego typu obecnie praktycznie nie występuje. Urządzenia były naprawiane przez Krzysztofa, z pomocą lokalnych rzemieślników.

– W pewnym momencie pojawił się ogłoszenie, że za niewielką kwotę pod Gostyniem na Jasnej Górze klasztor Filipinów sprzedaje swoje krzesła składane, które podczas remontu salki zostały zdemontowane. Momentalnie mówię do żony – nie jest daleko, jedziemy! Dogadaliśmy się z przeorami i teraz one czekają na renowację i montaż. W ten sposób ponad 120 krzesełek pozyskaliśmy – nie kryje radości Krzysztof.

Będzie tancbuda i stare kino

W przyszłości krzesła staną się częścią pełnowymiarowej sali kinowej. Właściciele chcą w niej stworzyć przestrzeń do seansów kinowych, gdzie filmy będą wyświetlane na oryginalnych projektorach z taśm 35-milimetrowych. Niczym w starym kinie co weekend będą tworzone repertuary i wyświetlane filmy z epoki. Nie zabraknie także filmów dokumentalnych oraz nieśmiertelnej kroniki filmowej, która w czasach PRL była wyświetlana między innymi w kinach przed seansami filmowymi.

W kolejnej z dawnych stodół powstanie tancbuda przypominająca wyglądem wnętrze dansingi z czasów PRL. W dalszym etapie właści-



Beata Garbacz od początku wspiera męża w budowie muzeum i pomaga w jego prowadzeniu. Krzysztof zaraził ją swoją pasją

cielskiego „planu 5-letniego” jest stworzenie bazy noclegowej z parkingiem dla kamperów i polem namiotowym. W planie jest także pełne zaplecze gastronomiczne. Być może będzie ono w formie kultowego baru mlecznego, z równie kultową nieprzyjemną panią ekspedientką.

– W żaden sposób nie nawiąujemy do polityki, zwłaszcza okresu PRL. Nam chodzi o odtworzenie klimatu tamtych czasów, pokazania rzeczy, które wtedy niemal każdy

Polak miał w swoim domu i ukazanie tego wszystkiego z perspektywy życia codziennego w PRL – zastrzega Krzysztof.

Życie codzienne w „czasach słusznie minionych” wciąż jest bardzo żywe wśród osób, które z jednej strony interesują się tamtą epoką, a z drugiej po prostu w niej żyły. Świadczy o tym właśnie te wszystkie spontaniczne, emocjonalne często, reakcje odwiedzających.

Ludzie często szukają siebie w starych książkach telefonicznych, niejednokrotnie znajdując swoje dawne numery telefonów. Tutaj nikt nie narzeka i można poczuć się jak jedna wielka rodzina. Mimo, że to były ciężkie czasy, to żyło się zupełnie inaczej. Kiedyś człowiek człowiekowi pomagał, ludzie byli wobec siebie bardziej życzliwi, a dla dzieci karą było nie wychodzenie na dwór. Dzisiaj często jest na odwrót – zauważa Beata.

Już po otwarciu muzeum, jego wnętrza zwiedzali członkowie zarządu dawnej spółdzielni rolniczej, dla których budynek dzisiejszej pierwszej części wystawy stanowił wieloletnie miejsce pracy. Wśród pomieszczeń nadal w tym samym miejscu, chociaż z zupełnie innym wyposażeniem, znajduje się gabinet prezesa. – Kiedy prezes do niego wszedł, zapytał, czy może usiąść przy biurku. Usiadł i rozejrzał się po gabinecie, łzy zaczęły mu napływać do oczu. To był bardzo wzruszający moment – wspomina Beata.



FOT. ROBERT WOŹNIAK

Dobrym duchem muzeum jest Urszula - mama Beaty



FOT. ROBERT WOŹNIAK

Od otwarcia muzeum wystawa wzbogaciła się m. in. o salę lekcyjną

Zielone: „Jedź!”. Czerwone: „Stój!”. Krótka historia sygnalizacji ulicznej

Bez tego wynalazku ruch uliczny byłby chaosem. Po raz pierwszy sygnalizację elektryczną zastosowano w Cleveland w Ohio. 5 sierpnia 1914 r. na skrzyżowaniu Euclid Avenue i East 105th Street pojawiło się urządzenie regulujące ruch

Mariusz Grabowski

Autorem sygnalizacji był James Hoge, który nowatorsko zastosował dwa kolory – czerwony i zielony, jak również sygnał dźwiękowy informujący o zmianie koloru światła. Trzeci kolor, bursztynowy i sygnalizujący zmianę, został wprowadzony dopiero kilka lat później.

Londyńskie światła

Hoge wynalazł urządzenie, które z powodzeniem stosowane jest do dziś. Ale i wcześniej były próby regulowania ruchu ulicznego, choć bez użycia elektryczności. Historycy techniki podają, że 9 grudnia 1868 r., przed budynkiem brytyjskiego parlamentu w Westminsterze zainstalowano pierwszą na świecie gazową sygnalizację świetlną. Skonstruował ją inżynier kolejnictwa John Peake Knight.

Sygnalizacja pracowała w trybie dziennym i nocnym. W dzień nadawała sygnały za pomocą ramion „stop” i „go”, w nocy nadawała zaś sygnały świetlne czerwony i zielony. Gazowa latarnia była rewolucją na ówczesne czasy, sygnały zmieniał jednak policjant siedzący w latarni.

Dla jednego z nich skończyło się to niefortunnie. 2 stycznia 1869 r. semafor sygnalizacji eksplodował z powodu nieuszczelnienia instalacji, a operujący ową aparaturą policjant został ranny.

„Keep right”

W Stanach Zjednoczonych, kraju motoryzacji i elektryczności, rozwiązanie z Londynu nie mogło się sprawdzić. Oblicza się, że w chwili gdy Hoge pracował nad swoim wynalazkiem w USA na 1000 mieszkańców przypadało już 96 aut (konkretnie 96,68). Wraz z rozwojem motoryzacji szybko powstawały kolejne drogi, ulice i skrzyżowania. Istniał zatem realny problem radzenia sobie z zalewem aut i ich – jak bardzo byłoby to zabawne w naszego punktu widzenia – liczbą i prędkością.

Dzieląc ulice z pieszymi i jeżdżąc nieprzewidywalnie, kierowcy powodowali bowiem alarmującą liczbę ofiar śmiertelnych i wypadków. Zaczęto zatem wprowadzać kodeksy, w tym najpopularniejszy Wiliama Phelpsa Eno, który już w 1903 r. zastosował pierwsze zasady uspokojenia ruchu, ronda, wyspy na środku skrzyżowań, a dla kierowców skrę-

cających w lewo na skrzyżowaniu wymóg skrętu pod ostrym kątem prostym. Przyniosło to pierwszy spadek liczby wypadków w ruchu drogowym.

Hoge z patentem

Przyjrzyjmy się dokładniej wynalazkowi Hoge’a. Jego system składał się z czterech par czerwonych i zielonych światel, które służyły jako wskaźniki „stop” – „go”, z których każdy był zamontowany na słupku narożnym. Konstrukcja była prosta: operator w kabinie przedstawiał przełącznik, aby zapalić czerwone lub zielone światło na przewodach zawieszonych nad każdą stroną skrzyżowania.

Jak napisał dyrektor bezpieczeństwa publicznego w Cleveland, Alfred A. Benesch w 1915 r.: „To wyprowadza funkcjonariusza ruchu drogowego ze środka ulicy i umieszcza go na rogu chodnika i na wysokości, z której widzi nad głowami tłumu”. System pozwalał na ręczne przełączenie w tryb awaryjny na wypadek przejazdu wozu strażackiego. Operator zapalał też czerwone dla wszystkich wlotów, oczyszczał w ten sposób skrzyżowanie dając wolną drogę dla straży pożarnej.

W 1918 r. James Hoge otrzymał patent USA nr 1.251.666 za „miejski system sterowania ruchem drogowym”.

Trzy kolory

Jak dodaje Adam Sobieraj, specjalista od historii ruchu drogowego, sześć lat później wynalazek Hoge’a został udoskonalony – w Detroit powstała pierwsza „czterokierunkowa” sygnalizacja autorstwa policjanta Williama Potts’a, który z doświadczenia znał realia pracy na ulicy. W 1922 r. kolejny wynalazca – Garrett Morgan dodał do instalacji trzecie światło koloru bursztynowego, tego samego koloru, co na kolei. Stworzył tym samym w pełni automatyczną sygnalizację świetlną, którą z czasem zaczęły kontrolować automatyczne zegary.

Jego wynalazek miał nie tylko walor praktyczny, ale dał władzom miast olbrzymie oszczędności. Instalacja z Cleveland kosztowała miasto 1,5 tys. dolarów. Ale korzystanie z automatycznego zegara przyniosło rewolucję na skrzyżowaniach – zniknęli z nich policjanci. Miasta mogły przesunąć ich do innych obo-



W Warszawie sygnalizacja pojawiła się w latach 20. Na zdjęciu z 1932 sygnalizacja na skrzyżowaniu Marszałkowskiej i Alei Jerozolimskich



Cleveland. Pierwsza sygnalizacja świetlna na świecie

wiązków. Np. Nowy Jork w samym tylko 1923 r. zaoszczędził na tym 12 tys. 500 dolarów.

Genialny Morgan

Garrettowi Augustusowi Morganowi (1877-1963), faktycznemu twórcy znanego wszystkim do dziś sygnalizatora ulicznego, warto poświęcić kilka dodatkowych słów. Sygnalizator jego pomysłu składał się ze słupka w kształcie litery T, z ramionami jak w semaforze w trzech kolorach. Uzyskał nań stosowny patent i zarobił majątek: firma General Electric, odkupiła od niego wynalazek za imponujące 40 tys. dolarów.

Morgan był człowiekiem o wielkiej wyobraźni. Prócz sygnalizatora był także pomysłodawcą elektrycznego grzebienia do układania farby na włosy oraz hełmu połączonego z maską przeciwgazową, który to zestaw znany był jako „Safety Hood and Smoke Protector”.

Urządzenie mogło budzić obawy: miało postać bawelnianego kaptura wyposażonego w dwa długie zwisające do ziemi węże umożliwiające oddychanie (w założeniach powietrze przy gruncie miało być mniej zanieczyszczone). W celu lepszego filtrowania powietrza w ich końce wty-

kane były wilgotne gąbki. Człowiek wyglądał w tej masce niczym Predator z filmów sf.

Elektronika i komputery

Wróćmy do motoryzacji. 1928 r. ilość aut w USA sięgnęła 24 mln. W tym samym roku w Baltimore zaprojektowano i wdrożono sygnalizację świetlną, która „reagowała” na ruch uliczny. Kierowcy niejako informowali światła o tym, że znajdują się przed nimi i czekają na możliwość przejazdu, dźwiękiem klaksonu samochodowego.

Pięć lat później pomyślano również o pieszych i również dla nich zainstalowano specjalne przyciski, które miały wpływ na tempo zmiany światel. Kiedy w drugiej poł. XX w. pojawiły się pierwsze komputery, w Toronto wprowadzono pionierską sygnalizację sterowaną komputerowo. Późniejszy rozwój światel szedł w parze z rozwojem elektroniki i tworzone coraz większe siatki sygnalizacji współdziałających ze sobą.

Ampelmännchen

Pierwsza sygnalizacja sterowana zegarem, czyli systemu Morgana, pojawiła się w Europie w Berlinie, na Placu Poczdamskim w grudniu 1924 r. Zainstalowana była na 8,5-metrowej tzw. wieży sterującej, zaprojektowanej przez architekta Jana Krämera.

W jej wnętrzu znajdowało się stanowisko dla policjanta, który ręcznie zmieniał sygnały świetlne widoczne z pięciu stron skrzyżowania. Wieża została rozebrana w październiku 1937 r. podczas budowy metra. Dziś stoi tam jej replika.

Ale Niemcy mają inny też oryginalny wkład w historię sygnalizacji ulicznych. To tzw. Ampelmännchen („człowieczek ze światel”), czyli antropomorficzna postać przedstawiona na sygnalizacji świetlnej dla pieszych. Zaprojektowana została w 1961 r. przez projektanta i psychologa transportu Karla Peglaua.

A w Polsce?

Nad Wisłą historia światel drogowych ma swój początek już w roku 1926. Wówczas to właśnie na rogu Alei Jerozolimskich i Marszałkowskiej w Warszawie stanęło pierwsze urządzenie automatycznie kierujące ruchem (kolejne zainstalowano na rogu Złotej i Żelaznej). Do tej pory ruch na skrzyżowaniu regulował policjant stojący na środku jezdni lub w specjalnej budce. Światła miały tylko dwie barwy, trzecia została wprowadzona w 1934 r.

W 1967 r. na ul. Grójeckiej uruchomiono pierwszą sygnalizację wzbudzaną przez pieszych, zaś dwa lata później powstał pierwszy polski system skoordynowanego sterowania sygnalizacją. W 1974 r. wprowadzono w Polsce pierwszą w pełni akomodacyjną tzw. sygnalizację wielofazową, umożliwiającą sterowanie ruchem na skrzyżowaniach.

...zadzawon na pogotowie; **kry-**
żówka A-Z: gramotność; **kry-**
żówka z hasłem: jaka głowa,
taki rozum; **witówka panora-**
miczna: "Błwa pod Rasz-
ym"; duet Jolek: "Piotrus Pan",
ogogryf: Halina Koronowska;
szryf: Joanna Koronewska;
kryżówka: szelma.

Chłopaki do wielkiej gry, tańca i różańca. Drużyna Wagnera – mistrzowie olimpijscy

Jaka fajna drużyna pokonała „Ruskich” i zdobyła mistrzostwo olimpijskie w siatkówce. Przez pół wieku żaden nasz zespół nie powtórzył tego sukcesu

Marek Bluj

Tej lipcowej nocy z 30 na 31 lipca 1976 roku nie spały miliony Polaków. Prawie każdy chciał zobaczyć, jak nasi siatkarze w dalekim Montrealu w finale turnieju olimpijskiego pokonają Związek Radziecki. Gwarancji nie było żadnych, bo Rosjanie grali świetnie, ale nasi jeszcze lepiej. No i trener Hubert Wagner obiecał, że wrócą do kraju ze złotem. Zrobili to!

To był długi mecz, bardzo długi. Zresztą takiego tasiemca wszyscy, tam w Kanadzie i w kraju, się spodziewali. Zaczął się o 2.30. Trwał 2 godziny i 26 minut.

– Dla nas to była pestka. Byliśmy tak napakowani siłą i energią, że mogliśmy grać nawet dwa takie mecze jeden po drugim. Dla nas granie przez dwie, trzy, a nawet cztery godziny nie robiło żadnej różnicy. Trener Hubert Wagner doskonale nas przygotował. Treningi trwały po kilka miesięcy. Było dużo gór. Schodziliśmy całe Tatry, przed Meksykiem byliśmy w Piñarech. Dużo ćwiczyliśmy z ciężarami. Mówiono o nas mistrzowie piętego seta, bo nigdy nie przegraliśmy tie-breaka. Inne drużyny ciągnęły ostatkiem sił, a my zawsze tryskałyśmy świeżością. W finale i wcześniej mieliśmy też trochę szczęścia, dlatego zawsze powtarzam, że trzeba dobrze grać, ale trzeba mieć też szczęście. To z reguły sprzyja lepszym. Myśmy go mieli – uśmiecha się Marek Karbarz, jeden z trzech muszkieterów z Resovii w „12” trenera Wagnera. Dwaj inni to Bronisław Bebel i Włodzimierz Stefański.

To była złota drużyna, która niko się nie bała. Dwa lata wcześniej w Meksyku, 28 października 1974 roku, także prowadzona przez Wagnera reprezentacja Polski zdobyła historyczne złoto mistrzostwo świata. Wygrała wszystkie spotkania. W drodze po mistrzostwo dwukrotnie pokonała ZSRR. Tworzyła team na 102. Pod każdym względem.

– Rosjanie w Montrealu pałali chęcią rewanżu za Meksyk. Można powiedzieć, że igrzyska olimpijskie były pewnego rodzaju ciągiem dalszym Meksyku. W kadrze nastąpiły małe zmiany, nie było Staszka Gościńskiego, MVP mistrzostw świata, co było dla nas szokiem. Atmosfera w kadrze była jednak bardzo dobra. Lubiliśmy się nawzajem, dobrze się ze sobą czuliśmy. Był duch w tej ekipie. Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego. To



Radość po pokonaniu Rosjan i zdobyciu złotego medalu na olimpiadzie w Montrealu w 1976 roku. W koszulce z numerem 12 Marek Karbarz

nam pomagało w trudnych chwilach, a trochę było ich – dodaje Karbarz.

Zanim w olimpijskim finale doszło do polsko-rosyjskiego starcia, nasi siatkarze bywali w wielkich opałach. – W pierwszym meczu turnieju przegrywaliśmy z Koreą Południową 0:2 w setach, ale od trzeciego zmieściliśmy ich z boiska. Z Kubą też wynik był widelcu, bo przeciwnik wygrywał 2:0. Wyrównaliśmy, a w piątej partii zwyciężyliśmy 20:18. Z Japonią było 3:2, ale w tie-breaku już bez nerwów. Było ich za to na pęczki z Rosjanami w finale. Zachowaliśmy olimpijski spokój i wyszliśmy z ogromnych opresji obronną ręką – wspomina mistrz Marek, jak mówią do Karbarza znajomi.

Rzeczywiście, to była bitwa na siatce, niezwykle dramatyczny pojedynek, który przeszedł do historii polskiego sportu. Radziecki zespół prowadził w setach 2:1, a w czwartym miał dwa meczbole. Polacy uciekli jednak spod topora, wyrównali na 2:2. W decydującej piątej odsłonie przegrywali 0:4, ale szybko odrobili straty. Po zmianie stron prowadzili 8:7 i nie dali już przeciwnikom zdobyć punktu. Zwycięski okazał się autowy atak rosyjskiej gwiazdy Władimira Czernyszowa.

„Uwaga, Czernyszow! I aut! Aut, nie było bloku!” – krzyczał do mikrofonu komentujący mecz Wojciech Zieliński. Polacy skakali z radości, a Czernyszow stał i patrzył na ich radość. Był w szoku – nie mógł chyba uwierzyć, że przestrzelił taką piłkę na czystej siatce. Tak się stała historia. Niektórym zawodnikom polały się

z oczu łzy radości i szczęścia. Mocno zapracowali wspólnie na ten sukces.

– To był zespół, każdemu zawodnikowi należy się szacunek. Ja bez Marka i Marek beze mnie nic byśmy nie wygrali – mówił Tomasz Wójtowicz, prawdziwy as złotej ekipy.

– Tomek cały turniej grał znakomicie i wyskoczył na gwiazdę, ale całe towarzystwo trzymał Edek Skorek, kapitan drużyny. Praktycznie nie musiał trzymać, bo było normalnie, fajnie, nikt się na nikogo ani na nic nie skarżył – wyjaśnia Karbarz.

– Byliście znakomitymi siatkarzami, tworzyliście najlepszą w świecie drużynę, a jakimi byliście ludźmi? – pytam mojego rozmówcę.

– To były przepiękne dni i lata. Wspominam je z ogromnym sentymentem. Byliśmy młodzi, mieliśmy wtedy po dwadzieścia cztery lata. Potrzebowaliśmy się też trochę wyszumieć. Lubiliśmy się zabawić. Przychodziły nam do głowy rozmaite pomysły. Byliśmy chłopakami do tańca i do różańca. Po zakończeniu igrzysk w Montrealu było raczej spokojnie, ale po mistrzostwie świata w Meksyku był trochę „meksyk” – wspomina nasz mistrz świata i mistrz olimpijski.

– Kiedy po ceremonii medalowej przyjechaliśmy do hotelu, w którym byli Japończycy i inne reprezentacje, to daliśmy czadu. Były śpiewy, tańce, hulanki, swawola. W barze nie została ani jedna butelka alkoholu. Kiedy na drugi dzień siedzieliśmy w autokarze przed wyjazdem na lotnisko, przybiegł dyrektor hotelu

i machał rachunkiem na kilka tysięcy dolarów. Kierownik naszej grupy wziął do ręki ten rachunek i stwierdził stanowczym głosem, że „to jest absolutnie niemożliwe, bo moi chłopcy piją tylko mleko”. I odjechał. Z tego, co mi wiadomo, należność za tę „gościnę” uregulowała za nas Federacja Siatkówki Meksyku – przypomina tę słynną historię Marek Karbarz.

Po Montrealu Karbarz otrzymał talon na Zastawę. Kupił ją za własne pieniądze. Inni dostali talony na Po-

lonezy i Moskwicze, ale z Zastawy był zadowolony – jeździł nią kilka lat.

– Ten złoty medal zdobyty w Montrealu miał ogromny wpływ na moje życie. Długo czas nie zdawałem sobie nawet z tego sprawy. Dzięki niemu wyjechałem do Francji. Byłem tam prawie 20 lat, najpierw jako zawodnik, a później trener – podkreśla Karbarz.

– Szczerze przyznam, że nie spodziewałem się, że tak długo będziemy honorowani, pamiętani, że co roku będziemy się spotykali na Memoriale Jurka Wagnera i nie tylko. Mam swoją Aleję Gwiazd w Miliczu. Bardzo sympatyczne jest to, że ludzie nas kojarzą. W sklepie, na ulicy, w hali zapytają o zdrowie, zagadną, co słychać.

– Jak ten czas pędzi! To już 50 lat od Montrealu i tamtego złota. Mieliśmy świetnych siatkarzy, drużyny, trenerów, ale żadnej do tej pory nie udało się powtórzyć tamtego sukcesu sprzed pół wieku. To tylko świadczy o tym, jak trudno zdobyć złoty medal. Od Meksyku i Montrealu siatkówka w Polsce stała się bardzo popularna. Polacy ją pokochali i kochają nadal. Cierpliwie czekają, ja zresztą też, na olimpijskie złoto numer 2. Niech się to stanie już na najbliższych igrzyskach – tym życzeniem kończy swoją nie tylko olimpijską opowieść pan Marek.

© P

Skład drużyny siatkarzy na IO w Montrealu:

Włodzimierz Stefański, Bronisław Bebel, Lech Łasko, Edward Skorek, Tomasz Wójtowicz, Wiesław Gawłowski, Mirosław Rybaczewski, Zbigniew Lubiejewski, Ryszard Bosek, Włodzimierz Sadalski, Zbigniew Zarzycki, Marek Karbarz.
Trener: Hubert Jerzy Wagner.

Wyniki reprezentacji Polski w turnieju olimpijskim w Montrealu:

Faza grupowa:

Polska – Korea Południowa 3:2 (12:15, 6:15, 15:6, 15:6, 15:5);
Polska – Kanada 3:0 (15:4, 15:7, 15:6);
Polska – Kuba 3:2 (13:15, 10:15, 15:6, 15:9, 20:18);
Polska – Czechosłowacja 3:1 (8:15, 15:11, 15:5, 16:14);
półfinał: Polska – Japonia 3:2 (15:17, 15:6, 15:6, 10:15, 15:10);
finał: Polska – ZSRR 3:2 (11:15, 15:13, 12:15, 19:17, 15:7).

PIŁKA NOŻNA W NIEDZIELĘ GŁOGOWIANIE ZMIERZĄ SIĘ Z ZESPOŁEM ŁKS W ŁODZI

Bez punktów na własnym stadionie

RED
Głogów

Jedyna bramka z początku spotkania zdecydowała o wygranej Odry Opole w Głogowie 1:0. Chrobry gonął przez całą drugą połowę, ale pościg nie okazał się skutecznym.

Odra od początku przycisnęła i już w 8. minucie objęła prowadzenie. Po dośrodkowaniu w pole karne Maksymilian Pingot strzałem w krótki róg otworzył wynik spotkania.

Nie była to jedyna okazja opolan w tym fragmencie meczu, ale jedyna wykorzystana. Kolejnym zapobiegł znakomicie interweniujący pomiędzy słupkami Krzysztof Bąkowski.

Pod znakiem przewagi Odry upłynęła cała pierwsza połowa, dlatego jednobramkowe prowadzenie gości

było w pełni zasłużone. Głogowianie po przerwie musieli coś zmienić.

I po zmianie stron zobaczyliśmy odmienionego Chrobrego, który ruszył do pościgu. Już w 47. minucie na listę strzelców mógł wpisać się wprowadzony w przerwie Adrian Bukowski, który zastąpił grającego w pierwszej połowie z opatrunkiem na głowie Roberta Mandryśza. Uderzył zza szesnastki i szkoda, że skończyło się tylko na rzucie rożnym.

Tym razem to Chrobry miał przewagę, ale wynik ani drgnął. Sporo emocji dostarczyła jednak sama końcówka, która mogła wszystko zmienić. Szanse mieli i jedni, i drudzy, a broń musieli zarówno Krzysztof Bąkowski, jak i Artur Haluch.

Ten drugi popisał się kapitalną interwencją dosłow-



Nie udał się głogowianom pierwszy w tym sezonie występ przed własną publicznością

nie w ostatniej sekundzie, gdy po wrzutce z lewej strony główkował Agon Sadiku. Gdyby nie czujny gol- kiper Odry, byłoby 1:1.

Chrobry po serii pięciu domowych spotkań bez porażki, jeszcze z ubiegłego sezonu, tym razem z własnego boiska musiał zejść bez

punktów. Tych będzie musiał poszukać na wyjeździe, bo kolejny mecz rozegra w Łodzi z ŁKS-em – w niedzielę, 9 sierpnia, o godz.

14:30. Po dwóch kolejkach Chrobry zajmuje 8. miejsce w tabeli pierwszej ligi. Natomiast najbliższy przeciwnik plasuje się o jedno „oczko” wyżej.

CHROBRY GŁOGÓW

- ODRA OPOLE 0:1 (0:1)

BRAMKA: 0:1 Maksymilian Pingot 9

CHROBRY: 22. Krzysztof Bąkowski - 80. Kacper Tabiś (64, 28. Jakub Lis), 8. Jakub Grič, 21. Michał Kozajda, 77. Mateusz Bartolewski - 7. Kelechukwu Ibe-Torti, 16. Robert Mandryśz (46, 33. Adrian Bukowski), 51. Alan Rybak (78, 24. Kamil Grzelak), 5. Radosław Bąk (87, 72. Kuba Szablowski), 10. Jehor Szarabura (78, 17. Agon Sadiku) - 11. Sebastian Strózik.

ODRA: 30. Artur Haluch - 7. Mato Miloš (26, 33. Filip Kupczyk), 35. Nemanja Mijušević, 3. Jiří Piroch (71, 52. Cássio), 55. Maksymilian Pingot - 20. Patryk Szysz, 8. Mathieu Scalet, 14. Tomasz Gajda, 23. Bartosz Biedrzycki (71, 25. Krystian Palacz) - 9. Michał Feliks (56, 17. Branislav Spáčil), 10. Bartłomiej Barański (56, 16. Adrian Liber).

ŻÓŁTE KARTKI: Piroch, Spáčil.

SEDZIOWAŁ: Mateusz Jenda (Warszawa).

WIDZÓW: 2112.

Polscy siatkarze ze złotem Ligi Narodów. Już po raz trzeci

Zbigniew Czyż
Warszawa

Rozmawiamy z Sebastianem Świdorskim, prezesem PZPS, wicemistrzem świata z 2006 roku. Poprosiliśmy go o podsumowanie rozgrywek.

Polscy siatkarze powtórzyli sukces z ubiegłego roku i znów wygrali Ligę Narodów. Całe rozgrywki zakończyli ze świetnym wynikiem: trzynastą zwycięstw i tylko dwie porażki.

Za nami kolejny sezon w Lidze Narodów, w którym budujemy naszą reprezentację. Rozgrywki zaczęliśmy z zawodnikami mniej doświadczonymi, żeby ich ogrywać i żeby łapali takiej reprezentacyjnej ogłady. Potem graliśmy już siatkarzami pierwszoplanowymi, a na koniec wprowadziliśmy do gry naszą armię zwyciężną. Cieszymy się, bo to wszystko zdało egzamin. Cały system i to, co robi trener Nikola Grbić, to, w jaki



Reprezentanci Polski świętują podczas ceremonii wręczenia nagród po finałowym meczu z USA

sposób układa całą strukturę, sprawdza się.

Sukces tym cenniejszy, że Polacy skutecznie bronili złota wywalczonego przed rokiem, także w chińskim Ningbo.

Bardzo się z tego cieszymy, ale też wiemy, że Liga Narodów jest również taką imprezą trochę komercyjną. Dla nas najważniejsze w tym se-

zonie będą mistrzostwa Europy, na których też można sobie zapewnić bezpośrednią kwalifikację na najbliższe igrzyska olimpijskie w Los Angeles. Myślimy także coraz bardziej o przyszłorocznych mistrzostwach świata, które odbędą się w naszym kraju. Liga Narodów jest bardzo ważna, ale dla mnie - jak i dla trenera Grbicia - to jest trochę taki poligon doświadczalny, na którym możemy spraw-

dzać wyróżniających się zawodników. Mamy tak szeroką kadrę, że na ten komfort możemy sobie pozwolić.

Wyróżniłby Pan kogoś za szczególnie dobrą postawę w całych rozgrywkach?

Chciałbym wyróżnić całą drużynę. Nigdy nie wygrywa jak i nie przegrywa jeden zawodnik, ale cała czternastka. My sprawdziliśmy blisko trzy-

dziestu siatkarzy w całym sezonie Ligi Narodów. Każdy miał możliwość pokazania się, aby móc choć trochę pobyc z kadrą.

Jeśli chodzi o jakość gry, można mówić o kolejnym kroku naszej reprezentacji?

Trudno jest mówić o jakimś wielkim postępie, natomiast cieszymy się, że mamy w kadrze coraz więcej ogra-

nych zawodników. Przykład chociażby Bartka Bołędzia, który w poprzednim sezonie miał problem, by się odnaleźć w reprezentacji, miał także kłopoty w sezonie ligowym, a teraz w kadrze wystrzelił z bardzo wysoką formą. Stał się pewniakiem, jeśli chodzi o nasz atak. W trudnych momentach nie drży mu ręka, potrafi niekonwencjonalnie zaatakować, widzi okazję, gdy trzeba kiwnąć, i wie, kiedy spasować. Zrobił na pewno największy postęp, ale też dlatego, że trudno jest mówić o takich zawodnikach, jak Wilfredo Leon czy Marcin Komenda, że zrobili wielki postęp, bo to są siatkarze, którzy na topie są od bardzo dawna.

Są jeszcze jakieś rezerwy w drużynie?

Na pewno. Mamy zawodników, którzy mogą zagrać jeszcze lepiej. Dla mnie i trenera to jest też taki spokój, że zawsze można głębiej spojrzeć i sięgnąć po graczy, którzy wniosą do zespołu coś nowego i fajnie uzupełnią drużynę.



ERGO-ROL Sp.z o.o.

SKUP ZBÓŻ

**ROWNIEŻ MOKRA KUKURYDZA
SOJA • SŁONECZNIK**



513 675 365

NASZE ELEWATORY:
Kiełpiny 57 k.Wolsztyna
Bojadła ul.Kolejowa 11e
Marianki 8, Konotop

- MOŻLIWOŚĆ ODBIORU WŁASNYM TRANSPORTEM
- USŁUGA ZBIORU MOKREJ KUKURYDZY
- SZYBKI PRZELEW

AKTUALNE CENY: www.fermamaterna.pl